

*Mosley Walter*

*Easy Rawlins 02*

*Czerwona śmierć*

*Los Angeles, okres "polowania na czarownice". Easy Rawlins, szantażowany przez FBI i Urząd Podatkowy, musi się podjąć dość obrzydliwego zadania. Na domiar złego policja upatruje w nim sprawcę brutalnych morderstw...*

## ***Rozdział pierwszy***

Zawsze zaczynałem zmiatanie od najwyższego piętra w domu przy ulicy Magnolii. Był to dwupiętrowy różowy budynek ze stiukami, przy Dziewięćdziesiątej Pierwszej, jakąś milę za granicami Watts. Dwanaście mieszkań. W tym miesiącu wszystkie zajęte. Właśnie zgarnąłem śmieci w zgrabną kupkę, kiedy usłyszałem, jak Mofass podjeżdża swoim nowym Pontiakiem, rocznik 53. Wiedziałem, że to on, bo w samochodzie nawalala przekładnia i słyszało się go z sąsiedniej przecznicy. Usłyszałem, jak Mofass zatrzaskuje drzwi i wita się głośno z panią Trajillo, która zawsze tkwiła w oknie na parterze — to najlepszy system alarmowy.

Wiedziałem, że Mofass zbiera zaległe opłaty za czynsz w drugi czwartek miesiąca, dlatego właśnie tego dnia postanowiłem zmiatać. Głowę zaprzętały mi pieniądze i prawo, a Mofass był jedynym człowiekiem, który mógł mi pomóc.

Nie tylko ja usłyszałem Pontiaka.

Klamka przy drzwiach mieszkania „J” poruszyła się, po czym ukazała się w nich ziemista, smutna twarz Poinsettii Jackson.

Była wysoką, młodą kobietą o żółtych oczach i grtt-bych, obwisłych wargach.

— Cześć, Easy — wymamrotała wysokim, przeraźliwie smutnym głosem. Jej naturalnym tonem głosu był tenor, ale teraz piszczała, żeby wzbudzić we mnie litość. # Poczułem tylko mdłości. Przez otwarte drzwi na

świeżo zamieciony korytarz wypłynął odór kadzidła z jej ołtarzyka.

— Cześć, Poinsettio — pozdrowiłem ją, a potem odwróciłem się tak szybko, jakby zmiatanie miało mi uciec.

— Słyszałam na dole Mofassa — mówiła. — A ty?

— Ja tu tylko sprzątam, to wszystko.

Otworzyła drzwi i oparła się o framugę wychudzonym ciałem. Koszula nocna napięła się na jej piersiach. Mimo że Poinsettia potwornie schudła po wypadku, nadal był z niej kawał kobiety.

— Muszę z nim pomówić, Easy. Wiesz, że chorowałam, nie mogłam nawet wychodzić z domu. Może zszedłbyś na dół i powiedział mu, że chcę z nim porozmawiać.

— Poinsettio, on zbiera zaległe czynsze. Jeśli nie zapłaciłaś, wystarczy, że poczekaasz, a on zaraz tu przyjdzie.

— Ale ja nie mam forsy! — krzyknęła.

— Powiedz to jemu — odparłem. Nie robiłem żadnych aluzji; po prostu chciałem zakończyć rozmowę i zabrać się za pierwsze piętro.

— Easy, czy mógłbyś z nim pomówić? Powiedzieć mu, że jestem ciężko chora?

— On wie, jaka jesteś chora, Poinsettio. Wystarczy, że na ciebie spojrzy. Przecież wiesz, że Mofassowi chodzi o czynsz.

— Może mógłbyś z nim jednak o mnie pomówić, Easy.

Posłała mi uśmiech z rodzaju tych, dla których dawniej mężczyźni gotowi byli zboczyć z drogi.

Jednak piękna skóra Poinsettii sflaczała; mimo perfum i kadzideł roztaczała zapach starości. Zamiast pragnąć jej pomóc, chciałem stamtąd odejść.

— Jasne, poproszę go. Ale wiesz, że on dla mnie nie pracuje — skłamałem. — Jest akurat odwrotnie.

— Zejdź teraz na dół, Easy — błagała. — Poproś, żeby dał mi miesiąc albo dwa.

Nie zapłaciła centa już od czterech miesięcy, ale nie byłoby rozsądnie jej to wypominać.

— Pogadam z nim później, Poinsettio. Wściekły się, gdybym go zaczepił na schodach.

— Pójdź do niego teraz. Słyszę, że idzie. — Gorączkowo szarpała koszulę.

Ja także go słyszałem. Trzy głośne uderzenia w drzwi, chyba do mieszkania „B”, a potem niski głos:

— Czynsz!

— Schodzę na dół — rzuciłem do palców stóp Poinsettii; palce miały kolor popiołu.

Zgarnąłem śmieci do śmietniczki i zacząłem schodzić na pierwsze piętro, zamiatając po drodze każdy stopień. Właśnie zacząłem zbierać śmieci, kiedy Mofass wszedł z wysiłkiem na schody.

Pochylał się w przód, łapał za poręcz, a potem podciągał się, sapiąc jak stary buldog.

Wyglądem Mofass też przypominał buldoga, ubranego w brązowy, trzyczęściowy garnitur. Tęgi, ale potężnie zbudowany, miał spadziste ramiona i grube ręce. Zawsze trzymał cygaro w ustach albo między grubymi paluchami. Jego skóra miała barwę brązową, ale jasną, jakby tuż pod spodem paliła się lampa.

— Dzień dobry, panie Rawlins — pozdrowił mnie. Zawsze odnosił się do wszystkich z szacunkiem.

Nawet gdyby istotnie zatrudniał mnie jako sprzątacza, zwracałby się do mnie per pan.

— Dzień dobry, Mofass — odpowiedziałem, bo tylko tak pozwalał się nazywać. — Kiedy skończę, chciałbym o czymś z tobą pomówić. Może moglibyśmy pójść gdzieś coś zjeść.

— W porządku — odparł, ściskając cygaro. Złapał za poręcz i zaczął wciągać się na drugie piętro.

Wróciłem do pracy i zmartwień.

Na każdym piętrze domu przy ulicy Magnolii znajdował się krótki korytarz z dwoma mieszkaniami po każdej stronie. Kończył się dużym oknem, przez które świeciło poranne słońce. Dlatego właśnie zakochałem się

w tym miejscu. Promienie porannego słońca wpadały do środka, ogrzewając zimne betonowe ściany i rozjaśniając pierwszą część dnia. Czasem chodziłem tam nawet, kiedy nie było nic do roboty. Pani Trajillo zatrzymywała mnie wtedy przy wejściu, pytając:

— Czy coś nie w porządku z kanalizacją, panie Rawlins?

Odpowiadałem, że Mofass kazał mi sprawdzić dach albo że Lily Brown widziała przed kilkoma tygodniami mysz i chciałem sprawdzić pułapki. Zawsze dobrze było wspomnieć coś o gryzoniach albo robakach, bo pani Trajillo, jako kobieta wrażliwa, nie mogła znieść myśli, że cokolwiek pełza u jej stóp.

Później szedłem na górę, stawałem przy oknie i obserwowałem ulicę. Zdarzało się, że stałem tak godzinę albo dłużej, śledząc ruch samochodów i chmur. W owym czasie na ulicach Los Angeles panował spokój.

Wszyscy lokatorzy z drugiego piętra pracowali, tak więc mogłem siedzieć na korytarzu przez cały ranek i nikt mi nie przeszkadzał.

Wszystko to należało jednak do przeszłości. Jeden list urzędowy zniszczył całe moje piękne życie. Wszyscy byli przekonani, że jestem majstrem do wszystkiego, a Mofass zbiera czynsz dla pewnej białej kobiety z centrum. W istocie posiadałem na własność trzy budynki z mieszkaniami do wynajęcia, z których ten przy ulicy Magnolii był największy, a także mały dom na Sto Szesnastej. Ale zajmowałem się różnymi naprawami. Lubiłem to robić, bo kiedy wynajmowałem kogoś, zawsze się grzebał i brał za dużo pieniędzy. W chwilach wolnych od tych zajęć oddawałem się swej prywatnej pracy.

Poza nieruchomościami zajmowałem się świadczeniem usług. Robiłem coś dla kogoś, na przykład odszukiwałem zaginionego męża albo odkrywałem, kto włamał się do czyjegoś sklepu. W zamian za to mogłem się spodziewać rewanzu. Był to wiejski sposób robienia interesów. W tamtych czasach prawie wszyscy moi

sąsiedzi pochodzili ze wsi, z okolic południowego Teksasu albo Luizjany.

Ludzie zwracali się do mnie, kiedy mieli poważne kłopoty, a nie mogli pójść na policję. Ktoś na przykład ukradł im pieniądze albo nielegalnie zarejestrowany samochód. Albo martwili się towarzystwem, w jakim obraca się ich córka, czy synem, który zszedł na złą drogę. Rozwiązywałem spory, które w przeciwnym wypadku skończyłyby się rozlewem krwi. Wśród biedoty cieszyłem się opinią uczciwego człowieka o silnych przekonaniach. W tamtych latach dziewięćdziesięciu czarnych na stu było biednych, więc moja sława sięgała całkiem daleko.

Nie siedziałem w niczyjej kieszeni, ale, chociaż czynsz nigdy nie wpływał regularnie, zawsze miałem dość pieniędzy na jedzenie i alkohol.

— Jak to nie dzisiaj? — Niski głos Mofassa odbijał się echem na schodach. Później dały się słyszeć wysokie krzyki Poinsettii.

— Płacem nie zapłaci pani za mieszkanie, panno Jackson.

— Nie mam tej forsy! Wiesz, że jej nie mam i wiesz dlaczego!

— Wiem, że jej nie masz, dlatego tu jestem. Wiesz, że w ten dzień zbieram zaległe czynsze.

Przychodzę powiedzieć wszystkim, którzy nie płacą, że żarty się skończyły.

— Nie mogę ci zapłacić, Mofass. Nie mam tych pieniędzy i jestem chora.

— Słuchaj — zniżył trochę głos. — To moja praca. Dostaję pensję z tego, co zbieram dla pani Davenport. Widzisz, przynoszę czynsz z jej domów, a ona go oblicza. Później wręcza mi z tych pieniędzy moją małą działkę. Kiedy przynoszę więcej, dostaję więcej, a kiedy mniej...

Mofass nie skończył, bo Poinsettia zaczęła krzyczeć.

— Puść mnie! — wrzasnął. — Puść mnie, dziewczyno!

— Przecież obiecałeś! — krzyczała. — Obiecałeś!

— Nic nie obiecywałem! Puszczaj!

— Wrócę w sobotę. Jeśli nie zdobędziesz pieniędzy, lepiej żeby cię tu nie było.

— Idź do diabła! — zahuczała za nim Poinsettia swoim mocnym tenorem. - Ty zasrany gnoju!

Powiem Williemu, żeby dobrał ci się do tej twojej czarnej dupy! Wie o tobie wszystko! Willi odgryzie ci ten zasrany tyłek!

Mofass zszedł na dół, trzymając się poręczy. Kroczył wolno pośród krzyków i przekleństw.

Zastanawiałem się, czy w ogóle je słyszy.

— GNOJEK!! — krzyczała Poinsettia.

— Czy jest pan gotów, panie Rawlins? — spytał.

— Został mi jeszcze parter.

— Pierdolony gnój!

— Poczekam w samochodzie. Proszę się nie śpieszyć. — Machnął w powietrzu cygarem, zostawiając łagodną smużkę błękitnego dymu.

Kiedy zamknęły się drzwi wejściowe na parterze, Poinsettia przestała krzyczeć i zamknęła swoje.

Znowu zapanowała cisza. Słońce wciąż ogrzewało betonową posadzkę; wszystko było piękne jak zawsze.

Nie mogło to jednak długo trwać. Wkrótce Poinsettia musi wylądować na ulicy, a ja będę rozkoszował się słońcem w więziennej celi.

## ***Rozdział drugi***

— Ma pan tu swój wóz? — spytał Mofass, kiedy zająłem miejsce obok kierowcy w jego samochodzie.

— Nie, przyjechałem autobusem. — Zawsze przyjeżdżałem sprzątać autobusem, bo Ford był nieco zbyt elegancki jak na samochód dozorca.

— Dokąd chciałbyś pojechać?

— To pan chciał rozmawiać, panie Rawlins.

— Tak — przyznałem. — W takim razie pojedźmy do tej meksykańskiej knajpy.

Zawrócił na samym środku jezdni i ruszył w kierunku Rebozo.

Podczas gdy Mofass marszczył czoło i gryzł długie czarne cygaro, obserwowałem przez okno życie Alei Centralnej. Mijaliśmy sklepy z alkoholem, sklepiki z ubraniami, a nawet punkty naprawy telewizorów. U zbiegu Alei Centralnej i Dziewięćdziesiątej Dziewiątej siedziała grupa mężczyzn czekających bez większego zapału na pracę. Taki był zwyczaj ludzi z Południa: siadali na jakiejś barierce i czekali, aż nadejdzie człowiek potrzebujący pracowników fizycznych i zawoła ich po imieniu. W ten sposób mogli spędzić popołudnie w towarzystwie przyjaciół, pociągając z brązowych papierowych toreb i grając w kości. Czasem dopisywało im szczęście; znajdowali pracę za kilka dolców, a ich dzieci dostawały mięso na kolację.

Mofass wiozł mnie do swojej ulubionej restauracji



meksykańskiej. U Reboza wkrajali awokado do *chili* i ziemniaki z papryką do *burñtos*. Po drodze nie rozmawialiśmy. Mofass wysiadł, zamknął drzwi na klucz, potem przeszedł na moją stronę i zrobił to samo. Zawsze osobiście zamykał drzwi po obu stronach. Nigdy nie ufał samozatraskującym się zamkom. Mofass nie ufał nawet własnej matce i właśnie dlatego był takim dobrym agentem od nieruchomości.

Lubiłem go też dlatego, że pochodził z Nowego Orleanu i chociaż mówił tak samo jak ja, nie przyjaźnił się z moimi znajomymi z Houston, Galveston czy Lake Charles w Luizjanie. Nie groziły mi plotki na temat mojej działalności finansowej.

Lokal Reboza mieścił się w ciemnym pomieszczeniu z barem na zapleczu i trzema stolikami otoczonymi ściankami po obu stronach. Przy barze stała szafa grająca i błyskała czerwonym neonowym światłem. Prawie zawsze knajpę wypełniała muzyka pełna trąbek, akordeonów i gitar. Jeśli szafa milczała, kiedy wchodziliśmy, Mofass wrzucał kilka monet i przyciskał guziki.

Za pierwszym razem, kiedy to zrobił, spytałem:

— Lubisz ten rodzaj muzyki?

— Wszystko mi jedno — odparł. — Po prostu lubię, jak jest trochę hałasu. W ten sposób nasza rozmowa zostaje tylko między nami. — Mrugnął jak śpiący smok.

Przyglądaliśmy się sobie ponad stołem. Ręce trzymał wyciągnięte przed siebie. Między palcami lewej dłoni cygaro wznosiło się jak wieża w Pizie. Na palcu prawej nosił złoty pierścień z brylancikiem wprawionym w onyksowy kwadrat.

Byłem zdenerwowany tym, że muszę omawiać z Mofassem swoje prywatne sprawy. Zbierał dla mnie czynsz. Płaciłem mu dziewięć procent plus piętnaście dolarów za każdą eksmisję, ale nie przyjaźniliśmy się. Mimo to tylko z nim mogłem omówić tę sprawę.

— Dostałem dzisiaj list — zacząłem w końcu.

— Tak?

Spojrzał na mnie, czekając cierpliwie na ciąg dalszy, ale nie mogłem mówić. Wciąż jeszcze nie chciałem o tym rozmawiać. Bałem się, że jeśli wypowiem złe nowiny na głos, to się urzeczywistnią. Spytałem więc zamiast tego:

— Co zamierzasz zrobić w sprawie Poinsettii?

— Co?

— Poinsettia. No wiesz, czynsz.

— Wykopię ją, jeśli nie zapłaci.

— Wiesz, ona jest ciężko chora. Ten wypadek ją wykończył.

— To nie znaczy, że mam za nią płacić czynsz.

— To ja będę płacił, Mofass.

— Mm, panie Rawlins. To ja zbieram pieniądze. Dopóki nie przekażę ich panu, są moje. Jeśli ta dziewczyna opowie innym, że nie biorę od niej forsy, zaczną nas wykorzystywać.

— Jest chora.

— Ma matkę, siostrę i tego Williego, o którym zawsze mówi. Nie jest sama. Niech oni zapłacą. Prowadzimy interesy, panie Rawlins. Interes to najtwardsza rzecz na świecie, twardsza niż diamenty.

— Co będzie, jeśli nikt za nią nie zapłaci?

— Za pół roku nie będzie pan pamiętał jej nazwiska, panie Rawlins.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, podeszła do nas meksykańska dziewczyna. Miała gęste, czarne włosy i ciemne oczy z bardzo dużymi białkami. Popatrzyła na Mofassa i odniosłem wrażenie, że nie mówi po angielsku.

Wyciągnął dwa grube palce.

— Piwo, *chili, burñtos* — zamówił, każdą sylabę wymawiając tak wolno, że można mu było czytać z ust.

Posłała mu szybki uśmiech i odeszła. Z kieszeni na piersi wyjąłem list i podałem mu go nad stołem.

— Chciałbym znać twoje zdanie na ten temat — powiedziałem z ufnością, której nie czułem.

Przyglądając się twardej twarzy Mofassa, przypominałem sobie słowa, które czytał.

*Reginald Arnold Lawrence Agent Śledczy*

*Państwowy Urząd Podatkowy*

*14 lipca 1953*

*Do pana Ezekiela Rawlinsa :*

*Doszło mojej uwagi, że między sierpniem 1948 a wrześniem 1952 wszedł pan w posiadanie co najmniej trzech nieruchomości.*

*Przejrzałem pańskie dane podatkowe aż do roku 1945. Nie wykazują one żadnych większych przychodów. Wskazywałoby to, że nie mógł pan ponieść podobnych wydatków drogą legalną.*

*W związku z powyższym rozpoczynam dochodzenie w sprawie pańskich podatków i domagam się, by stawił się pan w moim biurze w ciągu siedmiu dni od daty tego listu. Proszę przynieść ze sobą wszystkie formularze podatkowe ze wspomnianego okresu oraz dokładny wykaz wszystkich przychodów w tym czasie.*

Na wspomnienie listu znowu poczułem, jak lodowata woda wypełnia mi wnętrze. Całe ciepło, którym nasiąkłem w korytarzu przy ulicy Magnolii, zniknęło.

— Mają pana, panie Rawlins — stwierdził Mofass, kładąc list na stole.

Spojrzałem w dół i zauważyłem stojące przede mną piwo. Dziewczyna musiała je przynieść, kiedy koncentrowałem uwagę na Mofassie.

— Jeśli udowodnią, że zarobił pan jakieś pieniądze, o których ich pan nie powiadomił, zamieszka pan w żelaznym pokoiku.

— Cholera! Przecież im płacę.

Potrząsnął głową i poczułem ucisk wokół serca.

— Nie, panie Rawlins. Rząd chce, żeby informował pan o swoich dochodach. Nie robi pan tego, to wsadzają pana do więzienia federalnego. Wie pan, że sędzia nie rozdrabnia się, jeśli chodzi o długość wyroku. Myśli w kategoriach zgrabnych, równych liczb, jak pięć czy dziesięć.

— Ale człowieku, w żadnej z tych transakcji nie padło moje nazwisko. Założyłem fikcyjną firmę, John McKenzie mi pomógł.

Mofass wydał wargi.

— Urząd Podatkowy w sekundę wyniucha każdą lewą firmę.

— W takim razie powiem im, że o niczym nie wiedziałem.

— Daj spokój, człowieku. — Mofass rozparł się i machnął cygarem. — Powiedzą tylko, że nieznajomość prawa nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Nie nabierze ich pan. Przypuśćmy, że zastrzelił pan faceta, z którym kręciła pana dziewczyna. Powie im pan: nie wiedziałem, nie wolno zabijać? Poza tym, skoro zadał pan sobie tyle trudu, żeby ukryć forszę, pomyślą, że chciał pan ich wykiwać.

— To nie to samo co zabicie człowieka. To nieuczciwe, że nie dają mi szansy na zapłacenie.

— Uczciwe jest tylko to, co uchodzi panu na sucho, panie Rawlins. Jeśli dowiedzą się o forszę, której pan nie zgłosił... — Mofass powoli pokręcił głową.

Dziewczyna wróciła z dwoma ogromnymi białymi talerzami. Na każdym leżał gruby, otwarty **burrito** ze stertą **chili** i żółtego ryżu. Z pękatych **burritos** wysypywało się ciemnoczerwone mięso, upodobniając je do martwych, krwawiących robaków. W tłuszczu **chili** pływały zielonożółte kawałki awokado i kawałki wieprzowiny.

Z szafy grającej rozlegała się muzyka st Zakryłem dłonią usta, czując falę mdłości.

— Co mam robić? — spytałem. — Sądziś: trzeba być adwokata?

— Im mniej ludzi o tym wie, tym lepiej. — Mofass nachylił się nad stołem i szepnął: — Nie wiem, skąd pan wziął pieniądze na te domy, panie Rawlins, i sądzę, że nikt nie powinien o tym wiedzieć. Powinien pan znaleźć teraz jakiegoś bliskiego krewnego.

— Po co? — Także nachyliłem się nad stołem. Zapach jedzenia przyprawiał mnie o mdłości.

— Chodzi o ten list — wyjaśnił Mofass, pukając w kopertę. — Ten facet nie pisze jasno, że ma jakiegokolwiek dowody. On tylko prowadzi dochodzenie, węszy. Niech pan przepisze domy na kogoś z rodziny, datuje wstecznie dokumenty, a potem powie im, że domy nie należą do pana. Niech pan powie, że ten krewny chciał je ukryć przed resztą rodziny.

— Jak mam wstecznie... No, wiesz?

— Znam notariusza, który to zrobi. Za pewną opłatą.

— No więc, przypuśćmy, że mam siostrę czy kogoś. Czy rząd jej nie sprawdzi? Wszyscy ludzie, których znam, są biedni.

Mofass zaciągnął się cygarem, a drugą ręką wepchnął sobie do ust porcję *chili*.

— Taa — wybełkotał. — Potrzebny jest panu ktoś, kto już coś ma, tak, żeby urzędnik podatkowy mógł uwierzyć, że stać go było na te domy.

Milczałem przez chwilę. Wszystkie dobre rzeczy, które miałem, zostały mi odebrane przez ten list. Miałem nadzieję, że Mofass mnie pocieszy, powie, że zapłacę niską karę, ale wiedziałem dobrze, że to nieprawda.

Pięć lat wcześniej pewien bogaty biały wynajął mnie, żebym odszukał kobietę, którą znał. Znalazłem ją, ale okazała się niezupełnie taka, na jaką wyglądała. Wiele osób zginęło. Miałem jednak przyjaciela, Mouse'a, który mi pomógł. Wyszliśmy cało, z dziesięcioma tysiącami dolarów na głowę. Pieniądze pochodziły z kradzieży, ale ponieważ nikt ich nie szukał, sądziłem, że nic mi nie grozi.

Zapomniałem, że biedak nigdy nie jest bezpieczny.

Kiedy zdobyliśmy te pieniądze, byłem świadkiem, jak mój przyjaciel Mouse zabił człowieka. Strzelił do niego dwukrotnie. Ofiarą był biedak, który o mały włos zdobyłby skradziony łup. Przez te pieniądze zginął, a teraz ja miałem iść przez nie do więzienia.

— Co pan zamierza zrobić, panie Rawlins? — zapytał w końcu Mofass.

— Umrzeć.

— Co takiego?

— Widzę, że nie zostaje mi nic innego, jak umrzeć.

— A co z listem?

— Jak myślisz Mofass, co powinienem zrobić? Wciągnął trochę dymu i wytarł resztę *chili tortillą*.

— Nie wiem, panie Rawlins. Tak jak ja to widzę, ci ludzie nie mają żadnych dowodów. Będę pana krył, ale kiedy zaczną grzebać w moich rachunkach, nie ma pan szans.

— Więc co radzisz?

— Niech pan tam idzie i kłamie. Niech pan im powie, że nic pan nie posiada, że jest pan zwykłym pracownikiem i ktoś musiał pana zrobić. Potem zobaczy pan, co powiedzą. Nie znają pana banku ani bankiera.

— Tak, chyba będę musiał ich wybadać — zgodziłem się po chwili.

Mofass przyglądał mi się, zamyślony. Zastanawiał się pewnie, czy nowy właściciel go zatrudni.

### ***Rozdział trzeci***

Nie miałem daleko do domu. Mofass zaproponował, że mnie podwiezie, ale lubiłem chodzić, zwłaszcza kiedy musiałem coś przemyśleć.

Poszedłem Centralną. W dzień chodniki świeciły pustkami, bo większość ludzi ciężko pracowała. Poza tym ulice Los Angeles zawsze były opustoszałe; ludzie jeździli samochodami nawet do sklepu za rogiem.

Mogłem myśleć w spokoju, ale szybko się zorientowałem, że nie mam czego rozważać. Kiedy Wuj Sam chciał, żebym ryzykował życie w walce z Niemcami, robiłem to. Wiedziałem, że kiedy powie, żebym poszedł do więzienia, nie będę protestował. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych przestrzegaliśmy prawa na miarę biedaków, ponieważ prawo chroniło nas przed wrogiem. Wtedy sądziliśmy, że wiemy, kim jest wróg. Był nim biały z obcym akcentem, który nienawidził wolności. Podczas wojny wrogiem był Hitler i faszyci. Później towarzysz Stalin i komuniści, a jeszcze później Mao Tse-tung i Chińczycy przejęli tę zaszczytną funkcję. Wrogów widziano we wszystkich złych białych spiskujących przeciwko wolnemu światu.

Mój ponury nastrój pierzchnął, kiedy doszedłem do Sto Szesnastej. Miałem mały dom, ale dzięki temu trawnik frontowy był duży. W ostatnim czasie zająłem się ogrodnictwem. Wzdłuż płotu hodowałem liliowce i dzikie róże; pośrodku podwórza, na dużych, prostokątnych grządkach rosły truskawki i ziemniaki. Weran-

dę otaczała altana pełna kwitnącej winorośli. Przed rokiem posadziłem passiflorę. Najbardziej jednak kochałem awokado. Drzewo miało trzynaście metrów wysokości, a jego gęste, ciemne liście zawsze dawały chłodny cień. Przy pniu stała biała ławeczka z lanego żelaza. Kiedy sprawy przybierały zły obrót, siadałem tam i patrzyłem, jak ptaki ścigają owady w trawie. Kiedy podszedłem do płotu, prawie zapomniałem o inspektorze podatkowym. Nic o mnie nie wiedział, bo skąd? Łapał tylko puste powietrze. Wtedy zobaczyłem chłopca. Tańczył szalony taniec pośród ziemniaków. Obie ręce trzymał wysoko w górze, głowę odrzucił w tył i rechotał. Co pewien czas tupał stopami jak małymi tłokami, zagłębiał dłonie w ziemi i wyciągał długie, brązowe korzenie pełne niedojrzałych bulw ziemniaków. Pchnąłem bramę, która zaskrzypiała, a chłopiec odwrócił się i spojrzał na mnie. Otworzył szeroko oczy i zaczął gorączkowo rozglądać się za drogą ucieczki. Kiedy ujrzał, że nie może uciec, uśmiechnął się szeroko, wyciągając do mnie łodygi z bulwami. Potem się roześmiał. Sam stosowałem tę metodę w dzieciństwie. Chciałem być surowy, ale kiedy się odezwałem, nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

— Co robisz, chłopcze?

— Bawię się — odparł z silnym teksańskim akcentem.

— Depczesz moje ziemniaki, wiesz o tym?

— Mm. — Potrząsnął głową.

Był małym, bardzo ciemnym chłopcem, z dużą głową i małymi uszami. Musiał mieć około pięciu lat.

— Jak myślisz, czyje ziemniaki masz w ręku?

— Mamy.

— Mamy?

— Mhm. To jest dom mojej mamy.

— Od kiedy?

To pytanie go dobiło. Zmrużył oczy i przygarbił chłopięce ramiona.



— Po prostu jest, i już.

— Od jak dawna rozkopujesz mi ogród? — Rozejrzałem się po ścieżce zasłanej postrącanymi płatkami liliowców i róż. Na grządce nie rosła już ani jedna czerwona truskawka.

— Dopiero przyjechaliśmy. — Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął do mnie rękę. Podniosłem go, nie myśląc o tym, co robię.

— Mama zgubiła klucze, więc musiałem wejść przez okno, żeby otworzyć drzwi.

— Co?

Zanim postawiłem go z powrotem na ziemi, usłyszałem podśpiewywanie kobiety. Ton jej głosu wywołał we mnie dreszcz, mimo że jeszcze go nie poznawałem. Potem wyszła z domu. Kobieta o skórze barwy sepii; duża, lecz zgrabna, ubrana w prostą, niebieską sukienkę z bawełny i biały fartuch. Niosła koszyk z płaskim dnem, pochodzący z mojego schowka; prawą rękę przełożyła przez pleciony uchwyt. Na białej chustce wyściełającej koszyk leżały granaty i truskawki z mojego ogrodu. Była piękną kobietą o pełnej twarzy z poważnymi oczami i ustami, o których wiedziałem, że są zawsze gotowe do uśmiechu. Jej prawy biceps napinał się, bo EttaMae Harris była kobietą silną: w młodości trudniła się praniem dziewięć godzin dziennie, sześć dni w tygodniu. Mogła wystrzelić faceta pięścią w czwarty wymiar albo przytulić cię tak, że czułeś się znowu jak dziecko w kochających ramionach matki.

— Etta — powiedziałem prawie do siebie. Chłopiec zachichotał jak mały opętaniec. Przekręcił się w moich ramionach i ześlizgnął na ziemię.

— Easy Rawlins. — Jej uśmiech przeniknął mi wewnątrz. Odwzajemniłem go.

— Co... to znaczy? — wyjąkałem. Chłopiec biegał wokół matki najszybciej, jak potrafił. — To znaczy, czemu tu jesteś?

— Przyjechaliśmy cię odwiedzić, Easy. Prawda La-Marque?

— Mhm — potwierdził chłopiec, nawet nie podnosząc oczu w biegu.

— Przestań biegać. — Etta wyciągnęła rękę i złapała chłopca za ramię. Okręciła go, a on spojrzał na mnie z uśmiechem.

— Cześć — przywitał mnie.

— Już się poznaliśmy. — Skinąłem głową w stronę trawnika.

Kiedy Etta ujrzała szkody wyrządzone przez La-Marque'a, jej oczy stały się większe, a moje serce zaczęło bić trochę szybciej.

— LaMarque!

Chłopiec opuścił głowę i wzruszył ramionami.

— Co? — spytał.

— Co zrobiłeś z tym podwórkiem?

— Nic.

— Nic? Ten bałagan nazywasz niczym?

Chciała go złapać, ale upadł na ziemię, tuląc kolana do ciała.

— Ja tylko pracowałem w ogrodzie, to wszystko — wyjąkał.

— Pracowałeś w ogrodzie? — Twarz Etty jeszcze bardziej pociemniała, a jej oczy przybrały diabelski wyraz. Nie wiem, jak LaMarque reagował na to spojrzenie, ale ja nie mogłem złapać tchu ze zdenerwowania. Zaciśnęła pięści tak, że mięśnie napięły się jeszcze bardziej, a szyję i ramiona przebiegło drżenie. Wtedy nagle jej oczy złagodniały i wybuchnęła śmiechem. Etta śmieje się tak, że inni ludzie czują się szczęśliwi.

— Pracowałeś w ogrodzie? — powtórzyła. — Wygląda na to, że jesteś prawdziwą ogrodową trąbą powietrzną. Zaśmiałem się do wtóru. LaMarque nie był pewien, co nas tak rozbawiło, ale też się uśmiechnął i poturlał po ziemi.

— Wstań teraz i idź się umyć.

— Tak, mamó. — LaMarque wiedział, jak być grzecznym, kiedy się narozrabiało. Pobiegł do domu,

ale w chwili, gdy mijał Ette, złapała go za ramię, uniosła w powietrze i pocałowała głośno w policzek. Uśmiechnął się, otarł pocałunek z twarzy, odwrócił się i popędził do domu.

Etta wyciągnęła ręce, a ja wszedłem w jej objęcia, jakbym nigdy nie słyszał o jej mężu, moim najlepszym przyjacielu Mousie.

Wtuliłem twarz w jej szyję i wdychałem naturalny, prosty zapach Etty, przypominający świeżo zmieloną mąkę. Objąłem EtteMae Harris i rozluźniłem się po raz pierwszy od naszego ostatniego spotkania przed piętnastoma laty.

Szepnęła coś, a ja nie wiedziałem, czy ściskam ją zbyt mocno, czy wymawia moje imię.

Wiedziałem, że ten uścisk jest równoznaczny z przykładaniem sobie nabitej broni do czoła, bo Raymond Alexander, znany wśród przyjaciół jako Mouse, był zabójcą. Gdyby zobaczył, że ktoś tuli w ten sposób jego żonę, zabiłby go bez zmrżenia oka. Ale nie mogłem wypuścić Etty z ramion.

Bliskość jej ciała była warta ryzyka.

— Easy — szepnęła znowu i zdałem sobie sprawę, że przylegam do niej biodrami, nie pozostawiając wątpliwości co do stanu moich uczuć. Chciałem ją wypuścić, ale było to jak pobudka wczesnym rankiem, kiedy po prostu nie możesz się rozstać ze snem.

— Chodźmy do środka, kochanie — szepnęła, przytulając policzek do mojego. — Trzeba go nakarmić.

Dom pachniał południową kuchnią. Etta przygotowała ryż z fasolą na tłuszczu. Zrobiła lemoniadę z cytryn zerwanych u sąsiada. Na środku stołu stał słoik po majonezie, a w nim różowe i czerwone róże. Po raz pierwszy widziałem w swoim domu cięte kwiaty.

Nie był to duży dom. Pomieszczenie, w którym siedzieliśmy, pełniło zarazem funkcję salonu i jadalni.

Strona salonowa mieściła kanapę, krzesło i stolik z orzecha włoskiego, na którym stał telewizor.

Stamtąd przejście przez drzwi prowadziło do wnęki jadalnej. Z tyłu znajdowała się krótka kuchnia z kontuarem i kuchenką.

Także sypialnia była mała. Ten dom mógł pomieścić jednego człowieka; w sam raz spełniał moje wymagania.

— Zwolnij to miejsce, LaMarque — rozkazała Etta. — Mężczyzna zawsze siedzi u szczytu stołu.

— Ale... — zaczął LaMarque, lecz po chwili zrezygnował z dyskusji.

Zjadł trzy talerze fasoli, a potem dwukrotnie policzył dla mnie do stu sześćdziesięciu ośmiu. Kiedy skończył, Etta posłała go na dwór.

— Tylko nie pracuj więcej w ogrodzie.

— Dobra.

Siedzieliśmy po przeciwległych stronach stołu. Patrzyłem jej w oczy i myślałem o poezji i swoim ojcu.

Bujałem się na zawieszanej na drzewie oponie od Forda Model T. Podszedł ojciec i powiedział:

— Naucz się czytać, Ezekielu, a nie będzie dla ciebie rzeczy niemożliwych.

Zaśmiał się, bo uwielbiałem, kiedy ojciec ze mną rozmawiał. Odjechał tej samej nocy i nigdy się nie dowiedziałem, czy mnie porzucił, czy zabito go, kiedy wracał do domu.

Teraz byłem w połowie lektury sonetów Shakes-peare'a, na kursie literatury angielskiej na Uniwersytecie Los Angeles. Miłość, jaką niosła ta poezja, miłość do Etty i do ojca splątały mi się w piersi tak, że ledwo mogłem oddychać. Sama Etta miała coś z sonetu; na dnie jej oczu kryła się epika, cała historia mego istnienia.

Później przypomniałem sobie, że należy do innego mężczyzny, do mordercy.

— Dobrze cię widzieć, Easy.

— Taa...

Pochyliła się w przód, opierając łokcie na stole, podparła dłonią podbródek i powiedziała:

— Ezekielu Rawlins...

Tak brzmiało moje prawdziwe imię i nazwisko. Używali go tylko najbliżsi przyjaciele.

— Co tu robisz, Etta? Gdzie Mouse?

— Wiesz, że rozstaliśmy się wieki temu.

— Słyszałem, że przyjęłaś go z powrotem.

— Tylko na próbę. Chciałam sprawdzić, czy potrafi być dobrym ojcem i mężem. Nie potrafił, więc wyrzuciłam go znowu.

Przed oczyma przemknęły mi ostatnie chwile życia Joppy Shaga. Siedział przywiązany do dębowego krzesła; pot i krew spływały mu z łysej głowy. Kiedy Mouse strzelił mu w pachwinę, Joppy zaryczał i wyprężył się jak dzikie zwierzę. Potem Mouse spokojnie wycelował w jego głowę.

— Nie wiedziałem o tym — odparłem. — Ale czemu jesteś tutaj?

Zamiast odpowiedzi Etta wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Chciałem jej pomóc, ale odepchnęła mnie z powrotem na krzesło ze słowami:

— Tylko mi zawadzasz, Easy. Usiądź i wypij lemoniadę.

Odczekałem minutę, a potem poszedłem za nią do kuchni.

— Mężczyźni to flejtuchy. — Kręciła głową na widok brudnych naczyń na blacie i w zlewie. — Jak możesz żyć w ten sposób?

— Przyjechałaś z Teksasu, żeby mnie uczyć zmywania naczyń?

Znowu trzymałem ją w ramionach. Tak, jakbyśmy podjęli to, co przerwaliśmy na podwórzu. Etta dotknęła dłonią mego karku, a ja zacząłem ją gładzić dwoma palcami po plecach, z góry na dół.

Latami marzyłem o tym, żeby znowu całować Ettę. Czasami leżałem w łóżku z inną kobietą i śniłem, że to Etta. Pocałunki były sycące jak pokarm; budziłem się i odkrywałem, że to tylko sen.

Kiedy Etta pocałowała mnie w kuchni, obudziłem się inaczej. Odsunąłem się od niej, chwiejnie, niezdarnie.

— Nie mogę tego robić — wymamrotałem.

— Przepraszam, Easy. Wiem, że nie powinnam, ale

jechałam autobusem dwa dni razem z LaMarkiem, aż z Houston. Przez całą drogę myślałam o tobie i chyba mnie to trochę rozpało. — Czemu przyjechałaś? — Czułem się, jakbym błagał.

— Mouse oszalał.

— Jak to oszalał?

— Zwariował, kompletnie.

— Etta — prosiłem najspokojniej, jak umiałem. Pragnienie, żeby ją przytulić, osłabło na moment. — Powiedz mi, co on zrobił.

— Wracał do domu o drugiej nad ranem. Pijany w trupa wymachiwał tym swoim pistoletem z długą lufą. Stał na środku ulicy i wrzeszczał, że to on kupił nasz dom i prędzej go spali, niż pozwoli, żeby go traktowano w ten sposób. — To znaczy jak?

— Nie wiem, Easy. To wariat.

Fakt. Kiedy byliśmy młodzi, Mouse nigdy nie rozstawał się z pistoletem i nożem. Zabijał ludzi, którzy się z nim kłócili, i ludzi, którzy przeszkadzali mu w zarabianiu pieniędzy. Zamordował własnego ojczyma, papę Reese'a, ale rzadko występował przeciwko przyjaciołom, a nigdy nie przypuszczałem, że podniesie rękę na EttęMae.

— Więc mówisz, że wypędził cię z Teksasu?

— Wypędził? — zdziwiła się Etta. — Nie uciekam przed tym szczurkiem ani przed nikim innym.

— Więc dlaczego tu jesteś?

— Jakby się czuł LaMarque, gdyby się kiedyś dowiedział, że zabiłam jego ojca? Bo wiesz, miałam go na muszce każdej nocy, kiedy wrzeszczał pod naszym domem.

Przypomniałem sobie, że Etta miała strzelbę kaliber 22, a w torebce nosiła pistolet.

— Po miesiącu tych jego wybryków postanowiłam go zabić. Tej nocy, kiedy miałam to zrobić, LaMarque się obudził i wszedł do pokoju. Czekałam, aż Raymond się pojawi. LaMarque spytał, co robię ze strzelbą, a wiesz, że go nigdy nie okłamywałam. Spytał, co zamierzam

zrobić, a ja odpowiedziałem, że się pakuję i jedziemy do Kalifornii. — Etta ujęła mnie za dłonie. — Tak właśnie powiedziałam, Easy. Nie przyszło mi do głowy, żeby jechać do siostry czy matki do Galveston. Pomyślałam o tobie. Pomyślałam o tym, jaki byłeś słodki, zanim wyszłam za Raymonda. Więc przyjechałam do ciebie.

— Tak po prostu wpadło ci to do głowy po tych wszystkich latach?

— No wiesz — Etta uśmiechnęła się i spojrzała na nasze splątane palce. — Pomogła mi w tym Corinth Lye.

— Corinth? — Znajoma z Houston. Kiedy wpadałem na nią w barze Targets, kupowałem butelkę dżinu, którą wypijaliśmy, siedząc i gadając przez całą noc jak mężczyzna z mężczyzną. Nad ranem zwierzałem się jej z wielu sekretów i uczuć. Nie pierwszy raz alkohol mnie zdradził.

— Tak — potwierdziła Etta. — Napisałam do Corinth o Mousie, kiedy się to wszystko zaczęło. Odpisała mi, jak bardzo wciąż jestem ci bliska. Twierdziła, że powinnam przyjechać tutaj, uciec od wszystkich kłopotów.

— To dlaczego nie jesteś u niej?

— Miałam taki zamiar, kochanie. Ale wiesz, zaczęłam myśleć o tobie w autobusie, opowiedziałam o tobie LaMarque'owi, aż w końcu postanowiliśmy, że przyjedziemy prosto tutaj.

— Tak?

— Mhm — mruknęła, kiwając głową. — I wiesz, cieszę się z tej decyzji. — Jej uśmiech był bezwstydnym.

Uśmiechnęła się i wszystkie lata, które upłynęły od naszego ostatniego spotkania, zniknęły.

Po jedynej nocy, którą spędziłem z Etta, najszcześniejszej nocy mego życia, obudziła się mówiąc o Mousie. Opowiadała mi, jaki jest wspaniały i jakie mam szczęście, że jest moim przyjacielem.

LaMarque nigdy jeszcze nie widział telewizora. Oglądał wszystko, nawet wiadomości. Tego wieczoru mówili o jakimś nieszczęśniku nazwiskiem Charles

Winters. Odkryto, że pracując dla rządu, kradł tajne dokumenty. Reporter oświadczył, że jeśli Winter sowi zostanie udowodniona wina, grożą mu cztery wyroki po dziewięćdziesiąt dziewięć lat.

— Wujku Easy, co to jest komaniska?

— Co, myślisz, że tylko dlatego, że mam telewizor, to muszę wszystko wiedzieć?

— Mhm — przytaknął. LaMarque był prawdziwym skarbem.

— Istnieje wiele rodzajów komunistów, LaMarque. A ten? — spytał, pokazując na ekran. Zdjęcie pana Wintersa już zniknęło. Teraz widzieliśmy, jak Ike bierze zamach do uderzenia golfowego.

— To taki facet, który myśli, że poprawi ludziom życie, kiedy rozbierze to, co mamy w Ameryce, i zbuduje na nowo tak, jak jest w Rosji.

LaMarque otworzył oczy i usta najszerzej, jak potrafił.

— To znaczy, że chcą rozebrać dom mamy i telewizor mamy, tu w Ameryce?

— W świecie, jakiego chce ten człowiek, nikt niczego nie posiada. Na przykład ten telewizor należałby do wszystkich.

— Aha!

LaMarque podskoczył, wymachując piąstkami.

— Co w ciebie wstąpiło? — krzyknęła Etta.

— Komaniska zabierze nam telewizor!

— Czas spać!

— Nieee!

— Powiedziałam, że tak — odparła łagodnie Etta. Przekrzywiła głowę i poruszyła się nieznacznie.

La-Marque opuścił głowę i poszedł wyłączyć telewizor.

— Powiedz dobranoc wujkowi.

— Dobranoc, Wujku Easy — szepnął. Wdrapał się na kanapę, żeby mnie pocałować, a potem usadowił się na kolanach Etty, która zaniósła go do sypialni.

Po kolacji postanowiliśmy, że będą spali w moim łóżku, a ja na kanapie.



### ***Rozdział czwarty***

Około północy leżałem na kanapie, wpatrując się w świetlny punkt na ekranie telewizora. Paliłem Pall Maile, piłem wódkę z gazowanym sokiem grejpfrutowym i zastanawiałem się, czy Mouse mógłby mnie zabić, gdybym siedział w więzieniu. Wyobrażałem sobie, że tak.

— Easy? — zawołała do drzwi sypialni.

— Tak, Etta?

Miała na sobie atłasową koszulę nocną barwy koralu. Usiadła na krześle na prawo ode mnie.

— Śpisz, malutki?

— Mm, nie. Po prostu myślę.

— O czym?

— O tym, jak odwiedziłem cię w Galveston. Wiesz, kiedy ty i Mouse byliście zaręczeni.

Uśmiechnęła się i z trudem zmusiłem się do pozostania na miejscu.

— Pamiętasz tamtą noc? — spytałem.

— Jasne, że tak. Było miło.

— Tak. Widzisz, Etta, w tym właśnie sęk.

— Nie rozumiem. — Nawet sposób, w jaki marszczyła czoło, sprawiał, że chciałem ją pocałować.

— To była najlepsza noc mojego życia. Kiedy obudziłem się rano, zdumiałem się, bo zrozumiałem, że po czymś tak dobrym pozostaje tylko śmierć.

— Nie ma w tym nic złego, Easy.

— Nie ma w tym nic złego, dopóki nie mówisz, że było miło. Wiesz, co powiedziałaś po przebudzeniu?

— Kochanie, minęło piętnaście lat. Jak miałabym to pamiętać?

— Ja pamiętam.

Sprawiła wrażenie zasmuconej. Wyglądała tak, jakby utraciła coś drogiego. Chciałem się ugryźć w język, objąć ją, ale nie mogłem. Przez te wszystkie lata czekałem, żeby powiedzieć jej, jak się wtedy czułem.

— Powiedziałaś mi, że Mouse jest najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałaś.

Powiedziałaś, że mam szczęście, że ktoś taki jest moim przyjacielem.

— To było dawno temu, kochanie.

— Nie dla mnie. Nie dla mnie. — Wyprostowałem się i stwierdziłem, że mam erekcję. Skrzyżowałem nogi, żeby nie zauważyła, jak mi się napinają spodnie. — Pamiętam to tak, jakby zdarzyło się dziś rano. Obudziłaś się i zaczęłaś mówić, jakie mam szczęście, że Mouse jest moim przyjacielem.

Mówiłaś, jaki jest wspaniały. Kochałem cię, nadal cię kocham. A ty nie mogłaś myśleć o niczym innym. Wiesz, wiele kobiet budziło się rano ze słowami, że mnie kochają. Ale mi robiło się od tego niedobrze, bo to nie byłaś ty. Za każdym razem, kiedy któraś wyznawała mi miłość, słyszałem, jak mówisz o Mousie.

Etta smutno potrząsnęła głową.

— To nie byłem ja, Easy. Kochałam cię, naprawdę, jak przyjaciela. Myślę też, że jesteś pięknym mężczyzną. Tak, nie powinnam cię wtedy tak zbyć. Byłam wściekła, bo Raymond gdzieś się szlajał, zaledwie kilka dni po tym, jak powiedziałam mu, że za niego wyjdę. Posłużyłam się tobą, żeby go zranić, ale ty dobrze o wszystkim wiedziałeś. Wiedziałeś, że to, co ci daję, należy do niego. Dlatego właśnie tak bardzo ci się to spodobało. Ale to się działo dawno temu, powinieneś się już z tym uporać. Widzisz, są mężczyźni, którzy wymagają od kobiet różnych rzeczy. Jakby kobiety nie miały własnego rozumu. To tak jak LaMarque, który chce, żebym mu mówiła, że jest najsilniejszym człowiekiem na świecie, kiedy pozwalam mu nosić swoją torebkę. Mówię mu

to, co chce usłyszeć, bo jest jeszcze dzieckiem. Ale ty jesteś mężczyzną, Easy. Gdybym cię okłamała, to bym cię obraziła.

— Wiem, wiem — powiedziałem. — Wiedziałem to i wtedy. Nigdy nic nie mówiłem, ale oto znowu jesteś przy mnie. I oto siedzę z rozdziawioną gębą. Widzisz, Etta, ktoś widział, jak wsiadasz do tego autobusu. Powtórzył komuś innemu, że podobno pojechałaś do Kalifornii. Mouse mógłby stać w tych drzwiach już teraz, albo jutro rano. Pojawi się tu, mogę się założyć. Kiedy się dowie, że byłaś w moim łóżku, nie będzie się długo wahał. — Nie dodałem, że znam go dość długo, żeby się bać. Nie musiałem dodawać. — Raymonda nie obchodzą moi mężczyźni, Easy.

— Może i nie. Ale jeśli pomyśli, że przywłaszczyłem sobie jego żonę i syna, wpadnie w furję. Na dodatek opowiesz mi, że oszalał. Skąd mam wiedzieć, co mu strzeli do głowy?

Nic na to nie odpowiedziała.

Mouse był niskim człowiekiem o rysach gryzonia, który wierzył w siebie bez zastrzeżeń. Bez lęku rzuciłby się na większego faceta, ponieważ wiedział, że nikt nie jest lepszy niż Mouse. Zresztą możliwe, że miał rację.

— Widzisz, mam tyle własnych problemów, że nie powinienem sobie zawracać tobą głowy.

Etta pochyliła się w przód, opierając głowę na łokciach i odsłaniając ciemną bruzdę między piersiami.

— Więc co zamierzasz zrobić, Easy?

— Ja...

— Tak? — spytała, kiedy się zawahałem.

— Znam człowieka nazwiskiem Mofass.

— Kim on jest?

— Zarządza tu kilkoma domami, pracuję dla niego. Etta poprawiła się na krześle, koszula zsunęła się i poczułem ciarki na grzbiecie.

— Tak? — spytała.

— Myślę, że mógłby na moją prośbę znaleźć dla

was mieszkanie. Bez czynszu. — Mówiłem to, ale wbrew sobie. Chciałem ją mieć na własność. Wyprostowała się, a koszula nocna uniosła się jej na piersiach. Sutki prześwitywały przez gładki materiał jak twarde monety.

— A więc tak się sprawy mają? Jechałam taki kawał drogi, a ty mnie wyrzucasz. — Wydeła dolną wargę i delikatnie wzruszyła ramionami. — LaMarque i ja będziemy gotowi w południe.

— Nie musisz się śpieszyć, Etta.

— Nie, nie — zawołała wstając i machając rękami. — Musimy się gdzieś ulokować, a im wcześniej, tym lepiej. Wiesz, że dzieciom potrzebny jest dom.

— Dam ci pieniądze, Etta, mam kupę forsy.

— Oddam ci, jak tylko znajdę pracę.

Po tych słowach patrzyliśmy na siebie przez pewien czas.

Etta była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem. Kiedyś pragnąłem jej bardziej niż samego życia. Fakt, że pozwoliłem jej odejść, był gorszy niż lęk przed więzieniem.

— Dobranoc, Easy — szepnęła.

Chciałem wstać, żeby ją pocałować na dobranoc, ale powstrzymała mnie ręką.

— Nie całuj mnie, kochanie, bo wiesz, myślałam o tobie równie długo, jak ty o mnie.

Poszła do łóżka.

Tej nocy nie spałem. Nie myślałem o niczym ani nie martwiłem się podatkami.

## ***Rozdział piąty***

Budynek rządowy znajdował się w centrum, na Szóstej. Był mały, trzypiętrowy, z czerwonej cegły. Z zewnątrz wyglądał prawie przyjaźnie, zupełnie nie jak budynek rządowy.

Kiedy jednak przekraczało się próg, całe przyjazne złudzenie zniknęło. W portierni siedziała kobieta. Jej blond włosy były tak mocno zaczesane do tyłu, że od samego patrzenia bolała mnie skóra na głowie. Miała na sobie szarą, urzędową marynarkę i ciemne okulary w rogowej oprawie. Spojrzała na mnie mrużąc oczy i mrugając, jakby fryzura naprawdę sprawiała jej ból.

— Czym mogę panu służyć?

— Lawrence. Inspektor Lawrence.

— FBI?

— Nie, dochody.

— Urząd skarbowy?

— Tak to się chyba nazywa. Jak to zwał, tak to zwał, ale każą płacić.

Jak wszyscy urzędnicy instytucji rządowych była grzeczna, ale najwidoczniej nie bawił jej mój dowcip.

— Proszę pójść do końca tego korytarza. — Skinęła ręką. — Potem proszę pojechać windą na drugie piętro. Recepcjonistka pana zaprowadzi.

— Dziękuję — odpowiedziałem, ale już zajęła się czymś ważnym na biurku. Wychyliłem się i zobaczyłem magazyn, który czytała, „The Saturday Evening Post”.

Biuro inspektora Lawrence'a mieściło się na samym

końcu korytarza na drugim piętrze, tuż przy biurku recepcjonistki; kiedy jednak kobieta go zawołała, powiedział jej, żebym czekał.

— Przegląda pańską sprawę — poinformowała mnie gruba brunetka.

Usiadłem na najbardziej niewygodnym krześle z prostym oparciem, jakie kiedykolwiek wyprodukowano. Niższa część była wysunięta dalej niż wyższa, tak że miałem wrażenie, jakbym się garbił. Siedziałem i obserwowałem, jak recepcjonistka wciera w dłonie różowy krem. Zmarszczyła się, patrząc na ręce, a potem zmarszczyła się znowu, widząc, jak patrzę na jej lśniące palce.

Zastanawiałem się, czy zajmowałaby się tak toaletą w obecności białego inspektora podatkowego.

— Rawlins? — zapytał wojskowy głos. Podniosłem wzrok.

Ujrzałem wysokiego białego w pastelowobłękitnym garniturze. Był dobrze zbudowany, a duże dłonie zwisały mu luźno po bokach. Miał brązowe włosy, małe brązowe oczy i był gładko ogolony, chociaż jego szczęki musiały zawsze nosić błękitnawy cień. Jednak pomimo tych wszystkich oznak schludności inspektor Lawrence sprawiał wrażenie niedbałego, zapuszczonego. Taksowałem go wzrokiem przez kilka sekund. Krzaczaste brwi i ciemne koła pod oczami nadawały mu wygląd człowieka żałostnego, może nawet nieco przygłupiego.

Miałem zwyczaj szybkiego oceniania ludzi. Lubiłem sądzić, że uzyskam nad nimi przewagę, jeśli intuicyjnie poznam ich życie prywatne. W przypadku urzędnika podatkowego domyśliłem się pewnego rodzaju kłopotów w domu. Może żona mu się puszczała albo dziecko zachorowało zeszłej nocy.

Po chwili jednak zrezygnowałem z tych rozważań. Nigdy jeszcze nie spotkałem urzędnika państwowego, który przyznałby się do posiadania życia osobistego.

— Inspektor Lawrence? — spytałem.

— Proszę za mną — odparł z gamoniowatym skinieniem głowy. Odwrócił się, unikając kontaktu wzrokowego, i ruszył korytarzem. Inspektor Lawrence mógł być geniuszem kalkulacji podatkowych, ale chodzić nie potrafił za grosz, bo idąc przechylał się z boku na bok.

Miał małe biurko. Zielone, metalowe biurko i szafka identycznego koloru. To samo słońce, które oświetlało mieszkania przy ulicy Magnolii, spowijało blaskiem jego biurko.

Na regale nie stały żadne książki ani papiery. Na biurku nie leżało nic poza paczką Sen-Senów.

Miałem wrażenie, że gdybym zapukał w szafkę, zabębniłaby głucho.

Usiadł za biurkiem, a ja zająłem miejsce przed nim. Krzesło było równie niewygodne jak tamto na korytarzu.

Na ścianie po lewej wisiała przyklepiona taśmą kartka z czerwonymi literami **KOCHAM CIĘ TATO**, zajmującymi całą powierzchnię papieru. Wyglądało to tak, jakby dziecko wywrzaskiwało swoją miłość. Na parapecie stała fotografia w mosiężnej oprawce. Drobną, rudą kobietą o dużych, przestraszonych oczach oraz małym chłopcem, mniej więcej w wieku LaMarque'a kulili się przed wysokim uśmiechniętym mężczyzną, którego widziałem przed sobą.

— Miła rodzina — zauważyłem.

— Mm, tak, dziękuję — wymamrotał. — Rozumiem, że otrzymał pan mój list i wie pan, dlaczego chciałem się z panem spotkać. Nie mogłem znaleźć pańskiego adresu domowego w naszych aktach, więc musiałem liczyć na to, że adres w książce telefonicznej będzie należał do pana.

Od tamtego czasu już nigdy nie figurowałem w książce telefonicznej.

— Jedyнным adresem, jakim dysponowaliśmy — ciągnął Lawrence — był adres biura nieruchomości Fettersa.

— No tak. Mieszkam w tym domu od ośmiu lat — odparłem.

— Tak czy inaczej, chciałbym, żeby napisał pan na

tej kartce swój aktualny adres i numer telefonu. Także do pracy, na wypadek gdybyśmy chcieli się z panem skontaktować w ciągu dnia.

Wyciągnął z szuflady liniowaną kartkę osiem na trzynaście centymetrów i wręczył mi ją. Położyłem kartkę na biurku. Najpierw nic nie powiedział, tylko patrzył. Potem zapytał:

— Czy potrzebny jest panu ołówek?

— Mhm, chyba tak. Nie noszę ze sobą.

Wyjął z szuflady krótki ołówek bez gumki, podał mi go i czekał, aż napiszę to, o co prosił. Przeczytał kartkę dwa lub trzy razy, po czym schował razem z ołówkiem z powrotem do szuflady.

Nie chciałem zaczynać rozmowy. Przyjąłem postawę niewinnego, co jest najtrudniejsze do odegrania przed urzędnikiem rządowym. Jeszcze trudniej jest grać, jeśli faktycznie jesteś niewinny. Policjanci i urzędnicy zawsze odczuwają pogardę dla niewinności; w pewien sposób czują się nią obrażeni.

Ale ja byłem winny, więc siedziałem i liczyłem palce prawej stopy, przyciskając je, jeden po drugim, do podeszwy. Środkowe palce wymagały wielkiej koncentracji.

Doszedłem do sześćdziesięciu czterech, zanim powiedział:

— Masz poważny problem, synu.

Sposób, w jaki nazwał mnie synem, zamiast użyć nazwiska, przeniósł mnie z powrotem do południowego Teksasu, w czasy przed drugą wojną światową. Wtedy najdrobniejsza nawet omyłka językowa niosła ze sobą złowrogie konsekwencje dla czarnego.

Mimo to uśmiechnąłem się z największą pewnością, na jaką mnie było stać.

— Musiała zajść pomyłka, panie Lawrence. Przeczytałem pański list. Nie posiadam nic, poza tym małym domkiem, który miałem już w czterdziestym szóstym.

— To nieprawda. Wiem z wiarygodnych źródeł, że



w ciągu ostatnich pięciu lat nabył pan domy mieszkalne przy ulicy Sześćdziesiątej Czwartej, Mc Kinley Drive oraz Magnolii. Wszystkie zostały wystawione przez urząd miejski na licytację z powodu niepłaconych podatków.

Nawet nie czytał, po prostu klepał historię mojego życia, jakby znał ją na pamięć.

— O jakich źródłach pan mówi?

— To, skąd czerpiemy informacje, nie powinno pana interesować. W każdym razie nie wcześniej, niż sprawa trafi do sądu.

— Sądu? Ma pan na myśli proces?

— Uchylenie się od podatków to przestępstwo — oświadczył i zawahał się. — Czy pojmuje pan powagę tego zarzutu?

— Tak, ale nic podobnego nie zrobiłem. Pracuję tylko jako dozorca dla człowieka nazwiskiem Mofass. — Dla kogo?

— Dla pana Mofassa. To człowiek, dla którego pracuję.

— Jak to się pisze?

Wymyśliłem coś, a on zapisał to na kartce z adresem.

— Czy przyniósł pan dokumenty, o które prosiłem w liście?

Widział dobrze, że nic nie przyniosłem.

— Nie, proszę pana. Sądziłem, że to wszystko pomyłka i nie muszę się tym przejmować.

— Będę potrzebował pańskich wszystkich danych finansowych dotyczących ostatnich pięciu lat. Chodzi o kompletną dokumentację pańskich dochodów.

— No cóż — zacząłem z uśmiechem, nienawidząc się za ten uśmiech. — To może mi zająć kilka dni. Wie pan, mam w szafie parę pudeł po butach, ale część z nich może być też w garażu, skoro chodzi o tak odległą przeszłość. Pięć lat to długi okres.

— Niektórzy robią dużo hałasu na temat wolności i równości, ale kiedy przychodzi do spłacania długów, zaczynają śpiewać inaczej.

— Ja niczego nie śpiewam, człowieku. — Powiedziałbym więcej, ale mi przerwał.

— Wyjaśnijmy to sobie, Rawlins. Jestem tylko inspektorem rządowym. Moja praca polega na wykryciu oszustwa podatkowego, jeśli takie zaistnieje. Nie żywię żadnych uczuć w stosunku do pana. Poprosiłem, żeby pan tu przyszedł, bo mam powody, by sądzić, że oszukał pan rząd. Jeśli mam rację, zostanie panu wytoczony proces. To nic osobistego. Po prostu wykonuję swoją pracę.

Nie miałem nic do powiedzenia. Spojrzał na zegarek i stwierdził:

— Dziś i jutro mam mnóstwo pracy. Służyłeś w wojsku, tak synu?

— Co z tego?

Potał dolną część twarzy, przyglądając mi się uważnie. Na kostce prawej dłoni zauważyłem mały strupek w kształcie litery L.

— Zadzwoń do pana dziś po południu, punktualnie o trzeciej — oświadczył. — Wtedy powiem panu, kiedy możemy się spotkać, żebym mógł przejrzeć dokumentację o pańskich przychodach. Chcę widzieć wszystkie dane o podatkach i wyciągi z banku. Możliwe, że nie spotkamy się w zwykłych godzinach urzędowych, bo w tym miesiącu mam mnóstwo pracy. Wujka Sama próbują oszukać ryby znacznie grubsze niż pan, ale ja je wszystkie złapię.

Jeśli inspektor Lawrence miał kłopoty w domu, zamierzał dopilnować, żeby cały świat za nie zapłacił.

— Dlatego możliwe, że nie będę mógł się z panem spotkać wcześniej niż jutro wieczorem. — Z tymi słowami wstał.

— Jutro! Na jutro z tym wszystkim nie zdążę!

— Za pół godziny mam spotkanie w sądzie federalnym, zatem proszę mi wybaczyć. — Otwartą dłonią pokazywał mi drzwi.

— Panie Lawrence...

— Zadzwoń do pana o trzeciej. Każdy żołnierz potrafi być punktualny.

## *Rozdział szósty*

Natychmiast po wyjściu poszedłem do telefonu. Powiedziałem Mofassowi, żeby przygotował mieszkanie na dwie osoby w domu przy Sześćdziesiątej Czwartej. Potem zadzwoniłem do Alfreda Bontempsa, który mieszkał u matki.

— Tak? — usłyszałem jej słodki głos.

— Pani Bontemps?

— Czy to pan, Easy Rawlins?

— Mhm, tak. Jak się pani miewa?

— Świetnie. — W jej głosie brzmiała wdzięczność. — Wie pan, że dzięki panu Alfred wrócił do domu.

— Wiem. Pojechałem tam po niego. Widziałem, jak bardzo pani za nim tęskni.

Alfred, syn pani Bontemps, ukradł trzysta dolarów Slydellowi, bukmacherowi z sąsiedztwa, a potem uciekł, bo bał się, i słusznie, że Slydell chce go zabić. Alfred ukradł te pieniądze, bo jego matka była chora i potrzebowała lekarza. Slydell wynajął mnie, żebym odszukał chłopaka i forszę. Poszedłem prosto do pani Bontemps i powiedziałem, że jeśli nie powie mi, gdzie jest Alfred, Slydell go zabije. Podała mi adres, kiedy opowiedziałem jej, jak Slydell oberwał kiedyś ucho facetowi, który ukradł mu dekle z samochodu.

— Ale przecież pan dla niego pracuje — powiedziała ze łzami w oczach.

— To tylko interesy, proszę pani. Jeśli odzyskam

to, czego chce Slydell, może będę mógł z nim ubić interes.

Tak bardzo się bała, że wyjawiała mi kryjówkę Alfreda. Wielu mężczyzn straciło życie przez kobiecą miłość.

Odszukałem Alfreda, wrzuciłem do swojego Forda i zawiozłem do hotelu przy ulicy Grand w Los Angeles. Potem pojechałem do kantoru bukmachera, który mieścił się na tyłach zakładu fryzjerskiego przy Avalon.

Dałem Slydellowi czterdzieści dwa dolary, które zostały Alfredowi i oświadczyłem:

— Slydell, Alfred będzie ci spłacał resztę długu po piętnaście dolarów co miesiąc.

— Już to widzę!

Nie miałem zamiaru dać chłopakowi zginąć po tym, jak go znalazłem, więc wyjąłem pistolet i przyłożyłem go do srebrnego zęba bukmachera.

— Powiedziałem, że odzyskasz forszę, człowieku. Alfred nie zapłaci ci, kiedy będzie martwy.

— Nie mogę pozwolić, żeby temu chłopakowi uszła na sucho kradzież. Muszę dbać o reputację, Easy. Slydell był twardy tylko wobec ludzi, którzy bali się przemocy. Wiedział, że się nie ugnę.

— Albo ty, albo on, stary — ostrzegłem. — Wiesz, że nie lubię, kiedy ktoś zabija dzieci.

Obeszło się bez rozlewu krwi. Alfred dostał dobrą pracę w parkach miejskich, spłacił dług Slydellowi, a jego matka mogła korzystać z ubezpieczenia.

Od tego czasu zostałem adoptowanym synem pani Bontemps.

— Easy, czy kiedykolwiek masz zamiar się ożenić? — pytała.

— Jeśli tylko znajdzie się chętna.

— O, jesteś dobrą partią, kochany — zapewniała mnie. — Znam mnóstwo kobiet, które poszłyby za tobą w ogień.

W tym momencie jednak interesował mnie wyłącznie Alfred. Był niskim, bojaźliwym chłopcem w wieku

około dwudziestu lat. Czuł się moim dłużnikiem za to, że stanąłem w jego obronie, a poza tym myślę, że z radością wrócił do matki.

— Czy mógłbym rozmawiać z Alfredem?

— Pewnie, Easy. Może przyjdiesz do nas kiedyś na kolację?

— Z przyjemnością.

Po chwili odezwał się Alfred.

— Panie Rawlins?

— Słuchaj, Alfred, muszę dziś kogoś przeprowadzić. Potrzebuję pomocnika, który nie zacznie o tym paplać.

— Załatwione, panie, mm, Easy. Na kiedy potrzebna panu pomoc?

— Znasz mój dom przy Sto Szesnastej?

— Nie bardzo.

Podąłem mu adres i powiedziałem, żeby stawił się tam o wpół do drugiej.

— Najpierw jednak pójź do biura Mofassa i powiedz mu, że do przeprowadzki będzie potrzebna jego ciężarówka.

Cały czas, kiedy rozmawiałem przez telefon, gryzłem się perspektywą, że rząd odbierze mi wolność i pieniądze. Nie pozwoliłem jednak, żeby perspektywa stała się obsesją. Bałem się, co mogłoby się stać, gdybym na to pozwolił.

Po rozmowach telefonicznych poszedłem do baru Targets. Pora była wczesna, ale potrzebowałem odrobiny alkoholu i spokoju.

Barmanem w Targets był John McKenzie. Był też kucharzem, wykidajłą, oraz, mimo że jego nazwisko nie figurowało w papierach, także właścicielem. Dawniej posiadał nielegalny bar w Watts, ale policja w końcu mu go zamknęła. Do komisariatu wprowadził się uczciwy policjant, który, ze względu na różnice między uczciwymi murzyńskimi przedsiębiorcami a uczciwymi gliniarzami, wyłączył z interesów naszych najlepszych biznesmenów.

John nie mógł dostać licencji na alkohol, ponieważ w młodości przemycił wódkę. Kupił więc sklep, ustawił w nim mahoniowy kontuar i osiemnaście okrągłych stołów z drzewa klonowego. Następnie dał dziewięć tysięcy dolarów Odellowi Jonesowi, który wpłacił je do banku. W rzeczywistości bar należał do Johna; on go prowadził, zbierał pieniądze i płacił czynsz. W zamian za tę przysługę Odell mógł przychodzić do Targets, kiedy mu się podobało i pić do woli.

To właśnie John podsunął mi pomysł kupienia domu poprzez fikcyjną korporację.

Odell pracował jako dozorca w Pierwszej Afrykańskiej Diennej Szkole Baptystycznej mieszczącej się na rogu, tuż za barem.

W dniu, kiedy wróciłem z urzędu podatkowego, Odell siedział przy swoim stoliku, jedząc, jak zwykle, kanapkę z jajkiem i boczkiem przed powrotem do pracy. John stał na końcu baru oparty o blat, jakby wpatrując się w dawne czasy, kiedy był ważnym człowiekiem.

— Easy.

— Dzień dobry, John. Podaliśmy sobie ręce.

John miał twarz jak wyrzeźbioną z hebanu. Był wysoki i twardy. Nie miał ani grama zbędnego tłuszczu, a mimo to był potężnym facetem. Nadawał się świetnie do prowadzenia baru czy nielegalnej knajpy, bo przemoc nie stanowiła dla niego problemu. Wolał jednak spokój.

Postawił przede mną drinka i dotknął kostki mojej dłoni. Kiedy spojrzałem w jego nieugięte, białobrązowe oczy, powiedział:

— Easy, był tu dziś Mouse.

— Tak?

— Pytał o EttęMae, a kiedy niczego się nie dowiedział, pytał o ciebie.

— Co chciał wiedzieć?

— Gdzie się podziewasz i z kim. Takie rzeczy.

Przyszedł z Ritą Cook. Potem poszli do niej na poobiednią drzemkę.

— Tak?

— Myślałem po prostu, że będziesz chciał wiedzieć, że pojawił się twój dawny przyjaciel.

— Dzięki, John. A tak przy okazji...

— Tak? — Spojrzał na mnie tym samym martwym, nieobecnym wzrokiem, jakim omiatał klienta zamawiającego whisky albo uzbrojonego bandytę domagającego się wydania zawartości kasy.

— Ktoś gadał o domach, które kupiłem jakiś czas temu.

— Mhm.

— Mówiłeś komukolwiek o papierach, które załatwiliśmy?

Początkowo ruszył ramionami, jakby miał zamiar odejść bez słowa, ale potem wyprostował się i powiedział:

— Easy, gdybym chciał cię wykończyć, wsypałbym ci coś do whisky albo wynająłbym jednego z czarnuchów, żeby poderznął ci gardło. Chyba mnie znasz, co?

— Jasne, John, ale wiesz, musiałem cię zapytać. Znów uścisnęliśmy sobie dłonie, znowu przyjaciele, po czym odszedłem od baru.

Przywitałem się z Odellem. Ustaliliśmy, że spotkamy się w ciągu najbliższych dni. Czułem, że wróciłem na wojnę. Układałem plany na najbliższe godziny, nie mając jednak pewności, że tych godzin dożyję.

— Cześć, Easy — powitała mnie chłodno Etta. Ziemiaki znowu rosły w ziemi, a klomby kwiatów zostały uprzątnięte. Mój dom pachniał czystiej niż kiedykolwiek, a mnie było przykro, tak przykro, że chciało mi się płakać.

— Cześć, wujku Easy! — wrzasnął LaMarque. Skakał na mojej kanapie w górę i w dół, w górę i w dół, jak mały wariat albo mały chłopiec.

— Mouse pojawił się dziś w barze Johna McKenzie. Szukał ciebie i pytał o mnie — powiadomiłem Ette.

— Więc przyjdzie tu jutro, kiedy mnie i LaMarque'a już nie będzie.

— Skąd wiesz, że nie idzie tu w tej chwili?

— Mówiłeś, że był w barze Johna McKenzie?

— Tak.

— Wobec tego albo był z dziewczyną, albo na jakąś polował.

Nic nie odpowiedziałem, więc mówiła dalej:

— Raymond zawsze musi coś przelecieć, kiedy przyjeżdża do nowego miasta. Dlatego przyjdzie tu jutro, kiedy zaliczy swoją dupę.

Wstyd mi było, że mówi w ten sposób i rozejrzałem się za LaMarkiem. Jej słowa także mnie podniecały. Nie chciałem nic czuć do kobiety Mouse'a, ale moje życie było tak marne, że odczuwałem pewien niepokój.

Na szczęście przyjechał Alfred. Był drobnym chłopcem, niewiele wyższym niż mały ulicznik, ale potrafił pracować. Załadował na ciężarówkę torby Etty i łóżko / . mojego garażu. Dałem jej też krzesło i stół ze swego magazynu porzuconych mebli.

Przed odjazdem Etta nieco złagodniała.

— Odwiedzisz nas, Easy? — zapytała. — Wiesz, że LaMarque cię lubi.

— Muszę tylko odzepić się od tego faceta od podatków i przyjdę. Dwa dni, najwyżej trzy, Etta.

— Powiedz Raymondowi, że nie chcę go widzieć. Powiedz, że nie chciałam, żebyś podawał mu mój adres.

— Co będzie, jeśli wyciągnie spluwę? Chcesz, żebym go zastrzelił?

— Easy, jeśli on wyciągnie spluwę, to wszyscy jesteśmy martwi.



## ***Rozdział siódmy***

Kiedy zostałem sam, usiadłem przy telefonie. Za pięć trzecia. Gdyby Lawrence zadzwonił punktualnie, wszystko byłoby w porządku. Minuty rozciągnęły się jednak do pół godziny, potem do godziny. W tym czasie myślałem o wszystkim, co miałem utracić, o domach, pieniądzach, wolności. Myślałem o tym, jak łatwo nazwał mnie „synem”. W tamtych czasach wielu białych nadal uważało za rzecz oczywistą, że czarny to ktoś taki jak dziecko.

Było już dobrze po czwartej, kiedy zadzwonił.

— Rawlins?

— Tak.

— Chcę, żebyś przyszedł do mojego biura dziś wieczorem, o wpół do siódmej. Zawiadomiłem kogoś na dole, więc nie będziesz miał kłopotów z wejściem.

— Dziś wieczorem? Nie dam rady skompletować wszystkiego tak szybko.

Marnowałem jednak słowa, bo już odłożył słuchawkę.

Poszedłem do garażu i wyciągnąłem pudełko z papierami. Płaciłem podatki od pensji, którą wypłacałem sobie przez Mofassa, ale nie od kradzionych pieniędzy; w roku 1948 sprawa jeszcze nie przyschła, a potem były to już pieniądze niezgłoszone. Większość dochodów z czynszów przeznaczyłem na zakup nowych nieruchomości. Łatwiej było obracać gotówką, nie informując rządu o przychodach.

Pojechałem do Mofassa. Nie miałem zbyt wielu możliwości, a żadna z nich nie przedstawiała się szczególnie obiecująco.

Po drodze usłyszałem głos przemawiający w mojej głowie:

— Ten skurwysyn nie ma prawa tak tobą pomiatać, żadnego prawa.

Zignorowałem go jednak. Ująłem mocniej kierownicę i skoncentrowałem się na drodze.

Nie wygląda to dobrze, panie Rawlins. — Mofass gryzł to swoje grube cygaro.

— A co z tym wstecznym datowaniem papierów, o którym mówiłeś? — Siedzieliśmy w jego biurze, spowici w kłęby tytoniowego dymu.

— Sam pan mówił, że nie zna pan nikogo z takimi pieniędzmi.

— A ty?

Mofass spojrzał na mnie podejrzliwie i odepchnął się na fotelu obrotowym.

Siedział tak, przyglądając mi się przez pełną minutę, zanim potrząsnął głową.

— Nie.

— Muszę to zrobić, Mofass. Jeśli tego nie zrobię, trafię do więzienia.

— Współczuję panu, ale muszę odmówić. Tak jest w interesach. Są rzeczy, których się po prostu nie robi. Niech pan spojrzy na to z mojej strony. Pracuję dla pana, zbieram czynsz i pilnuję, żeby wszystko szło gładko. Nagle chce pan wszystko przepisać na moje nazwisko. Ja jestem właścicielem — powiedział, wskazując wszystkimi palcami na pierś — ale pan dostaje forszę.

— John McKenzie robi tak z Odellem Jonesem.

— Z tego, co mi pan mówił, Odell po prostu lubi pić, a ja jestem biznesmenem; nie może mi pan ufać.

— Akurat!

— Widzi pan. — Otworzył szeroko oczy i wydał policzki, upodabniając się do dużego, brązowego karpia. — Nie darowałby mi pan, gdyby się pan dowiedział, że robię machlojki z pana forszą. Teraz wszystko jest w porządku, bo nasz związek jest legalny. Nie mógłby mi pan jednak ufać, gdyby nagle wszystko, co należy do pana, przeszło na moją własność. Co by się stało, gdybym nagle stwierdził, że należy mi się więcej, a pan by się nie zgodził? Według prawa, domy należałyby do mnie.

— Człowieku, gdybyśmy sfałszowali dokumenty, nie moglibyśmy się procesować.

— Właśnie, panie Rawlins. Gdybym się teraz zgodził, jedyną instancją byłibyśmy dla siebie my sami. Nie jesteśmy rodziną. Łączą nas tylko interesy. I powiem panu — wycelował we mnie wielkie, czarne cygaro. — Nie ma większej nienawiści niż nienawiść do kogoś, kto oszukał pana w interesach.

Mofass usiadł wygodniej i wiedziałem już, że nie mogę na niego liczyć.

— A więc to koniec, he?

— Jeszcze w ogóle nie próbował pan kłamać, panie Rawlins. Niech pan tam idzie z papierami, kłamie i zobaczy, co jest do zyskania.

— Ten człowiek mi grozi procesem, Mofass.

— Pewno. Tak właśnie postępują, próbują pana nastraszyć. Niech pan mu pokaże dokumentację przychodów i zapyta, skąd jego zdaniem miał pan wziąć pieniądze za zakup domów. Musi pan grać biedaka. Biali uwielbiają myśleć, że jest pan gównem.

— A jeśli to nie poskutkuje — zachrypiał głos w mojej głowie — zabij skurwiela.

Próbowałem otrząsnąć się z ponurego nastroju, w jaki wprowadził mnie ten głos. Chciałem pojechać prosto do urzędu podatkowego, ale zamiast tego pojechałem do domu i wyjąłem z szafy obrzyna.

Oczyściłem go, naoliwiłem i naładowałem. Poczulem strach, bo wprawdzie czasem nosiłem dwudziestkę piątkę dla

samoobrony, ale trzydziestka ósemka była bronią zabójczą. Wciąż myślałem o tym niezdarnym białym, o tym, że ma dom i rodzinę, do której wraca. Obchodziło go tylko, żeby pewne liczby zerowały się na kartce papieru.

— Ten człowiek to rząd — powiedziałem, żeby przekonać siebie o głupocie zabierania rewolweru.

— Jak facet chce ci coś odebrać — odparł głos lepiej, żeby miał pokrycie na swoje słowa.

Drzwi frontowe budynku rządowego były ciemne i zamknięte, ale na moje stukanie pojawił się niski Murzyn. Miał na sobie szare ogrodniczki i koszulę w kratę. Zastanawiałem się, czy cokolwiek posiada.

— Pan jest Rawlins?

— Zgadza się.

— Wobec tego może pan iść na górę. Znajdowałem się w takim stanie, że zwracałem uwagę tylko na krew tętniącą mi w głowie. Tętniła Kłóšno i uporczywie. Domagała się więcej krwi, krwi urzędnika podatkowego. Miałem zamiar powiedzieć mu o pieniądzach, które zarobiłem, a on albo uwierzy, albo go zastrzele. Jeśli chcieli mnie zamknąć, zamierzałem dostarczyć im dobrego powodu. Może zabiję go tak czy inaczej.

Może zabiłbym też Murzyna w ogrodniczkach, nie wiem. Czasem mnie po prostu ponosi. W chwilach napięcia odzywa się ten głos. Podczas wojny kilkakrotnie ocalił mi życie. To były jednak ciężkie czasy; decyzje w sprawach życia i śmierci podejmowało się z łatwością.

Być może nie byłbym tak nakręcony, gdyby Lawrence okazał mi ten sam szacunek co innym. Nie jestem „synem” dla żadnego białego.

Podchodząc do drzwi, odbezpieczyłem rewolwer. Wchodząc słyszałem głosy, ale mimo to zdziwiłem się, kiedy zobaczyłem, że ktoś siedzi obok niego. Przycisnąłem palec do spustu. Pamiętam, jak zaniepokoiłem się, że mogę sobie strzelić w stopę.

— Oto on — mówił Lawrence. Był jedynym człowiekiem, jakiego znałem, który tak nieporadnie siedział

na krześle. Przechylał się na bok i ścisnął za poręcz, żeby nie upaść na podłogę.

Mężczyzna siedzący naprzeciw niego wstał. Był żylasty, niższy ode mnie i od Lawrence'a, miał może metr sześćdziesiąt pięć. Błada skóra, gęste, brązowe włosy, owłosione dłonie. Zauważyłem to później, kiedy podszedł i podał mi rękę. Żeby mu podać dłoń, musiałem wypuścić rewolwer; tylko dlatego nie zabiłem Reginalda Lawrence'a.

— Wiele o panu słyszałem, panie Rawlins — powiedział żylasty. — Jestem szczęśliwy, że mogę pana poznać.

— Tak, proszę pana — odparłem.

— Craxton! — krzyknął. — Agent specjalny Derryl T. Craxton! FBI!

— Miło mi pana poznać.

— Agent Craxton chciałby coś z panem omówić, panie Rawlins — powiedział Lawrence.

Kiedy oderwałem rękę od broni, szansa popełnienia morderstwa spadła do zera.

— Mam tu papiery, o które pan prosił — powiedziałem.

— Niech pan da z tym spokój. — Craxton machnął lekceważąco ręką w stronę pudełka po butach, które trzymałem pod pachą. — Mam dla pana patriotyczne zadanie. Lubi pan walczyć dla swego kraju, prawda Ezekiel?

— Robiłem to, kiedy musiałem.

— Tak. — Uśmiech Craxtona odsłaniał krzywe zęby z dużymi odstępami. Mimo to sprawiały wrażenie mocnych, jak białe-brązowe pieńki, których nie można by usunąć bez dynamitu.

— Omawiałem pańską sprawę z obecnym tu panem Lawrence'em. Szukam kogoś, kto pomógłby mi w pewnej misji, a pan jest najlepszym kandydatem.

— Jakiego rodzaju misji? Craxton uśmiechnął się znowu.

— Pan Lawrence mówił mi, że przeoczył pan płacenie podatków w ciągu ostatnich kilku lat.

— Ten pan jest podejrzany o uchylanie się od podatków, oto co powiedziałem.

— Pan Rawlins jest bohaterem wojennym — odparł Craxton. — Kocha swój kraj i nienawidzi naszych wrogów. Taki człowiek nie uchyla się od odpowiedzialności, panie Lawrence. Wierzę, że się po prostu pomylił.

Lawrence wyjął białą chustkę i dotknął nią warg. Craxton znowu zwrócił się do mnie.

— Mógłbym załatwić spłacanie zaległych podatków na raty, jeśli nie ma pan gotówki. Potrzebna mi tylko mała pomoc. Nie. Nie. Inaczej. Wszystkiego, czego potrzebuje pański kraj, to mała pomoc.

Lawrence wyprostował się na te słowa.

— Sądziłem, że chce pan z nim tylko porozmawiać. Zanim zdążył powiedzieć więcej, wtrąciłem pośpiesznie.

— Wie pan, panie Craxton, zawsze byłem dobrym obywatelem. Dlatego przychodzę tu o takiej porze. Chcę pokazać, że jestem dobrym obywatelem. — Też umiałem być grzeczny; w niczym nie ustępowałem LaMarque'owi.

— Widzi pan, panie Lawrence? Pan Rawlins pragnie nam pomóc. Nie ma powodu do kontynuowania tego dochodzenia. Coś panu powiem. Pan Rawlins i ja wykonamy pewną pracę, a potem ja przeniosę jego akta do Waszyngtonu. W ten sposób nie będzie się pan musiał więcej zajmować jego sprawą. Reginald Lawrence złapał mocniej za poręcz krzesła.

— To nie jest właściwa procedura, agencie Craxton. Craxton tylko się uśmiechnął.

— Będę zmuszony porozmawiać z moim przełożonym — ciągnął urzędnik podatkowy.

— Niech pan zrobi to, co uważa pan za stosowne. — Craxton nie przestawał się uśmiechać. — Cenię ludzi, którzy wykonują swoją pracę. Robią to, co uważają za właściwe. Jeśli każdy będzie tak postępował, ten kraj będzie zdrowy i bezpieczny.

Krew uderzyła Lawrence'owi do twarzy. Serce biło mi jak ulatujący ptak.

## ***Rozdział ósmy***

— Hollywood to mile miejsce — mówił agent specjalny Craxton, sącąc 7-Up.

Ja piłem fikołka. Siedzieliśmy w małym barze, „U Adolfa”, przy Sunset Boulevard niedaleko La Cienega. „U Adolfa” założono jeszcze przed wojną, tak więc nadal nosił swą niepopularną nazwę. Kiedy weszliśmy, zastąpił nam drogę człowiek w czerwonej marynarce i cylindrze.

— Czym mogę panu służyć?

— Odsuń się — odparł Craxton.

— Może pan nie rozumie — mówił odźwierny, unosząc dłoń. — To ekskluzywny lokal, nie każdy może tu wchodzić.

Patrzył mi prosto w oczy.

— Słuchaj, koleś. — Craxton odsłonił lewą klapę płaszcza, gdzie ukazała się odznaka FBI. — Albo natychmiast otwierasz, albo was zamknę na dobre.

Po tym wydarzeniu podszedł właściciel i usadził nas przy pianinie. Zaproponował darmowe drinki i jedzenie, których Craxton nie przyjął. Nikt nam więcej nie przeszkadzał. Pamiętam, jak pomyślałem, że biali boją się prawa nie mniej niż kolorowi. Oczywiście zawsze wiedziałem, że między rasami nie ma istotnych różnic, ale mimo to miło było zobaczyć przykład tej równości.

Myślałem o tym i o nieoczekiwanym ocaleniu od komory gazowej. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że

zastrelilibym inspektora Lawrence'a, gdyby brzydki mężczyzna siedzący teraz przede mną nie podał mi ręki.

— Co pan wie o komunizmie, panie Rawlins? — spytał Craxton. Mówił jak nauczyciel; zostałem wywołany do odpowiedzi.

— Proszę mnie nazywać Easy, tym imieniem się posługuję. — Skinął głową, a ja odpowiedziałem: — Według mnie, czerwoni są o stopień gorsi niż faszyci, ihyba, że jest pan Żydem. Dla Żydów nie są gorsi niż faszyci.

Powiedziałem to, co chciał usłyszeć człowiek z FBI. W istocie moje uczucia były bardziej złożone. Podczas wojny Rosjanie byli naszymi sojusznikami, najlepszymi przyjaciółmi. Paul Robeson, wielki murzyński śpiewak i aktor, pojechał na tournée do Rosji i nawet mieszkał tam przez pewien czas. Był gościem Józefa Stalina na Kremlu. Potem jednak wojna się skończyła i znowu zostaliśmy wrogami. Kariera Robesona była zniszczona; wyjechał z Ameryki.

Nie rozumiałem, jak można jednego dnia z kimś się przyjaźnić, a drugiego być jego wrogiem. Nie rozumiałem, czemu człowiek taki jak Robeson rezygnuje ze wspaniałej kariery dla polityki.

Agent Craxton skinął głową na moją odpowiedź i postukał się w kość policzkową owłosionym palcem.

— Wielu Żydów jest komunistami. Marks, dziadek wszystkich czerwonych, był Żydem.

— Myślę, że są różni Żydzi, tak jak wszyscy inni ludzie są różni.

Przytaknął, ale nie miałem pewności, czy się ze mną zgadza.

— Co do jednej rzeczy ma pan rację: czerwoni są źli. Chcą opanować i zniewolić cały świat. Nie wierzą w wolność tak jak Amerykanie. Rosjanie tak długo byli chłopami, że widzą świat z perspektywy łańcuchów.

Pomyślałem, jakie to dziwne, że biały robi mi wykład o niewolnictwie.

— Tak, niektórzy ludzie zaczynają kochać łańcuchy.



Craxton uśmiechnął się przesadnie. Przez sekundę błysk podziwu rozjaśniał jego orzechowe oczy.

— Wiedziałem, że się zrozumiemy, Easy. Jak tylko zobaczyłam twoje akta policyjne, wiedziałem, że jesteś człowiekiem, jakiego szukamy. — To znaczy jakim?

Pianista grał *Dwoje sennych ludzi*, wesoło i żywo.

— Człowiekiem, który chce służyć swemu krajowi, człowiekiem, który wie, co znaczy walczyć i może podjąć parę razy ryzyko. Człowiekiem, który nie idzie na ugodę z obcym mocarstwem twierdząc, że proponuje mu lepsze warunki.

Miałem wrażenie, że Craxton nie widzi rozmówcy, ale oglądałem w „Life” zdjęcia Leavenwortha, więc udawałem człowieka, którego opisywał Craxton.

— Chaim Wenzler — powiedział Craxton.

— Kto?

— Jeden z komunistycznych Żydów. Spiskowiec. Mówi o sobie „robotnik”. Organizował związki zawodowe od Alameda aż po Zakłady Lotnicze Championa. Zna pan Championa, prawda Easy? Było to ostatnie miejsce, gdzie naprawdę pracowałem.

— Pracowałem tam na produkcji pięć lat temu

— potwierdziłem.

— Wiem — odparł Craxton.

Z kieszeni marynarki wyjął złożoną kartkę brązowego papieru. Była poplamiona i wygnieciona.

Wyglądził ją przede mną. U góry widniał duży, czerwony napis „Obiekt Specjalny Policji Los Angeles”, a niżej „obiekt

— Ezekiel Rawlins, znany jako Easy Rawlins”.

— Mamy tu wszystko, co chcemy wiedzieć, Easy. Historia wojenna, kontakty ze światem przestępczym, historia zatrudnienia. W roku 1949 jeden z policyjnych detektywów złożył raport, według którego miał pan związek z serią zabójstw, jakie miały miejsce rok wcześniej. Później, w roku 1950, pomógł pan schwytać gwałciciela działającego w dzielnicy Watts. Szukałem

Murzyna, który by dla nas pracował. Kogoś, kto mógł mieć w przeszłości trochę kłopotów, ale nie na tyle poważnych, żebyśmy go nie mogli oczyścić, gdyby tylko okazał nieco inicjatywy i patriotyzmu. Wtedy zadzwonił Clyde Wadsworth i powiedział mi o panu.

- Kto?

- Wadsworth, przełożony Lawrence'a. Kilka tygodni wcześniej Clyde miał na biurku pańskie akta. Znał dzielnicę, w której pan mieszka i zadzwonił do mnie, ku korzyści wszystkich. — Postukał w papier czystym, równo przyciętym paznokciem. — Jest pan nam potrzebny, bo chcemy tego Wenzlera dobrze przez pana poznać. Musimy wiedzieć, czy rano wkłada spodnie najpierw na lewą czy na prawą nogę.

— Jak mógłbym to zrobić, skoro całe FBI nie daje rady?

— To chytry Żyd. Wiemy, że siedzi po szyję w czymś brzydkim, ale za cholere nie możemy tego udowodnić. Widzi pan, Wenzler nigdy nie wiąże się z miejscem, w którym rozwija działalność organizacyjną. Nie pracuje tam. Wynajduje sobie blondynka, który zostaje jego rzecznikiem. Tak właśnie postąpił z Andre Lavenderem. Zna go pan? — Craxton spojrzał mi w oczy, czekając na odpowiedź.

Pamiętałem Andre, dużego, niechlujnego faceta. Pomimo swej wagi miał energię dziesięciu ludzi. Zawsze knuł plany szybkiego wzbogacenia się. Przez pewien czas sprzedawał mrożone steki, potem przerzucił się na budownictwo. Andre był w porządku, ale zbyt łatwo się podniecał; nawet kiedy zarobił parę dolców, równie N/.ybko je przepuszczał.

— Bogaci i ważni ludzie muszą wydawać pieniądze, Kasy — oznajmił kiedyś. Jeździł wtedy wynajętym Cadillakiem, którym rozwoził mrożone steki.

— Nie przypominam go sobie — odpowiedziałem agentowi specjalnemu Craxtonowi.

— No cóż, może nie było o nim głośno, kiedy pracował pan u Championa, ale dziś to związkowiec.

Chłopiec Chaima Wenzlera. — Craxton taksował mnie wzrokiem. Położył płasko dłoń na moich aktach, jak człowiek składający przysięgę na świętą księgę. Potem nachylił się nad stołem i zaczął szeptać. — Widzisz, Easy, pod wieloma względami FBI to ostatnia linia obrony. Mamy dziś wielu różnych wrogów na całym świecie: w Europie, w Azji, wszędzie. Ale prawdziwi wrogowie, tacy, na których musimy szczególnie uważać, są tu w kraju. Tacy, którzy nie są w środku Amerykanami, i to wcale.

Zatopił się w myślach. Moja twarz musiała wyrażać rozterkę, bo dodał:

— Musimy ich powstrzymać. Musimy zwrócić na nich uwagę Kongresu i sądów. Dlatego nawet jeśli będę musiał przymykać oko na drobne przestępstwa... — przerwał i spojrzał na mnie znowu — jak kradzież podatkowa, zrobię to, żeby wykonać ważniejsze zadanie.

— Posłuchaj, człowieku — powiedziałem — masz na mnie haka, więc muszę zrobić to, co chcesz. Ale przejdź do rzeczy, dobra? Denerwuje mnie trochę ta cała gadka o aktach i innych gównach.

— Dobrze — zgodził się, biorąc głęboki wdech.

— Chaim Wenzler organizuje ludzi, wykorzystując w tym celu związki zawodowe. Rozsiewa pogłoski o naszym kraju, które są kłamliwe i niepatriotyczne. Jest coś więcej, ale nie mogę powiedzieć co, bo nie potrafimy znaleźć człowieka, który zbliżyłby się do Wenzlera na tyle, żeby odkryć, co naprawdę knuje.

— Czemu go po prostu nie zamkniecie? Nie możecie tego zrobić?

— Nie chodzi nam o niego, Easy. Chcemy wiedzieć, dla kogo pracuje, kogo reprezentuje.

— I nie możecie go zmusić, żeby wam powiedział?

— Dobrze znałem moc perswazji prawa.

— Nie jego. — W głosie Craxtona zabrzmiała nutka podziwu. — Opłaci się nam odkryć, dla kogo pracuje, to znaczy, bez jego wiedzy. Widzisz, Wenzler kręci, ale

zawsze kiedy się ktoś taki napatoczy, można mieć pewność, że pod spodem kroi się coś większego.

— Mhm — przytaknąłem, próbując przybrać minę sugerującą, że wiem, o co mu idzie.

— No więc, czego pan ode mnie chce, skoro już wiecie, że wszystko się wokół tego faceta kręci? Co mielibymy robić?

— Wenzler to płotka, to fanatyk, który sądzi, że u nas nie ma wolności, a u czerwonych jest. Sam jest nikim. To zwykły malkontent, który chce upiec pieczeń przy cudzym ogniu. Ale właśnie taki człowiek daje się zrobić w najgorszą zbrodnię.

— Ale ja go nawet nie znam. Jak miałbym się do niego zbliżyć?

— Wenzler działa w murzyńskich kościołach. Sądzimy, że właśnie tam nawiązuje kontakty.

— Tak?

— Obecnie działa w trzech miejscach. Jedno z nich to Pierwszy Afrykański Kościół i Szkoła Baptistyczna. To niedaleko ciebie, prawda? Znasz niektórych członków kongregacji.

— I co on tam robi?

— Prowadzi działalność charytatywną. — Agent Craxton wyszczerzył zęby w uśmiechu. — To tylko przykrywka. Szuka ludzi podobnych do siebie, którzy sądzą, że ten kraj źle ich potraktował. Wenzler tak właśnie uważa i nie ufa prawie nikomu. Chodzi jednak o to, że tobie zaufa. Ma słabość do Murzynów.

W tym właśnie momencie postanowiłem nie ufać agentowi Craxtonowi.

— Nadal nie widzę, do czego mnie potrzebujecie. Jeśli FBI chce go zgarnąć, czemu go w coś nie wrobicie? - Nie żartowałem.

Zrozumiał mnie i wybuchnął śmiechem, który brzmiał jak kaszel astmatyka.

— Czy zauważyłeś, Easy, że jestem tu sam? Że nie mam partnera?

Skinąłem głową.

— Nie ma tu mowy o przestępstwie, panie Rawlins. Nie usiłujemy zamknąć kogoś za uchylanie się od podatków. Chcemy rzucić światło na grupę ludzi, którzy posługują się wolnością, jaką nam zawdzięczają, w celu zniszczenia tego, w co wierzymy.

Zastanawiałem się, czy agent Craxton ma aspiracje polityczne. Mówił jak człowiek ubiegający się o wysokie stanowisko.

— Wenzler nie popełnił zbrodni, za którą moglibyśmy go aresztować. W każdym razie, o niczym takim nie wiemy. Gdyby jednak się pan do niego zbliżył, może by coś pan znalazł. Niewykluczone, że moglibyśmy wkroczyć i aresztować go za przestępstwo, które przekonałoby sąd. Przyczyniłby się pan do zlikwidowania Wenzlera.

— Mhm. Ale co ma pan na myśli mówiąc, że nie ma pan partnera?

— Jestem szczególnym rodzajem agenta, Easy. Nie szukam tylko dowodów. Pewni agenci zajmują się rozwiązywaniem zagadek kryminalnych. Moja praca polega na zapobieganiu złu, zanim się wydarzy.

— Tak, ale chciałbym dobrze zrozumieć. Chce pan, żebym poznał tego Wenzlera, zdobył jego zaufanie i dowiedział się, czyim jest szpiegiem?

— Żebyś odkrył wszystko, co się da, Easy. Potem pozwolimy ci zapłacić podatki i wrócić do domu.

— A co będzie, jeśli nie wykryjecie niczego, czym moglibyście się posłużyć? Może on tylko narzeka i nie robi nic złego?

— Po prostu składaj mi raport, powiedzmy raz w tygodniu. Będę wiedział, co o wszystkim sądzić. Kiedy wykonasz zadanie, urząd podatkowy da ci spokój.

— Wszystko to brzmi zachęcająco, ale muszę najpierw coś wiedzieć.

— Co takiego?

— Mówi pan, że moi ludzie, Murzyni, są zamieszani w tę konspirację. Jeśli chce pan znać moje zdanie, to jakaś pomyłka. Mieszkam w tej dzielnicy i nigdy nie

słyszałem o żadnej komunistycznej organizacji ani o niczym takim.

Craxton tylko się uśmiechnął.

Jeśli jednak chce pan w to wierzyć — ciągnąłem

to pańska sprawa. Ale nie zmusi mnie pan do szpiegowania własnych kumpli. To znaczy, jeśli ktoś złamał prawo, nie mam nic do powiedzenia, ale nie chce skrzywdzić ludzi z Pierwszego

Afrykańskiego tylko dlatego, że prowadzą działalność charytatywną.

— Działamy czysto i dyskretnie, Easy — zapewnił Craxton. — Chodzi mi tylko o tego Żyda. Chcę wiedzieć, co knuje. Nie dowiesz się nawet, że tam byłem.

— Więc, o co chodzi z tym drugim gościem, Lavenderem?

— Przypominasz go sobie?

— Nie.

— Musimy go znaleźć. Współpracował z Wenzlerem bliżej niż ktokolwiek inny. Gdybyśmy mogli go aresztować, jestem pewien, że okazałby się pomocny.

— To znaczy, że zniknął?

— Odszedł z zakładów trzy tygodnie temu i odtąd nikt go nie widział. Bylibyśmy wdzięczni za jakąś informację o Lavenderze, Easy. Odnalezienie go znacznie posunęłoby naprzód sprawę spłacania twoich podatków.

— Ale chcecie z nim tylko pogadać?

— Tak jest. — Craxton tak bardzo nachylał się nad itołem, że mógłby mnie chwycić za gardło.

Wiedziałem, że mnie okłamuje, ale potrzebowałem go, więc powiedziałem „dobra” i uścisnęliśmy sobie dłonie.

Sok pomarańczowy w moim koktajlu był z puszki; iostawiał w ustach gorzki, metaliczny smak. Mimo to wypilem do dna. Ten drink był tym, czego potrzebowałem. Myślę, że potrzebowałem też Craxtona.

## ***Rozdział dziewiąty***

Wyszedłem od Adolfa i pojechałem prosto do baru Johna. Zapragnąłem dobrego drinka w barze własnego wyboru.

Było koło dziewiątej, więc ludzi nie brakowało. Odell siedział na swoim zwykłym miejscu pod ścianą w towarzystwie Pierra Kinda. Na środku tańczyła wolno Bonita Smith, trzymając w ramionach Brada Winstona. Przy barze siedziało pełno mężczyzn i kobiet; John uwijał się jak w ukropie. Szafa grająca piłowała oryginalną wersję ***Goodnight, Irene*** Leadbelly'ego. Całą knajpę spowijała zasłona dymu z papierosów.

Przy jednym ze stołów ujrzałem Mouse'a, Dupree Boucharda i Jacksona Blue — zupełnie nieprawdopodobne trio.

Jackson wbił się w dżinsy, granatową koszulę i jas-noblękitną marynarkę pasującą do spiczastych butów. Miał tak czarną skórę, że w pełnym słońcu błękitnawo lśniła. Był niski, niższy nawet od Mouse'a, i niesłychanie tchórzliwy. Z zawodu był drobnym złodziejem, na usługach rozmaitych gangsterów i przemytników. Można go określić mianem „śmiecia”, ale nie wyczerpywało to zakresu działalności Jacksona Blue. Nigdy nie znałem większego geniusza. Umiał czytać i pisać nie gorzej niż profesory z uniwersytetu w Los Angeles. Mógł opowiadać najróżniejsze rzeczy z dziedziny historii i innych nauk; wiedział o sprawach, które zdarzyły się w dalekich krajach. Początkowo nie wie-

rzyłem w to, co mówi, ale kiedyś kupiłem od niego limy komplet encyklopedii. Jakbym go nie sprawdzał, Jackson miał w głowie całą treść tych książek. Od tej pory dawałem wiarę w każde jego słowo.

Jednak umiejętności Jacksona nie ograniczały się tylko do czytania i zapamiętywania. Potrafił przewidywać postępowanie ludzi tylko na podstawie rozmowy z nimi. Wchodził do pokoju i wychodził znając sekrety wszystkich zebranych; wystarczyło, że popatrzył im w oczy i posłuchał, jak rozmawiają o pogodzie.

Był nieoceniony dla kogoś takiego jak ja; tym bardziej że wykorzystywał swoje zdolności tylko do uganiania się między różnymi odłamami świata przestępczego. Za pięć dolarów sprzedałby najlepszemu przyjacielowi. Nie musiałeś się obawiać, że cię okłamie, bo Jackson był na to zbyt tchórzliwy, a poza tym zbyt szczylił się prawdą.

Nad wszystkimi górował Dupree; wyglądali przy nim jak karły. Bouchard przerastał mnie o głowę; miał budowę łupacza kamieni. Potężny, niedźwiedziowaty, z krótko przyciętymi włosami, zawsze wykazywał silną skłonność do śmiechu. W momencie, kiedy wszedłem, wydał właśnie niesamowitą serię parsknięć. Mouse opowiadał pewnie jedną ze swych ponurych historii.

Dupree miał na sobie zielone, wypłowiałe ogrodniczki z wyszytym na plecach czerwonym napisem CHAMPION, zmatowiałym już nieco. Przez kilka lat pracowaliśmy razem w zakładach lotniczych, aż do czasu przedwczesnej śmierci jego dziewczyny, Coretty James, oraz mojego wejścia w świat nieruchomości i drobnych usług.

Pomimo jednak swych spektakularnych cech, Dupree i Jackson nie umywali się do Mouse'a.

Mouse miał na sobie kremowy, dwurzędowy garnitur, brązowy kapelusz derby z filcu, brązowe buty z okrągłymi czubami i białą koszulę, chyba z atlasu. Jego zęby mieniły się złotymi koronkami i jednym drogim, niebieskim klejnotem. Nie nosił bransolet ani



pierścieni, bo przeszkadzały w posługiwaniu się bronią. Skóra Mouse'a miała barwę orzecha laskowego, oczy

— jasnoszarą. Uśmiechał się i mówił. Ludzie siedzący przy innych stolikach odchylali się od swoich drinków, żeby usłyszeć, co ma do powiedzenia.

— Tak, człowieku — mówił z silnym południowym akcentem — czeka, aż ta dziwka i ja znajdziemy się w łóżku. Nie żadne tam obmacywanki na stojaka, ale w tym pieprzonym łóżku, uważasz. Wtedy wyskakuje i mówi: „Aha”.

Mouse otworzył szeroko oczy tak, jak musiał to zrobić zazdrosny kochanek. Wszyscy słuchacze zanosili się od śmiechu.

— I co zrobiłeś? — spytał Jackson w taki sposób, jakby chciał tę sztuczkę kiedyś wykorzystać.

— Cholera! — Mouse splunął. — Skopałem koce i skoczyłem na skurwysyna. „Co jest, do kurwy nędzy? — mówię. Ten chłopak był prawdziwym wiraszka, ale zerknął na mojego dużego, twardego fiuta i na chwilę zdębiał. Bo wiecie, mam coś, co daje ludziom do myślenia.

Mouse był mistrzem narracji. Wszyscy słuchacze myśleli teraz o jego fiucie, tak jak zazdrosny kochanek.

— No to walę faceta w łeb nocną lampką ze stolika. Gruba glina, człowieku, taka gruba, że nawet nie pękła. Cholera. Chłopak wyrznął o podłogę.

— Założę się, że spieprzałeś, aż się kurzyło — zaśmiał się Jackson. Widać było, że dotyka ręką własnego interesu; w ten sposób niektórzy ludzie zapewniają sobie poczucie bezpieczeństwa.

— Zwiewać? Co to, to nie! Człowieku, dopiero wtedy byłem gotowy. Zaciągnąłem dziwkę z powrotem do łóżka i ulżyłem sobie tak, jak większość facetów tylko o tym marzy. Uciekać? A gówno tam.

Mouse rozparł się i wypił piwo. Słuchacze pokładali się ze śmiechu. Większość z nich pochodziła z Teksasu, ale nie znała Mouse'a. Śmiali się, bo lubili dobrze opowiedziane kłamstwo, a Raymond nie miał nic

przeciwno temu, bo lubił rozweselać ludzi. Ja jednak się nie śmiałem. Nie śmiał się też John ani Odell w końcu sali.

Mouse nigdy nie kłamał; to nie leżało w jego zwyczaju. To znaczy, okłamałby cię, gdyby tego wymagał interes, ale w knajpie opowiadał prawdziwe liiwiorie.

Zastanawiałem się, jak mocno walnął tamtego faceta. Sie masz, Easy — pozdrowił mnie Mouse nad głowami słuchaczy.

Serce zadrżało mi i skurczyło się w tym samym momencie. Mouse był moim najbliższym przyjacielem. Jeśli istnieje coś takiego jak prawdziwe zło, był też prawdziwym złem.

- Cześć, Raymond — odpowiedziałem. Minałem słuchaczy i podszedłem do małego stołu.

- Jak się macie, Jackson, Dupree?

Obaj wypowiedzieli moje imię i dotknęli mojej dłoni.

- Słyszałeś, że przyjechałem? — spytał Mouse.

- Tak — odparłem. — Zastanawiałem się, czemu **nie** przyszedłeś się przywitać.

Rozmawialiśmy tak, jakby poza nami nie było nikogo. Dupree wołał do Johna, żeby przyniósł więcej drinków, a Jackson odwrócił się, opowiadając coś ludziom przy sąsiednim stoliku.

- Byłem u Dupreego, tam się zatrzymałem.

- Mogłeś przyjść do mnie, Ray. Mam wolny pokój I dobrze o tym wiesz.

- Tak, tak. Mogłem, ale... — Przerwał i posłał mi uśmiech. — Ale nie lubię niespodzianek, Easy. Tak, jak ten frajer, który wdarł się do sypialni. Widzisz, gdybym nakrył swoją kobietę pieprzając się X kimś w moim własnym łóżku, no cóż, oboje potrzebowaliby grabarza.

Przez marynarkę czułem na prawym udzie ciężar trzydziestki ósemki, a w ramionach słabość; przypominałem sobie, jakie to było okropne dla wujka Halleya. Wtedy tak się postarzał, że nie mógł już nawet sam jeść.

— Nikt z nas nie musi się martwić o to, że się zestarzeje, Easy — powiedziałem.

Roześmiał się i klepnął mnie w udo. To był dobry uśmiech. Szczęśliwy.

— Ale — ciągnąłem — nie ma powodu, żebyś szedł do Dupree, kiedy masz pokój u mnie w domu.

— Widziałeś się z Ettą?

Chciałem go okłamać, ale nie potrafiłem.

— Przyszła wczoraj, została na noc, a dzisiaj przeniosła się do innego mieszkania. Razem z LaMarkiem.

Na dźwięk imienia syna Mouse poderwał głowę. Przez chwilę wbijał we mnie oczy, a to, co w nich zobaczyłem, przstraszyło mnie.

Większość ludzi gwałtownych i zdesperowanych ma nawiedzony wzrok. Jednak nie Mouse. Mógł się do ciebie uśmiechać, a w tej samej chwili do ciebie strzelić. Nie odczuwał winy ani wyrzutów sumienia. Różnił się od większości ludzi. Działał w oparciu o własne reguły. Niektórych kochał: nie żyjącą już matkę, Ettę i LaMarque'a, mnie też. Kochał nas w ten dziwny, sobie tylko właściwy sposób. Dlatego poczułem niepokój, widząc w jego oczach gorycz i wyrzut. Wariat jest już dostatecznie groźny, ale kiedy wpadnie w szal...

— Dokąd się przeniosła?

— Prosiła mnie, żebym ci nie mówił, Raymond. Prosiła, żebym jej powiedział, gdzie ma do ciebie zadzwonić i zrobi to, kiedy będzie gotowa.

Tylko na mnie spojrzał. Jego oczy znowu pojaśniały. Mógł mnie wtedy zabić. Kto wie? Gdyby to wszystko zdarzyło się kiedy indziej, może zachowałbym się inaczej. Ale nie wiedziałem, jak ugiąć się przed własnym lękiem. W ciągu dwóch dni przygotowałem się na utratę majątku i wolności, psychicznie zmieniłem się w mordercę i zostałem człowiekiem na usługach FBI. Postanowiłem pozwolić losowi rozgrywać moje karty.

— Nie powiesz mi, gdzie ona jest?

— Etta jest zdenerwowana, Raymond. Jeśli nie

zostawisz jej wolnej ręki, wybuchnie, a wtedy ani ty, ani ja się z nią nie dogadamy.

Mouse patrzył na mnie tak, jak mały chłopiec umyłby patrzeć na motyla. John stanął za jego plecami i postawił przed nami rozmaite bursztynowe napoje z lodem.

Easy zna twój numer, Dupree? — spytał w końcu Mouse.

Znasz, prawda, Easy? — powiedział Dupree. Tak, tak, mam go. Mouse się roześmiał.

No to załatwione. Napijmy się teraz.

**Dupree** szybko się upił i zaczął snuć opowieści. Wesołe historie o głupcach z Championa; takie, jakie opowiadają wszyscy robotnicy. O tym, jak ktoś się pomylił przy montażu silnika odrzutowego i dach hali produkcyjnej wyleciał w powietrze. Kiedy szef spytał, co się stało, winny otworzył tylko szeroko oczy i powiedział coś w rodzaju: „Ktoś musiał zapalić zapalną”.

Widziałeś ostatnio Andre Lavendera? — spytałem w pewnym momencie Dupreego.

Mhm. Ostatnio ma niezły odjazd na politykę. Ale jednego dnia zniknął.

— Zniknął?

— Tak, stary, wyparował. Chyba coś ukradł, bo aż roilo się od glin. Nikt nie wie, co się stało.

— A ta jego dziewczyna... — Pstryknąłem palcami, chcąc sobie przypomnieć.

— Juanita — powiedział Dupree marszcząc brwi.

— Tak, Juanita. Nie wie, co się z nim stało?

— Nie. Następnego dnia przyszła go szukać w fabryce, ale nikt nie mógł jej pomóc. Wiesz co, słyszałem, k Andre dał nogę z babą Winthropa Hughesa.

— Z tą Shaker?

— Mhm. Mówili, że Andre zabrał ją, swoją książeczkę czekową i samochód.

— Poważnie? — Dałem temu spokój na pewien czas. Andre mógł poczekać.  
Kiedy Dupree się zwalił (co miało miejsce zawsze, kiedy pił), zanieśliśmy go do samochodu.  
Rzuciliśmy go na tylne siedzenie, a Jackson usiadł z przodu. Zanim Mouse wcisnął się za kierownicę,  
nachylił się do mnie i oświadczył:  
— Jak zobaczysz Ettę, powiedz jej, że daję jej kilka dni. Powiedz, że nie pozwolę sobą pomiatać. —  
Złapał mnie za koszulę cienkimi palcami twardymi jak gwoździe.  
— A jeśli mi staniesz na drodze, Easy, albo staniesz po jej stronie, zabiję cię.  
Patrząc, jak odjeżdżają, odetchnąłem z ulgą, że Etta się ode mnie wyprowadziła. Czuję, że EttaMae  
da sobie radę z Mouse'em, zwłaszcza jeśli nie była ze mną.

## ***Rozdział dziesiąty***

**Następnego** dnia zadzwoniłem do Etty, żeby opowiedzieć jej o rozmowie z Mouse'em. Prychnęła raz i nie miała nic więcej do powiedzenia. zaproponowałem, że w niedzielę zaprowadzę ją do kościoła.

Przyjęła propozycję, po czym zakończyła rozmowę w sposób logiczny i chłodny.

Aby uczcić swe nowe wyzwolenie od urzędu podatkowego i Raymonda Alexandra, postanowiłem nacieszyć się słońcem w domu przy ulicy Magnolii.

W oknie ujrzałem panią Trajillo, która zwijała im lilie kukurydziane na desce do chleba opartej o parapet. Jej skóra miała kolor ciemnooliwkowy i była usłana różnej wielkości piegami; na środku podbródka tkwiła duża brodawka. Długie włosy, przyprószone siwizną, opadały grubym warkoczem do połowy uda. Pani Trajillo była niska, ale krępej budowy; mimo że nigdy nie pracowała na żadnej posiadzie, miała mocne ręce od wieloletniego zajmowania się domem, wychowywania dzieci i przyrządzania posiłków z niczego.

— Dzień dobry, panie Rawlins — przywitała mnie.

— Dzień dobry, pani. Jak się dziś pani miewa?

— Całkiem dobrze. Moja wnuczka była u komunii W zeszłą niedzielę.

— Naprawdę?

— Dobrze pan wygląda — stwierdziła. — Niepokoilam się wczoraj o pana i biednego pana Mofassa.

W ogóle się pan nie uśmiechał i ta okropna dziew-

czyna... — Dotknęła palcami piersi i złożyła usta w kształt litery O. — Jak ona go wyzywała. Wie pan, cieszyłam się, że dzieci są w szkole.

— Poinsettia była chyba zdenerwowana. Wie pani przecież, jaka jest chora.

— Bóg daje człowiekowi to, na co zasłużył.

W ustach takiej kobiety brzmiało to jak straszliwa klątwa.

— Jak pani to rozumie?

— Chodzi mi o to, jak postępowała dawniej z mężczyznami. Żadna z moich córek nie zachowywałaby się w ten sposób. O niczym panu nie mówię, panie Rawlins, ale Bóg wie o wszystkim.

Nie zwróciłem szczególnej uwagi na jej słowa. Wiem, że stare kobiety często zapominają, co to znaczy być kochaną przez młodych mężczyzn. Albo pamiętają i tym większą nienawiścią je to napęłnia.

Poszedłem na górę. Stałem na pierwszym piętrze godzinę albo dłużej, po prostu rozkoszując się słońcem i nie patrząc na nic. Po pewnym czasie poczułem jednak przykry zapach.

Na drugim piętrze także świeciło słońce. Było pięknie, ale zapach okropny. Dolatywał z otwartych na oścież drzwi do mieszkania „J”.

Tak naprawdę, powinienem powiedzieć „zapachy”. Słodka woń trzech czy czterech rodzajów kadzideł, które paliła na ołtarzu, mieszała się z odorem choroby zamkniętym w jej pokojach przez ostatnie sześć miesięcy. Oprócz tych zapachów czuć było smród zgnilizny.

Pomyślałem, że się wyprowadziła po tym, jak Mo-fass groził jej eksmisją. Drzwi były otwarte; wyobrażałem sobie, że czeka mnie duże sprzątnięcie.

Pół roku wcześniej Poinsettia wyjechała na weekend i wróciła po dwóch tygodniach prywatną karetką pogotowia. Ludzie, którzy ją przywieźli, powiedzieli pani Trajillo, że Poinsettia miała ciężki wypadek samochodowy i że jej chłopak zapłacił za przewiezienie jej ze szpitala do domu. Kości się zrosły, rany zagoiły, ale coś

sie stało z jej nerwami. Nie była już w stanie pracować ani nawet dobrze chodzić. Miała niespełna trzydzieści lat i przed wypadkiem była piękną kobietą. Później przedstawiała przykry widok. Co mogłem jednak zrobić? Mofass był twardy, ale miał rację: nie mogłem płacić za nią czynszu. W salonie panował bałagan. Story były opuszczone, zasłony zaciągnięte; w dusznym pokoju panował mrok. Na stole gniło w pudełkach chińskie jedzenie, wszędzie wałały się śmieci. Przekręciłem kontakt, ale żarówka musiała się przepalić. Na przeciwległej ścianie ujrzałem oltarz, który urządziła w małej wnęce. W środku przykleiła obrazek z Jezusem namalowany na kształt mozaiki. Nad głową miał aureolę; dwa palce i kciuki trzymał nad trzema klęczącymi świętymi, oczekującymi na błogosławieństwo. Obrazek otaczały zwędłe kwiaty przymocowane drutami do ścian. Pełno też było niezidentyfikowanych przedmiotów z brązu, które przynosiła pewnie z mszy albo z pogrzebu. Pod obrazkiem stało naczynie z brązu, w którym też paliła kadzidła. Słodki zapach był tu znacznie silniejszy. Drobiny popiołu wypełniały naczynie jak małe larwy. Na stopniu i na ścianie ujrzałem czarną, kleistą substancję. Łazienka napawała obrzydzeniem. Płyny w otwartych butelkach kosmetyków wyschły i popękały. Spleśniałe ręczniki na podłodze, pajęczyna na kranie. Najgorszy smród dochodził z sypialni; wahałem się, czy tam iść. To zabawne, jakim zwierzęcym instynktem jest węch. Pierwszą rzeczą, jaką robi pies, jest obwąchanie. Jeśli zapach okaże się niewłaściwy, nie podejdzie bliżej. Może lepiej by było, gdybym był psem. Poinsettia wisiała na przewodach od żarówki. Była naga, a jej skóra tak obwisała, że zdawało się, jakby za mement miała opaść z kości. Dokładnie pod ciałem znajdowało się źródło najgorszych zapachów. Ujrzałem grubą kroplę krwi i ekskrementów spływającą z jej dużego palca u nogi.



Nie pamiętam, jak doszedłem do mieszkania pani Trajillo. Mam wrażenie, że próbowałem dzwonić z telefonu Poinsettii, ale okazał się się głuchy.

— Jasne — stwierdził Andrew Reedy, wysoki, jasnowłosy policjant. — Zawiązała sznur i kopnęła krzesło. — Patrzył na przewrócone krzesło leżące na środku pokoju. — I gotowe! Powiesiła się! — ciągnął. — Mówił pan, panie Rawlins, że była przygnębiona?

— Tak. Mofass chciał ją wyrzucić.

— Kto to taki? — spytał Quinten Naylor. Był partnerem Reedy'ego i pierwszym murzyńskim policjantem, jakiego widziałem, który nosił cywilne ubranie. On również patrzył na krzesło.

— Zarządza tym domem, zbiera czynsz i tym podobne.

— W czyim imieniu zarządza? — spytał Naylor. Zastanawiałem się nad odpowiedzią, kiedy Reedy stwierdził:

— Co za różnica? To jest samobójstwo. Powiemy po prostu, że się zabiła, i załatwione.

Naylor był średniego wzrostu, ale szeroki w ramionach; dlatego wydawał się rośli i silny. Pod każdym względem stanowił przeciwieństwo tego drugiego, ale chyba nieźle się porozumiewali.

Naylor podszedł do wiszącego trupa, stając prawie tuż pod nim. Wyglądało, jakby węszył za czymś podejrzanym.

— Och, daj spokój, Quint — jęknął Reedy. — Kto chciałby mordować tę dziewczynę? Pozorować, że sama się zabiła? Czy ona miała wrogów, panie Rawlins?

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Popatrz na jej twarz, Andy. To mogą być świeże sińce.

— Takie są czasem efekty uduszenia przez powieszenie, Quint — oznajmił błagalnie Reedy.

— Hej tam — krzyknął z korytarza gruby facet z pogotowia; zadzwoniłem też do szpitala chociaż wiedziałem, że Poinsettia nie żyje. — Kiedy będziemy ją mogli odciąć i wynieść się stąd?

Nie należał do mojego ulubionego gatunku białych ludzi.

Nie śpiesz się tak — pohamował go Naylor. Prowadzimy tu dochodzenie i nie chcemy, żeby ktoś ruszał dowody. Najpierw trzeba sfotografować ten pokój.

O rany... — westchnął Reedy.

Cholera - zaklął gruby. - No dobra, jedziemy, ale kto podpisze wezwanie karetki?

Myśmy was nie wzywali — odparł Naylor.

A ty, synu? — zwrócił się do mnie gruby. Miał ukoło dwudziestu pięciu lat, prawie dziesięć lat mniej niż ja.

Nie mam pojęcia, wezwałem tylko policję — skłamałem na rozgrzewkę. Przygotowywałem się bowiem do prawdziwych kłamstw, które musiałem zacząć za chwilę opowiadać.

Gruby spojrzał na mnie, ale nic poza tym nie mógł zrobić.

Po odjeździe karetki odwróciłem się i ujrzałem Poinsettię zwisającą z sufitu. Zdawała się lekko kołysać, a mój żołądek zaczął kołysać się razem z nią, więc ruszyłem do wyjścia.

Więc kogo według pana reprezentuje ten pan Mofass? — spytał Naylor, dotykając mojego ramienia.

On się nazywa po prostu Mofass, nie używa Innego nazwiska.

— Kogo reprezentuje?

— Nie wiem. Ja tylko dla niego sprzątam.

— Kurcze, Quint... — Reedy jęknął, wyjął chustkę i zasłonił sobie nos i usta. Spodobał mi się ten pomysł, więc wyjąłem swoją chustkę.

Reedy był starszy, miał koło pięćdziesiątki. Naylor, młodszy, prawie w wieku grubasa z pogotowia; służył pewnie jako podoficer w Korei. Dzięki tej wojnie ayikaliśmy wiele rzeczy: integrację rasową, awans niektórych kolorowych żołnierzy oraz wiele trupów.

— To mi się nie podoba — stwierdził Naylor. Sprawdźmy dokładniej.

— Kogo obchodzi ta dziewczyna, Quint?

— Mnie — odparł młody policjant.

Poczułem dumę. Po raz pierwszy widziałem, jak biały i czarny policjant w cywilu współpracują jak równy z równym. Naprawdę pracowali razem.

— Jestem wam potrzebny? — spytałem.

— Nie, panie Rawlins — westchnął Reedy. — Niech pan zostawi tylko swój adres i telefon. W razie potrzeby poprosimy pana o złożenie zeznań.

Podąłem mu adres i telefon, które zapisał w oprawionym w skórę notesie.

Zszedłem na dół i powiadomiłem panią Trajillo o działaniach policji. Była nie tylko systemem alarmowym, ale także swego rodzaju gazetą lokalną.

## ***Rozdział jedenasty***

Opłakiwałem śmierć Poinsettii. Jej pozycja w świecie nie była zbyt wysoka, ale to jeszcze nie powód, żeby jej źle życzyć. Zginęła bezsensowną, okrutną śmiercią, bez względu na to, czy zrobiła to sama, czy kto inny. Jeśli jednak popełniła samobójstwo, z przerażeniem myślałem, że zrobiła to z powodu groźby eksmisji, która, jak dobrze wiedziałem, była niesprawiedliwa. Chciałem wyrzucić tę myśl z głowy, ale zakopała się głęboko i tkwiła tam jak suseł ryjący podziemne korytarze.

Niezależnie od tego, jak się czułem, życie musiało się toczyć dalej.

W niedzielę rano przyszedłem po EttęMae. Włożyła błękitną suknię z naszytymi wielkimi, białymi liliami. Jej kapelusz miał barwę skorupki od jajka, maleńki kapelusik przekrzywiony na bok. Buty też miała białe. Etta nigdy nie nosiła szpilek, bo była wysoką kobietą, zaledwie kilka centymetrów niższą ode mnie.

— Rozmawiałaś z Mouse'em? — spytałem po drodze.

— Tak. Dzwoniłam do niego wczoraj.

— I co mówił?

— To co zawsze. Na początku był normalny, ale później zaczął mówić tym dziwnym tonem. Że nie da sobą pomiatać, jak gdybym była mu coś winna. Cholera! Jeśli zaczniesz straszyć LaMarque'a, tak jak w Teksasie, będę musiała go zabić.

— Mówił coś LaMarque'owi?

— Nie, już z nim w ogóle nie rozmawia. Czemu pytasz?

— Nie wiem.

Pierwszy Afrykański Kościół Baptystyczny mieścił się w dużym budynku koloru łososiowego, zbudowanym na wzór hiszpańskiego klasztoru. Wysoko na ścianie widniała duża mozaika przedstawiająca Jezusa, który krwawił czerwonymi kamykami i cierpiał nad całym zgromadzeniem. Nikt jednak nie zdawał się zwracać na niego uwagi. Wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci mieli na sobie najlepsze ubrania. Suknie, jedwabne marynarki, lakierki i białe rękawiczki. Uśmiechy i ukłony wymieniane w niedzielę przez mężczyzn i kobiety gdzie indziej uchodziłyby za skandaliczne. Niedziela była jednak dniem dobrego samopoczucia i elegancji. Wystrojone owieczki czekały na słowo pańskie.

Rita Cook przyszła z Jacksonem Blue. Węszył pewnie za nią, a kiedy Mouse się znudził, zajął jego miejsce. Tak postępuje większość mężczyzn; pozwalają, żeby inni przełamali pierwsze lody, a potem mają gładką drogę.

Przyszedł Dupree z nową żoną, Zaree. Powiedziała mi kiedyś, że jej imię pochodzi z Afryki. Spytałem z której części. Nie wiedziała i była zła, że się przeze mnie wygłupiła. Od tamtej pory nigdy się szczególnie nie lubiliśmy.

Na schodach kościoła zobaczyłem Oscara Jonesa, starszego brata Odella. Etta witała się z ludźmi, z którymi się jeszcze nie widziała, a ja podszedłem do Oscara.

Tak jak podejrzewałem, stał tam też Odell, w cieniu stiukowanej kolumny.

— Cześć, Easy — pozdrowił mnie Oscar.

— Sie macie, Oscar, Odell.

Byli braćmi, bardzo sobie bliskimi. Dwaj mężczyźni

o podobnych twarzach; ubrania wisiały na nich jednakowo. Obaj mówili cicho. Widywałem, jak ze sobą rozmawiają, ale nigdy nie udało mi się uchwycić ani słowa

- Odell, muszę z tobą pomówić - powiedziałem.

- No to chodź tu.

Pomachałem Oscarowi, a on mi się uklonił, lo załatwiało rozmowę na rok.

Obeszliśmy kościół wąską, betonową ścieżką.

- Słuchaj, mam sprawę do pewnego białego, który tu pracuje - zacząłem, kiedy zostaliśmy sami.

- Do Chaima Wenzlera?

- Skąd wiedziałeś?

- To jedyny biały, który tu pracuje, Easy. 1 o znaczy, nie dzisiaj, bo jest Żydem, a oni w sobotę świętują, tak słyszałem. - Muszę się do niego jakoś zbliżyć.

- Co to znaczy, Easy?

- Muszę go wybać, dla glin. Urząd podatkowy ma na mnie haka i jeśli tego nie zrobię, wsadzą mnie.

- Więc czego chcesz?

- Wystarczy, jak mnie tylko wprowadzisz. Mozę mógłbym pracować dla kościoła, czy cos takiego.

Dalej dałbym sobie radę.

Nie odpowiedział od razu. Wiem, że me był zadowolony, bo węszyłem wokół jego kościoła. Ale Odell to dobry przyjaciel i dowiódł tego, mówiąc po namyśle:

- Dobra. - Potem jednak dodał: - Słyszałem o Poinsettii Jackson. . .

Staliśmy przed małymi, zielonymi drzwiami. Odell trzymał dłoń na klamce; przed wejściem chciał usłyszeć moją odpowiedź.

- Tak - Potrząsnąłem głową. - Gliny zamierzają to zbadać, ale ja nie sądzę, że ktoś ją zabił. Kto chciałby zabijać taką kobietę?

- Nie wiem, Easy. Wiem tylko, że zaczynasz mówić o kłopotach, w jakie wpadłeś, a zaraz potem ginie kobieta mieszkająca w twoim domu.

— To nie ma ze mną nic wspólnego, Odell. Po prostu nienormalny zbieg okoliczności. — Wierzyłem, że to prawda, podobnie zresztą jak Odell.

Zaprowadził mnie schodami do piwnicy, gdzie diakoni przygotowywali się do mszy. Podeszliśmy do pięciu mężczyzn ubranych w jednakowe czarne sutanny i białe rękawiczki. Nad lewą kieszenią na piersi mieli wyszyte zielone flagi z jasnożółtym napisem „Pierwszy Afrykański”. Każdy z mężczyzn trzymał tacę z ciemnego orzecha włoskiego wyłożoną zielonym filcem.

Najwyższy z grupy miał oliwkowobrazową skórę i cienki jak kreska wąsik. Włosy nosił krótko przycięte, ale rozprostowane tak, że mógł je zaczesać po lewej stronie głowy. Roztaczał zapach pomady. Był przystojny we wredny sposób. Wiedziałem, że kobiety z kongregacji pragnęły zwrócić na siebie jego uwagę, ale kiedy im się to udawało, Jackie Orr porzucał je i tonęły we łzach. Był najgłośniejszym diakonem Pierwszego Afrykańskiego, a kobiety stanowiły tylko środek do celu, jaki sobie stawiał.

— Jak się masz, bracie Jones? — Uśmiechnął się Jackie. Podeszedł do nas i obiema obleczonymi w rękawiczki dłońmi chwycił rękę Odella.

— Bracie Rawlins — pozdrowił mnie.

— Dzień dobry, Jackie — odparłem. Nie lubiłem go, a po prostu nie cierpię nazywać bratem kogoś, kogo nie lubię.

— Easy mówi, że chciałby pracować dla kościoła — zaczął Odell. — Powiedziałem mu o panu Wenzlerze. Pamiętasz, mówiłeś, że Chaimowi będzie potrzebny nowy szofer.

Pierwszy raz o tym słyszałem.

— A tak, zgadza się — potwierdził Jackie. - Więc chciałbyś nam pomagać, bracie Rawlins?

— Tak jest. Słyszałem, że opiekujecie się starymi i chorymi ludźmi.

— Dobrze słyszałeś! Wielebny Towne nie uważa, żeby dobroczynność była tylko pustyni słowem. On wie, czym jest dzieło Boże, amen.

Kilku diakonów zawtórowało Orrowi.

Dwóch z nich było zaledwie chłopcami. Sądziłem, że musieli się przyłączyć do jednego z działających w dzielnicy gangów i kościół ich stamtąd wyciągnął.

Dwaj pozostali byli starsi. Delikatni, pobożni ludzie, którzy bez słowa skargi mogli przez cały dzień trzymać na rękach wyrywające się, wierzgające dziecko. Nigdy nie pragnęliby pozycji Jackiego, ponieważ była poza ich zasięgiem.

Jackie Orr miał duszę polityka. Pragnął władzy w kościele, a pozycja diakona mu ją dawała. Skończył najwyżej trzydzieści lat, ale nosił się jak stateczny czterdziesto- czy pięćdziesięciolatek. Starsi nie stawali mu na drodze, bo wyczuwali jego gwałtowność. Kobiety wyczuwały coś innego, ale i to uchodziło mu na sucho.

— Mam dużo wolnego czasu w ciągu dnia, Jackie — oświadczyłem. — Jakby co, wieczorem też mogę być do dyspozycji. Wiesz, że nieźle dogaduję się z Molus-sem, więc zawsze mógłbym wskrobać wolną chwilę. Odell mówił, że tego właśnie wam trzeba: człowieka z wolnym czasem.

— Tak jest. Przyjdź może jutro koło czwartej. Wtedy mamy zebranie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i odszedłem. Etta mnie szukała, gotowa do przyjęcia słowa Bożego.

Ja byłem gotów na drinka.



## ***Rozdział dwunasty***

Pierwszy Afrykański także wewnątrz był pięknym kościołem. Duże, dziesięciometrowej wysokości pomieszczenie w kształcie prostokąta mieściło dwieście krzeseł na lekko pochylej podłodze. Ich rzędy podchodziły w dwóch grupach do ołtarza. Na środku stało podwyższenie z jasnego jesionu ozdobione świeżymi, żółtymi liliami i ciemnopurpurowymi wstęgami. Z tyłu, nieco po lewej, stało w rzędach trzydzieści pluszowych krzeseł dla chóru.

Po obu stronach widniało po sześć ołtarzy. Jezus na Górze, Jan Chrzciciel chrzczący Jezusa, Maria i Magdalena leżące pod krzyżem. Jasne, celofanowe barwy: czerwienie, żółcie, brązy i zielenie. Każde z okien miało około pięciu metrów wysokości. Biblijne olbrzymy oświeślały z góry nas, śmiertelnych. Może byliśmy biedni, ale potrafiliśmy wybudować dom modlitwy i grzebać swoich kochanych zmarłych.

Zajęliśmy z Ettą miejsca w połowie rzędu; ona usiadła obok Ethel Marmoset, a ja z brzegu. Odell i Mary usiedli przed nami; Jackson i Rita stali z tyłu. Ludzie wchodzili przez troje dużych drzwi z tyłu kościoła. Rozmawiali, ale przyciszonymi głosami; pomimo szmeru głosów w kościele czuło się ciszę. Kiedy wszyscy usiedli albo stanęli z tyłu, pojawił się Melvin Pride, a za nim Jackie Orr. Melvin pełnił funkcję zwaną w Pierwszym Afrykańskim starszym diakonem; ciężko harował i miał do tej funkcji prawo.

Kiedy szli środkiem, ujrzałem, że pozostali diakoni stanęli w równych odstępach wzdłuż rzędów. Zza podwyższenia wyszedł chór w purpurowych atłasach i stanął przed pluszowymi krzesłami.

Wreszcie, może siedem metrów za Melvinem czy Jackiem, pojawiła się Winona Fitzpatrick, przewodniczka chóru i członkini rady kościoła. Była dużą kobietą w czarnym, luźnym stroju i czarnym kapeluszu z szerokim rondem i błękitną tasiemką. Panowała taka cisza, że słyhać było szelest odzianych w pończochy ud Winony.

Patrząc, jak idzie, ujrzałem młodego, potężnie zbudowanego mężczyznę, który przyglądał mi się z przeciwległej strony kościoła. Miał na sobie brązowy garnitur w złote paski w dużych odstępach. Na kolanach trzymał filcowy kapelusz z szerokim rondem, a kamienny s tępy wzrok wbijał we mnie.

Jackie zajął w chórze miejsce głównego śpiewaka, a Melvin stanął przed grupą z podniesionymi rękami. Obejrzał się za siebie i po raz pierwszy zobaczyłem drobną kobietę siedzącą przy organach tuż przy podium.

Zabrzmiała muzyka. Niskie tony organów i wysoki tenor Jackiego. Chór wtórował.

— Anioły — szepnęła Etta. — Po prostu anioły.

Śpiewali *Modlitwę do Słodkiego Dzieciątka Jezus*. Kiedy Melvin upewnił się, że nadał chórowi właściwe brzmienie, dołączył basem do wysokiego głosu Jackiego.

Melvin dorównywał Jackiemu wzrostem, ale był czarny i zwały. Śpiewając krzywił się, jakby z bólu. Zaś Jackie sprawiał wrażenie zalotnika, który usiłuje dostać się do sypialni kobiety.

Pieśń wypełniała kościół. Strasznie mi się podobała, mimo że przyszedłem tam w innym celu.

Zamierzałem działać na szkodę członka, a w każdym razie pomocnika tej kongregacji, a wypełniła mnie miłość do Boga. To dziwne, ponieważ przestałem w Niego wierzyć w dniu, kiedy ojciec mnie opuścił, pozostawiając na pastwę nędzy i bólu.

— Bracia i siostry! — krzyknął wielebny Towne. Nie zauważyłem, kiedy wszedł na podium. Był bardzo wysokim mężczyzną z grubym brzuchem napinającym mu ciemnoniebieską sutannę. Miał ciemnobrązową skórę i mocne afrykańskie rysy; rozprostowane, natłuszczone włosy nosił zaczesane do tyłu.

Przesunął lewą dłonią po włosach; ostatni członkowie kongregacji uciszyli się, a on omiótł wzrokiem twarze wiernych. Uśmiechnął się szeroko, potrząsając powoli głową, jakby zobaczył kogoś pierwszy raz od wielu lat.

— Cieszę się, że widzę was tu wszystkich w ten niedzielny poranek, o tak!

Nikt się nie odezwał, tylko szmer przeleciał przez zgromadzenie.

Towne wyciągnął przed siebie wielkie dłonie, rozkoszując się ludzkim ciepłem, jakby stał przed ogniem.

— Był czas, kiedy widywałem tu wiele pustych krzeseł.

— Amen — zaintonowali starsi diakoni.

— Był czas... — Przerwał na chwilę. — Tak, był czas, kiedy nie mieliśmy małej galerii z tyłu kościoła. Był czas, kiedy wszyscy mogli siedzieć i słuchać słowa Pańskiego, mogli siedzieć i medytować nad 'Jego duchem. Ale ten czas minął.

Rozejrzał się po zgromadzeniu, a ja zrobiłem to samo. Wszystkie oczy skupiały się na Townie.

Kobiety miały jakby oszołomione twarze; głowy pochylały się do przodu, chcąc czuć dziwne, chłodne światło wpadające przez witraże. Mężczyźni byli poważni. Koncentrowali się każdym włóknom woli, pragnąc zrozumieć drogi sprawiedliwości Pańskiej w codziennym życiu. Wszyscy oprócz mężczyzny w brązowym garniturze. Bo on nie spuszczał ze mnie swego kamiennego wzroku, co dawało mi do myślenia.

— Ten czas minął — zanucił prawie Towne. — Ponieważ dziś On kroczy.

— Tak, Panie! — krzyknęła z przodu stara kobieta.

— Tak jest — ciągnął pastor — musimy zwrócić się do rady kościoła z prośbą o powiększenie Pańskiego dachu. Ponieważ On pragnie mieć was wszystkich pod Swymi skrzydłami. Chce, żebyście wszyscy sławili Jego imię. Powiedzcie to, powiedzcie Jezus.

Tak też zrobiliśmy i kazanie zaczęło się na dobre.

Towne nie cytował Biblii ani nie mówił o zbawieniu. Całe kazanie poświęcił zabitym i okaleczonym chłopcom powracającym z Korei. Towne pracował w specjalnej klinice zajmującej się ciężko rannymi. Szczególnie długo i wzruszająco mówił o Wendellu Boggsie, który służąc Ameryce stracił nogi, większość palców, oko i powiekę drugiego. Tej potwornej litanii towarzyszyło zawodzenie Bethesdy Boggs, członka kongregacji.

Matka i pastor sprawili, że wiliśmy się w krzesłach.

Po chwili zaczął mówić, że wojna jest dziełem człowieka i Szatana, a nie Boga. To Szatan wytoczył Bogu wojnę w Jego własnym domu. To Szatan kazał ludziom zabijać, podczas gdy mogliby nadstawiać drugi policzek. To Szatan poprowadził nas na wojnę przeciwko Chińczykom i Koreańczykom.

— Szatan przyjmie postać dobrego człowieka zaintonował wielebny Towne — pojawi się jako wielki przywódca, a was zwiodą fajerwerki chwały. Kiedy jednak dym opadnie i rozejrzycie się, mrużąc oczy, zobaczycie, że otaczają was owoce grzechu. Waszymi kamieniami okażą się trupy, a waszą wodą krew. Wasi synowie polegną i zostaną okaleczeni, a gdzie będzie Bóg?

Znowu ujrzałem siebie w okopach. Wyciskałem resztki życia z jasnowłosego nastolatka; krzychałem, śmiałem się, pragnąłem kobiety.

Kazanie zakończył słowami:

— Pytam was: co zamierzacie zrobić z Wendellem Boggssem? — Skinął na chór, a Melvin znowu podniósł ręce. Zabrzmiały organy i ponownie rozległ się śpiew. Muzyka nadal była piękna, ale teraz wydawała się gorzka. Diakoni zrobili zbiórkę, ale wielu ludzi wyszło, zanim jeszcze taca do nich dotarła.

Wszędzie słyhać było utyskiwania.

— O co mu chodzi? Co ja mogę poradzić?

— Pastor nie jest politykiem, to nielegalne.

— Nic nie możemy na to poradzić.

— Komuniści występują przeciwko Bogu, musimy z nimi walczyć.

Etta odwróciła się, biorąc mnie za rękę.

— Zabierz mnie do domu, Easy.

### ***Rozdział trzynasty***

Towne stał przed kościołem z Winoną, Melvinem, Jackie'em i parą, której nie znałem. Tych dwoje starszych ludzi sprawiało wrażenie zmieszanych. Pewnie podawali Townowi rękę przez dwadzieścia lat i nie mieli zamiaru przestać tylko dlatego, że wygłosił jedno gorzkie kazanie.

— Witaj, Easy — pozdrowił mnie Melvin. Zналиśmy się jeszcze z dawnych czasów w Houston w Teksasie.

— Dzień dobry, Melvin.

Jackie zacierał ręce. Winona patrzyła nu wielebnego Towne'a. Dopiero wtedy dostrzegłem Shepa, drobnego męża Winony, stojącego w drzwiach. Nie widziałem go w kościele.

— To było mocne i odważne kazanie, pastorze — stwierdziła Etta. Podeszła do niego i potrząsnęła dłonią Towne'a tak mocno, że zatrzęsa mu się broda.

— Dziękuję, bardzo dziękuję. Dobrze cię tu widzieć, siostró Alexander. Mam nadzieję, że trochę z nami zostaniesz.

— To zależy — odparła Etta i rzuciła mi szybkie spojrzenie.

Winona podeszła do Towne'a i powiedziała coś, czego nie usłyszałem.

— Więc jak się mają rodzice tego chłopca? — spytała Etta. — Myślicie, że mogłabym im w czymś pomóc?

Rozśmieszył mnie widok kobiet walczących o względy pastora. Sadzę, że Etta robiła to tylko dlatego, że nie podobało jej się, jak Winona flirtuje w obecności męża.

Zobaczyłem Melvina i Jackiego, którzy podeszli do stóp schodów, gdzie zaczęli się kłócić. Jackie wymachiwał rękami, a Melvin robił uspokajające gesty, jakby próbował uśmierzyć gniew przystojnego, młodego diakona.

Chciałbym wiedzieć, o co się spierali, ale to była zwykła ciekawość, więc odwróciłem się z powrotem do Etty. Wzięła pastora pod ramię i razem się oddalali.

— Może przedstawiśz mnie tej biednej kobiecie — mówiła Etta. — Mogłabym dla niej trochę gotować. Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, że Melvin i Jackie nadal się kłócą przy schodach. Melvin rzucał mi ukradkowe spojrzenia.

— Idź po samochód, Shep — rozkazała Winona niedbale i okrutnie.

— Dobrze. — I drobny, ciemnoskóry Shep w pastelowym, czerwonobrazowym garniturze poszedł w stronę parkingu.

— Etta jest z tobą, Easy? — spytała Winona, zanim Shep zniknął.

— Co takiego?

— Dobrze słyszałeś, Easy Rawlins: czy EttaMae to twoja kobieta?

— Winona, Etta nie należy do nikogo. Nie lubi nawet myśleć, że należy do Jezusa.

— Nie mydl oczu — ostrzegła. — Ta suka kręci się przy pastorze. Jeśli nie ma faceta, to się musi skończyć.

— Czy on jest żonaty? — spytałem zdumiony.

— Oczywiście, że nie!

— No cóż, Etta też nie.

Wzruszyłem ramionami, a Winona zazgrzytała zębami i rozdrażniona zeęzła ze schodów.

Spojrzałem w dół, ale Melvin i Jackie zniknęli, więc odwróciłem się, żeby wejść do kościoła. Moja twarz znalazła się na poziomie piersi brązowego garnituru w złote paski. Stał wyżej niż ja, ale nawet gdybyśmy stali obok siebie, byłby wyższy.

— To ty jesteś Rawlins, tak? - spytał głosem, który albo był z natury szorstki, albo chrypiał teraz z podniecenia.

— Zgadza się — potwierdziłem i zszedłem o stopień niżej, żeby przyjrzeć się jego twarzy i wyjść poza zasięg ciosu.

Brazowa twarz stapiająca się z garniturem była mała, idealnie okrągła, dziecinna i wredna.

— Chcę, żebyś mnie zabrał do swojego szefa.

— A to czemu?

— Mam do niego sprawę.

— Jest niedziela, synu. W niedzielę mamy odpoczywać.

— Słuchaj, człowieku - zagroził; głos mu się załamał. — Wiem o tobie wszystko.

— Tak?

— Nie kiwnąłeś palcem — zacytował kogoś. Opowiadała mi, jak ją wykorzystywał, jak ją naciągał na forszę, a kiedy zachorowała, machnął na nią ręką. Mogła umrzeć i nic was to nie obchodziło.

— Jak się nazywasz?

— Jestem Willie Sacks. - Wypiął pierś. A teraz chodźmy. — Położył mi dłoń na ramieniu, ale ją straciłem. — Jesteś chłopakiem Poinsettii? - spytałem. Nie miałem zamiaru nigdzie iść.

Posłał mi uderzenie, którym mógłby wybić dziurę w ceglanym murze. Odsunąłem się jednak, złapałem go za przegub i wykręciłem rękę, wyginając kciuk.

— Och! — jęknął Willie, klękając na schodach.

— Nie chcę ci robić krzywdy, chłopcze — szepnąłem mu do ucha - ale zniszcz mi ten garnitur, a ja też cię trochę podniszczę.

— Zabiję cię! — krzyknął. - Zabiję was wszystkich! Puściłem go i zszedłem o kilka stopni.

— Jaki masz problem, Willie?

— Zaprowadź mnie do Mofassa!

Wstał. Poczulem się jak Dawid bez procy.



Wysokiemu człowiekowi trudno jest uderzyć w dół. Pozwoliłem, by jego pięść wylądowała gdzieś na lewo ode mnie, a potem trzasnąłem go dwukrotnie w dół brzucha. Willie zwinął się jak robak i sturlał ze schodów.

Podniósł się jednak natychmiast, więc podbiegłem i uderzyłem, tym razem w głowę. Posłałem cios zdolny powalić zwykłego faceta, ale Willie przypominał raczej bizona. Grzmotnąłem go z całej siły, a on tylko usiadł.

- Nie chcę cię skrzywdzić, Willie - powiedziałem nie tyle, żeby go zmartwić, ale żeby odwrócić własną uwagę od bólu dłoni.

- Kiedy wstanę, zobaczymy, kto kogo skrzywdzi. - Na twarzy miał krwawe zadrapania: efekt kontaktu z granitowymi schodami.

- Willie, nikt nie ponosi winy za śmierć Poinsettii, daj spokój.

Ale on podniósł się chwiejnie i ruszył na mnie. Straciłem cierpliwość i złamałem mu nos. Czuję, jak kosc ustępuje pod moją pięścią. Zamierzałem poprawić w ucho, kiedy poczułem uderzenie w plecy.

Niezbyt mocne, ale byłem w ferworze walki, więc odwróciłem się i oberwałem w twarz czymś na kształt poduszki. Drobną kobietą w różowej, plisowanej sukience mierzyła mi w głowę siatkową torebką. Nie wymówiła ani słowa, całą energię zachowując na walkę.

Mogłaby tak długo wymachiwać, ale kiedy Willie wrzasnął: - Mama! - natychmiast o mnie zapomniała i podbiegła do syna.

Trzymał dłonie pod krwawym kranem, w jaki zmienił się jego nos.

- Willie! Willie!

- Mamo!

- Willie!

Popchnęła go, aż oklapł zupełnie i tak pociągnęła go na ulicę.

Różowo-brązowa kobieta spojrzała na mnie dwukrotnie. Była drobna i nosiła okulary w białych oprawkach. Wargi zapadały jej się do wewnątrz w miejscu,

gdzie kiedyś kryły się zęby. Pani Sacks nie miała siły syna, ale bardziej bałem się jej morderczych spojrzeń niż całego plutonu Willich.

— **Usiądź** tu przy mnie na kanapie, kochanie, nie uciekaj: — Etta poklepała zielone obicie obok siebie. Byliśmy w jej mieszkaniu przy Sześćdziesiątej Czwartej. Mieściło się w ładnym, sześciomieszkaniowym budynku. Etta miała dwie sypialnie, prysznic i niebieskie, włochate dywany na całą podłogę. La-Marque poszedł z Lucy Rideau i jej dwiema córkami na lekcję religii, a teraz byli na niedzielnej kolacji.

— Naprawdę powinienem iść do pracy, Etta.

— W niedzielę?

— Będę teraz pracował dla kościoła, więc muszę trochę nadrabiać w weekendy.

— A co takiego zamierzasz robić dla Pana, Easy?

— Każde z nas wykonuje małą częśćkę, Etta, wszyscy.

— A twoja polega na tym, że LaMarque i ja nie musimy płacić czynszu temu okropnemu człowiekowi?

— Mofass nie jest taki zły. Przecież pozwolił ci tu mieszkać, prawda?

— To od niego dostałam te meble?

— W zeszłym roku musieliśmy kogoś eksmitować i te rzeczy stały u mnie w garażu. Powiedziałem mu, że wyrzucę je na śmietnik.

— Mógłbyś je sprzedać, Easy. Tamto łóżko jest mahoniowe. — Kiedy nie odpowiedziałem, powtórzyła: — Chodź tu, kochanie, usiądź. Usiadłem.

— O co chodzi, Easy?

— O nic, Etta, o nic.

— Więc czemu mnie nie odwiedzasz? Załatwiłeś mi umeblowane mieszkanie. Musisz nas lubić, skoro to wszystko robisz,,

— Jasne, że was lubię.

— Więc czemu nie przychodzisz i nic okazujesz, jak bardzo mnie lubisz?

Położyła mi dłoń na karku. Była napalona bardziej niż ja. Pod płaszczem miała cieniutką, jedwabną sukienkę. Kiedy nachyliła się do mnie, spod głęboko wyciętego stanika wychyłyły piersi.

— Myślałem, że nie chcesz mnie więcej widzieć

— odparłem.

— To zwykłe szaleństwo, kochanie, to wszystko

— powiedziała, nachylając się do mnie.

Nie wiem czemu zastanawiałem się, jak musiał wyglądać Wendell Boggs na łożu śmierci. Na połowie jego twarzy widniała świeża krew, a w pustym oczodole bielił się strup.

— Easy? — Tak, Etta?

— W sąsiednim pokoju mam papiery potrzebne do rozwodu.

Zmieniła nieco pozycję, zakładając lewe kolano na prawe, trącając mnie przy tym w nogę. Sukienka napinała się tak, jakby miała pęknąć.

— Nie muszę ich oglądać — odparłem.

— Owszem, tak.

— Nie.

— Tak, Easy. Musisz zobaczyć, że jestem wolną kobietą, która ma prawo robić to, na co ma ochotę.

— Nie chodzi mi o ciebie, Etta, chodzi o mnie

— wyjaśniłem, całując ją mimo to.

— Rozbroiłeś mnie, kochanie. — Oddała pocałunek.

— Załatwiłeś mi mieszkanie, wzięłeś do kościoła, uwielbiam to.

Milczeliśmy przez pewien czas. Kiedy odchyliła się i mogłem złapać oddech, spytałem:

— Ale co z Raymondem?!

Wzięła moją rękę, położyła sobie na piersi i zwróciła do mnie oczy, o których śniędo dziś.

— Czy mnie pragniesz? — spytała.

— Tak.

Przycisnęła mi palcem koszulę w miejscu, gdzie znajdowała się sutka.

— Więc coś ci powiem — szepnęła.

\_ Co? — To jedno słowo wyczerpało cały mój oddech.

— Nie mów o nim teraz, a ja nic o nim nie powiem, kiedy się obudzę.

## ***Rozdział czternasty***

Wróciłem do domu wczesnym wieczorem Kiedy stanąłem przed drzwiami, zadzwonił telefon. Próbowałem wsunąć klucz do zamka, ale za bardzo się śpieszyłem i wypadł mi w stertę zeschniętych liści passiflory. Telefon me przestawał dzwonić; rozgarnąłem liście, znalazłem klucz i wszedłem. Potknąłem się o wycieraczkę, a kiedy kulejąc dotarłem do stolika, dzwonek umilkł Rozmasowałem stłuczone kolano i ruszyłem do łazienki. Zacząłem oddawać mocz, kiedy telefon zadzwonił znowu. Byłem już jednak mądrzejszy. Nie przestawał dzwonić, kiedy opłukiwałem i wycierałem ręce. Dzwonił, kiedy szedłem do stolika, po czym znowu przestał. Stałem w kuchni z litrem wódki w jednej ręce i tacą z lodem w drugiej, kiedy zadzwonił jeszcze raz. Rozważałem, czy nie wyrwać przewodu ze ściany, zastanowiłem się i podniosłem słuchawkę. Najpierw usłyszałem krzyk dziecka.

- Nie, nie. Krzyczał on, czy ona . Potem znowu: Nie! - ale tym razem przytłumione, jakby ktoś zamknął drzwi do pokoju tortur.
- Pan Rawlins? - spytał inspektor podatkowy Reginald Lawrence.
- Tak?
- Chciałbym zadać panu kilka pytań i udzielić pewnej rady.
- Jakich pytań?

- Co za interes zaproponował panu agent Craxton?
- Nie wiem, czy mogę to panu powiedzieć, proszę pana. To znaczy, mówił, że to sprawa rządowa i nie powinienem o niej trąbić.
- Wszyscy pracujemy dla tego samego rządu. Ja także jestem urzędnikiem rządowym.
- Ale on jest z FBI. To przedstawiciel prawa.
- Pan Craxton reprezentuje tylko inną **gałąź** rządu. Jego gałąź nie ma nic wspólnego z moją.
- Więc po co pan pyta, czego on ode mnie chciał?
- Chcę wiedzieć, jaką złożył panu ofertę, ponieważ nie ma prawa proponować niczego w imieniu urzędu skarbowego. Kiedy nasz urząd wszczyna dochodzenia, musi je doprowadzić do końca. Nie mamy wyboru. Widzi pan, muszę przeprowadzić to dochodzenie, bo w przeciwnym razie... — Przerwał, szukając właściwego słowa — w przeciwnym razie moja dokumentacja okaże się niekompletna. Widzi pan więc, że niezależnie od tego, co mówi Craxton, jutro rano muszę wystąpić na drogę sądową.
- I co mogę na to poradzić? — spytałem. — Pan Craxton zlecił mi pracę, którą obecnie wykonuję. Jeśli zdradzę panu tajemnicę FBI, znajdę się w jeszcze gorszym położeniu niż obecnie.
- Nie mogę odpowiadać za FBI. Mogę pana tylko zapewnić, że jeśli zamierza się pan uchylać od płacenia podatków, choćby pracując dla FBI, nie ustąpimy. Rozmawiałem ze swoim przełożonym, który zgadza się ze mną w tym punkcie. Do przyszłej środy ma mi pan przedstawić dokumenty podatkowe albo każemy pana aresztować.
- A więc rozmawiał pan o tym w Wadsworthem, co? — spytałem, kiedy zabrakło mu powietrza.
- Kto panu powiedział... — zaczął, ale przypuszczam, że się domyślił.
- Przykro mi, panie Lawrence, ale nie mogę panu pomóc. Pan ma swoje karty, a ja swoje. Będziemy je musieli rozegrać.

— Wiem, myśli pan, że działa pan na swoją korzyść, ale to błąd. Nie można się uchylać od zobowiązań wobec rządu. — Miałem wrażenie, że czyta z książki.

— Nie wiem jak pan, panie Lawrence, ale ja w niedziele mam wolne.

— Ten problem nie zniknie, synu.

— Dobra, to by było na tyle. Odkładam słuchawkę. Ale pan Lawrence mnie ubiegł.

Wróciłem do kuchni i odstawiłem wódkę. Spoza obłuzowanej deski w szafie wyjąłem butelkę trzydziestoletniego, importowanego armaniaku i specjalny kieliszek. Nauczyłem się pić dobre alkohole od pewnego białego, dla którego kiedyś pracowałem. Odkryłem, że delektując się trunkiem, pijąc wolniej, poprawiało się efekt. Kiedy chciałem się upić, lubiłem to robić samotnie. Żadnych głośnych opowieści ani śmiechu; pragnąłem tylko zapomnienia.

Urzędnik podatkowy chciał mnie posłać za kratki: traktował tę sprawę osobiście. Craxton kłamał, byłem tego pewien; nie miałem pojęcia, czego naprawdę chciał. Jeśli nie dowiem się niczego o komunistach, rzuci mnie psom; mógłby to zresztą zrobić tak czy inaczej. Rozważałem projekt przepisania na kogoś domów. Nie podobał mi się ten pomysł, bo chciałem, żeby to, co posiadam, było na moje nazwisko. Pragnąłem EttyMae. Pragnąłem jej z całego serca. Jeśli miała należeć do mnie, musiałem być zamożnym człowiekiem, którego stać na kupowanie jej ubrań i utrzymywanie domu. Wiedziałem, że to oznacza śmierć Mouse'a albo moją. Wiedziałem, ale nie chciałem się do tego przyznać.

W poniedziałek poszedłem do biura Mofassa. Siedział za biurkiem, gapiąc się w talerz kotletów wieprzowych z jajkiem. Codziennie około jedenastej chłopiec z Sąsiedztwa przynosił mu śniadanie. Mofass wpatrywał się czasem w jedzenie pół godziny, zanim

zaczął jeść. Nigdy nie wyjaśnił przyczyny, ale podejrzewam, że bał się, że chłopak tam napluł. To była największa obawa Mofassa.

— Dzień dobry, Mofass.

— Dzień dobry, panie Rawlins.

Podniósł kotlet za ociekającą tłuszczem kość i ugryzł w środku.

— Nie będę tu zbyt często przychodził przez najbliższe trzy czy cztery tygodnie. Muszę się zająć interesami.

— Zajmuję się interesami codziennie, panie Rawlins. Zbankrutowałby pan, gdybym sobie pozwolił na wakacje — zagrzmiął spoza mięsa.

— Za to ci płacę, Mofass.

— Chyba tak. — Wepchnął sobie do ust ponad połowę jajecznicy.

— Czy wydarzyło się coś, o czym powinienem wiedzieć? — spytałem.

— Nie mam pojęcia. Była policja, pytali o Poinsettę. — Szybki cień przemknął mu przez twarz.

Pamiętam, jak pomyślałem, że nawet taki twardziel odczuwa ból z powodu śmierci młodej kobiety. — Powiedziałem im tylko, że zalegała z czynszem od pięciu miesięcy. Temu czarnemu glinie nie podobała się moja postawa, więc poradziłem mu, żeby wrócił z nakazem aresztowania.

— Chciałem o niej z tobą porozmawiać — oświadczyłem.

Spojrzał na mnie bez większego zainteresowania.

— Jej chłopak, Willie Sacks, rzucił się na mnie w niedzielę przed Pierwszym Afrykańskim.

— Dlaczego?

— Chciał się dostać do ciebie, a ja nie powiedziałem mu, gdzie jesteś.

Mofass nałożył sobie do ust jajecznicy i skinął głową. Kiedy kęs zmniejszył się do rozmiarów piłki golfowej, wymamrotał:

— W porządku.

— Ten Willie mówił, że to, co się stało z Poinsettą, to znaczy jej wypadek, miało związek z tobą.



— Przez tego chłopca przemawia po prostu żal, panie Rawlins. Kiedy Poinsettia zachorowała, porzucił ją, a teraz, kiedy się zabiła, chce zwalić winę na kogoś innego. — Wzruszył lekko ramionami. Był twardy jak diament.

Mofass zachowywał się pogardliwie, ale ja wciąż czułem się nie w porządku. Wiedziałem co to znaczy, ponosić winę za czyjąś śmierć; sam to kiedyś czułem.

— Czy chce pan, żebym kogoś zatrudnił na okres pana urlopu?

Wiedział, że nie lubię, jak mnie nazywali leniem.

— To nie żaden urlop, człowieku. Wykonuję pewną pracę, która ma związek z podatkami.

— Co? — Przestał jeść i sięgnął po cygaro leżące w szklanej popielniczce.

— Wyświadczę im przysługę. Dzięki temu łatwiej mi będzie spłacić podatki.

— Co może chcieć od pana urząd podatkowy?

— To niezupełnie oni — odparłem. Nie chciałem mu mówić, że pracuję dla FBI. - W każdym razie chcą, żebym odszukał faceta, który ma związek z pastorem z Pierwszego Afrykańskiego. Może jest im winien więcej niż ja.

Mofass potrząsnął głową. Było jasne, że mi nie wierzy.

— Więc w ciągu najbliższych tygodni będzie pan w kościele?

— Mniej więcej.

— Wygląda na to, że zamiast spłacać podatki, zamierza się pan modlić o ich odkupienie.

Wydał odgłos podobny do kaszlu. Początkowo sądziłem, że się udławił, ale kiedy kaszel się nasilił, zrozumiałem, że Mofass się śmieje. Odłożył cygaro, wyjął najbielszą chustkę, jaką w życiu widziałem, wytarł nos, otarł łzy, nie przestając się śmiać.

— Mofass! — krzyknąłem, ale on ciągle się śmiał. — Mofass!

Do śmiechu doszło jakby geganie, niczym odgłos gęsi przyzywającej gasiora. Łzy płynęły dalej.

Wreszcie zrezygnowałem i wyszedłem. Stałem przez kilka minut, nasłuchując za zamkniętymi drzwiami. Nie przestawał się śmiać.

Późnym wieczorem poszedłem do Pierwszego Afrykańskiego.

Frontowa ściana kościoła znajdowała się przy Sto Dwunastej ulicy i ciągnęła się aż do sąsiedniego budynku. Tylne wejście mieściło się w chropowatej, stiuko-wanej ścianie przypominającej mały budynek biurowy, a może gabinet dentystyczny. Na parterze znajdowało się wejście oraz krótki korytarz z kilkoma drzwiami po obu stronach. Na końcu korytarza wyłożonego brązowym dywanem znalazłem schody wiodące w górę i w dół. Odell powiedział, że na górze pastor ma biuro i mieszkanie, a na dole mieści się kuchnia i kafeteria.

Zszedłem na dół.

Ujrzałem tam scenę, która towarzyszyła mi niezmiennie od najmłodszych lat: czarne kobiety. Całe mnóstwo. Gotowały, rozmawiały, śmiały się i opowiadały. Tak naprawdę to zobaczyłem ich ręce. Ręce spracowane, rozstawiające talerze, obierające słodkie ziemniaki, składające prześcieradła i obrusy w idealne kwadraty, piorące, suszące, zbierające i przesuwające. Kobiety, których życiem była praca. Czesaly swoje dzieci, a także dzieci z sąsiedztwa, których rodzice wyszli na noc albo na dobre. Gotowały, owszem, ale dla Murzynki istniała też cała masa innych prac. Opatrywały rany mężczyzn, z których na początku były takie dumne, karały dzieci, zarówno czarne jak i białe. Pracowały dla Boga w domu Jego i własnym.

Moja matka, mimo choroby, piekła dla kościoła zapiekankę ze słodkich ziemniaków w ostatnią noc swego życia. Miała dwadzieścia pięć lat.

— Dobry wieczór, Easy — przywitał mnie Parker Lamont, jeden ze starszych diakonów. Nie zauważyłem go, kiedy wszedłem.

— Dobry wieczór, Parker.

— Odell i inni są z tyłu — poinformował mnie, po czym zaczął mnie prowadzić przez tłum pracujących kobiet.

Wiele z nich mnie pozdrowiało. W tamtych dniach kręciłem się sporo po dzielnicy i kiedy widziałem, że któraś z kobiet potrzebuje pomocy, ofiarowywałem ją z przyjemnością. W plotkach kryje się wiele prawdy i intuicji; jedynym kluczem, jakiego ci trzeba, jest pomocna dłoń.

Była tam Winona Fitzpatrick, wesoła i pełna życia, chociaż się do mnie nie uśmiechnęła. Miała na sobie białą, szykowną sukienkę, nie nadającą się do pracy. Ale Winona nie pracowała. Jako przewodnicząca rady kościoła była swego rodzaju szarą eminencją.

— Co się tu dzieje? — spytałem Parkera.

— Co?

— Całe to gotowanie.

— Szykują się na zebranie rad kościoła z całej południowej Kalifornii.

— Dziś wieczorem?

— Aha.

Przeprowadził mnie przez labirynt długich stołów, a potem przez otwarte drzwi na tyłach. Stanęliśmy przed zamkniętymi drzwiami. Jeszcze przed wejściem poczułem zapach dymu.

Znalazłem się w pokoju pełnym czarnych mężczyzn. Wszyscy siedzieli, wygodnie rozparci, i palili. Był to mały pokój z wytartym, jasnozielonym dywanem i składanymi stolikami, na których mężczyźni ustawili popielniczki. Wyjęli też plansze do warcabów i kostki domina, ale nikt nie grał. Przez zapach dymu przebijała kwaśna woń męskich oddechów.

Odell wstał, żeby się ze mną przywitać.

— Easy, chcę, żebyś poznał Wilsona i Granta. Wymieniliśmy skinienia głową.

— Miło mi was poznać — powiedziałem. Zobaczyłem Dupree i kilku innych znajomych.

— Pastor i Melvin zjedzą za kilka minut, są teraz na górze — mówił Odell. — A to jest Chaim, Chaim Wenzler.

Biały mężczyzna siedział za Dupreem, więc go nie zauważyłem. Był niski; pochylał się zatopiony w rozmowie z nie znanym mi mężczyzną.

Kiedy usłyszał swoje nazwisko, wyprostował się i podniósł na mnie wzrok.

— To jest Easy Rawlins, Chaim. Ma trochę wolnego czasu w weekendy i pragnie nam pomóc.

— Cudownie — odparł Chaim silnym głosem. Wstał i podał mi rękę. — Potrzebna mi pomoc, panie Rawlins, dziękuję.

— Easy, proszę mówić do mnie Easy.

— Pracujemy tu, w okolicy — mówił. Wskazał mi krzesło i sam usiadł. Od razu przeszliśmy do rzeczy. Polubiłem go wbrew własnej woli. — Jedzenie dla starszych ludzi, czasem trzeba coś przewieźć. Nie prowadzę, a trudno znaleźć szofera, kiedy zachodzi potrzeba. Czasami wozi mnie córka, ale ona pracuje jak my wszyscy. — Mrugnął. — Czasem trzeba zawiadomić ludzi o zebraniu tu w kościele albo w jakimś innym miejscu.

— Co to za zebrania? Zgarbił szerokie ramiona.

— Zebrania w sprawie pracy. Dużo pracujemy, panie Rawlins.

Uśmiechnąłem się.

— A jakiej pracy oczekuje pan ode mnie? Obrzucił mnie wzrokiem, a ja spróbowałem go ocenić. Chaim był niski, silny, łysy; przypuszczałem, że ma około pięćdziesięciu pięciu lat. Miał szare oczy, podobne w barwie do oczu Mouse'a, ale inne. Oczy Wenzlera były świdrujące i inteligentne, ale raczej wielkoduszne niż okrutne. Mouse odczuwał wielkoduszność tylko w wypadku śmierci kogoś, kogo nie lubił.

Coś jeszcze można było dostrzec w oczach Chaima.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co to jest, ale wyczuwałem w tym człowieku głęboki ból, który napełniał mnie smutkiem. — Potrzebujemy ubrań.

— Czego?

— Używanych ubrań dla starych ludzi. Proszę ludzi o składanie darowizn, a potem to sprzedajemy. — Nachylił się do mnie poufale i powiedział: — Widzisz, musimy je im sprzedawać, bo nie przyjęliby ubrań za darmo. — A co robicie z pieniędzmi?

— Mały poczęstunek podczas sprzedaży i po pieniądzach. — Klasnął, co miało oznaczać, że wychodzą na zero.

— No tak... — powiedziałem, ale w moim głosie musiało zabrzmieć pytanie.

— Chciałbyś może o coś zapytać? — Uśmiechnął się.

— Nie, niezupełnie... tylko, że...

— Tak?

Otaczali nas ludzie, nie słuchali jednak.

— No więc, nie rozumiem czemu ktoś, nawet pochodzący z dołów, chciałby pracować za darmo.

— Oczywiście masz rację — przyznał. — Człowiek pracuje dla pieniędzy, dla rodziny, albo... — Wzruszył ramionami. — Czasem dla Boga.

— Więc jaka jest twoja motywacja? Jesteś religijny?

— Nie. — Potrząsnął ponuro głową. — Nie jestem religijny, już nie.

— Więc nie wierzysz w Boga, a mimo to wykonujesz pracę dobroczynną dla kościoła?

Wbrew woli byłem natarczywy. Jednak coś w tym człowieku nie dawało mi spokoju i chciałem odkryć co. Znowu się uśmiechnął.

— Wierzę, panie Rawlins. Nawet więcej: wiem. Bóg odwrócił się ode mnie. — Sposób, w jaki na mnie spojrzał, przypominał mi o czymś czy o kimś. — Odwrócił się od wszystkich Żydów. Nasłał na nas demony. Wierzę, panie Rawlins. Takie zło, jakie widziałem, nie jest możliwe bez Boga.

— Chyba to rozumiem.

— Dlatego właśnie tu jestem — wyjaśnił Wenzler. — Ponieważ los Murzynów w Ameryce jest taki sam, jak los Żydów w Polsce. Są wyśmiewani, segregowani. Wieszano nas i palono tylko dlatego, że żyliśmy.

Wtedy przypomniałem sobie Hollisa Longa.

Hollis był przyjacielem mego ojca. W sobotnie popołudnia siadywali na werandzie. Jako jedyni czarni w parafii umiejący czytać, palili fajki i dyskutowali nad artykułami z gazet, które przeczytali w ciągu tygodnia.

Hollis był potężnym mężczyzną. Pamiętam, że przynosił mi w prezencie owoce albo landrynki. Siadałem na podłodze między nim a ojcem, słuchając, jak rozmawiają o wydarzeniach w Nowym Orleanie, Houston i innych dużych miastach Południa. Czasem rozmawiali o miastach północnych, a nawet o obcych krajach, jak Francja czy Chiny.

Pewnego dnia wróciłem ze szkoły i ujrzałem matkę płaczącą przy piecu. Ojciec stał obok niej, obejmując ją ramieniem. Hollis Long siedział przy stole i pił whisky z glinianego dzbana. Jego wzrok, ten sam, z jakim Chaim Wenzler mówił o Bogu, zdradzał coś potwornego.

Nikt się do mnie nie odezwał, więc wybiegłem na pole trzciny cukrowej sąsiadujące z naszym domem. Tej nocy Hollis spał u nas. Mieszkał z nami przez dwa czy trzy tygodnie, zanim na dobre nie wyjechał na Florydę. Co noc słyszałem, jak płacze i zawodzi. Czasem budziłem się w środku nocy, bo Hollis wstawał z łóżka, wrzeszczał i walił w ściany pięściami.

Po pierwszej nocy matka powiedziała mi, że kiedy Hollis rąbał drzewo z moim ojcem, wybuchł pożar. Żona, synowie i matka Hollisa — wszyscy zginęli w płomieniach.

— Kiedy straciłem resztki nadziei, pojawili się ludzie, którzy mnie uratowali — mówił Wenzler. — Pomogli mi się zemścić. Teraz przyszła moja kolej, żeby pomóc.

Mogłem tylko kiwać głową. Kiedy Bóg opuścił Hollisa Longa, nie zjawił się nikt, żeby go uratować.

— Musimy pomagać sobie nawzajem, Easy. Są ludzie, którzy skradliby mięso z naszych kości. Pomyślałem o agencji Craxtonie, inspektorze Lawrensie i odwróciłem wzrok.

Wenzler położył mi dłoń na ramieniu i powiedział:

— Będziemy razem pracować.

— Dobrze.

— Czy masz jutro czas? — spytał i dotknął wierzchu mojej dłoni tak jak John, kiedy się o mnie martwił.

— Może nie jutro, ale za kilka dni.

I tak załatwiliśmy sprawę. Chaim i ja zostaliśmy współnikami; pracowaliśmy dla biednych i starych. Oczywiście, chciałem go też przyszpilić.

Weszli Towne i Melvin w towarzystwie pięknej, młodej kobiety. Jej czarna skóra i olśniewająco biała sukienka stanowiły zaskakujący kontrast. Wysoka, zgrabna, ze złotymi wstążkami w rozprostowanych, brązowych włosach, miała jasnopomarańczowe usta i wzrok skupiony na Townie. Namietność spojrzenia czyniła ją piękną. Widać było, że niczego nie kryje.

Pastor powiedział parę słów do Parkera, potem odwrócił się i szepnął coś dziewczynie. Po sposobie, w jaki jej dotknął, poznałem, że są kochankami. Nie było w tym dotknięciu nic wielkiego, a jednak kryła się w nim intymność. Kiedy odwróciłem wzrok, zobaczyłem, że Melvin wbija we mnie twarde spojrzenie. Wyszli prawie natychmiast. Zauważyłem, że mężczyźni zareagowali na to zakłopotaniem. Oczekiwali, że pastor będzie reprezentował kościół podczas zebrania. Miał jednak inną pieczeń do upieczenia, podobnie jak ja.

— Zostajesz, Easy? — spytał Odell.

— Nie, stary. Muszę zadzwonić do kilku osób. Kiedy ruszyłem do wyjścia, złapał mnie za ramię. Nigdy czegoś takiego nie robił.

— Nie rozrabiaj tu teraz, Easy. Załatw sprawę z tym facetem, ale nie wyrządzaj krzywdy kościołowi. Uśmiechnąłem się tak uspokajająco, jak tylko potrafiłem.

— Nie obawiaj się, Odell. Chodzi mi tylko o pewne informacje, to wszystko. Nie zauważycie nawet mojej obecności.

Podniosłem słuchawkę po pierwszym dzwonku.

— Craxton.

— Spotkałem się z nim.

— Dobrze. Co powiedział?

— Nic takiego. Chce, żebym organizował zbiórkę ubrań dla starych ludzi.

— Niech pan nie da się nabrać, panie Rawlins. On pomaga tym ludziom tylko dla własnej korzyści.

Dokładnie tak jak ja — pomyślałem.

— I co dalej?

— Niech pan od niego nie odstępować przez kilka najbliższych tygodni, może przedstawi pana innym.

Niech pan wyciąga od niego informacje. Niech pan udaje, że nie jest pan zadowolony z białych w Ameryce, jemu się to podoba. Może odkryje pan, czy Wenzler wie, gdzie jest Lavender.

Monosylabami dawałem do zrozumienia, że zrobię, o co prosi, a potem spytałem:

— Panie Craxton?

— Słucham.

— Wczoraj dzwonił do mnie inspektor Lawrence.

— W jakiej sprawie?

— Chciał wiedzieć, co zamierzam robić w sprawie podatków.

— Naprawdę? — Zaśmiał się. — Jedno trzeba mu przyznać: solidnie wykonuje swoją robotę.

— Jego solidność stanie się moim wyrokiem.

— Niech się pan nie obawia, panie Rawlins. W Waszyngtonie za wszystkie sznurki pociąga J. Edgar Hoover. Jeśli on powie, że jest pan w porządku, to jest pan w porządku.

Nie słyszałem ani słowa z ust pana Hoovera, ale nie wspomniałem o tym.



- Co Wenzler robił w kościele?     spytał Craxton.
  - Pomagał w przygotowaniach do zebrania rad kościołów.
  - No tak, tak myślałem. Słyszałem niemal, jak kiwa głową.
  - Co pan myślał?
  - Rada kościołów to jedna z tych tak zwanych organizacji praw obywatelskich. Są pełne czerwonych oraz ludzi, którzy pewnego dnia czerwonymi zostaną.
- Pomyślałem, że Craxton to wariat, ale potem przypomniałem sobie, że dla niego pracuję: kim więc ja jestem?

## ***Rozdział piętnasty***

Chaim Wenzler był dziwnym człowiekiem. Wywoływał we mnie wspomnienia; po pewnym czasie zacząłem mieć nadzieję, że nie jest tym „złym”, za którego uważał go agent Craxton. Postanowiłem, że dopóki Craxton nie wie, gdzie jest Andre, na tym właśnie powinienem się skoncentrować.

Podejrzewałem, że agent FBI nie mówił mi całej prawdy o wydarzeniu w zakładach Championa. Nie miało sensu, że wyrwał mnie z łap urzędu skarbowego tylko po to, żeby dowiadywać się o jakimś działaczu związkowym. Potrzebowałem więcej informacji, których najlepszym źródłem był Andre, ale wiodła do niego kręta droga.

Craxton postąpił mądrze, wybierając kogoś takiego jak ja, ponieważ FBI nie mogło przeprowadzać dochodzenia w getcie. W tamtych czasach ludność kolorowa nie miała zamiaru mówić białym nic choćby zbliżonego do prawdy, a FBI składało się wyłącznie z białych.

Miałem też w ręku dodatkowy atut: znałem Andre i towarzystwo, w jakim się obracał.

Młoda dziewczyna, Juanita Barnes, zaszła w ciążę z Andre i urodziła chłopczyka. Wiedziałem, że Juanita mieszka w małym mieszkaniu przy Florence i że nie pracuje. Andre był dumny z syna, dlatego pomyślałem, że wyjechał z Lindą, bo polechtała jego męską próżność, a także dlatego, że mógł od niej wyciągnąć kilka dolców i wysłać synowi. Tarapaty,

w jakie wplątał się z Chaimem Wcn/lerem i Zakładami Lotniczymi Championa, też chyba nic były bez znaczenia.

Mąż Lindy, Winthrop Hughes, wiedział mniej więcej tyle samo, ale nie umiał wydusić z Juanii ani słowa.

Ten rodzaj pracy mi się podobał.

Następnego dnia rano pojawiłem się w brudnym, jednopokojowym mieszkaniu Juanity z jakimiś ubraniami do załatania. Juanita lubiła myśleć, że zna się na krawiectwie. Mówiła wszystkim, że utrzymuje się z szycia, ale nie wierzyłem w to kłamstwo.

Tak czy owak, poszedłem do niej z jakimiś podartymi ciuchami i spytałem, czy mogłaby je zaszyć.

— Równie dobrze mógłbyś to wyrzucić, Easy — stwierdziła, podnosząc łachman do okna. Przez dziury w spodniach można było zobaczyć ptaki zbierające się na drucie telefonicznym.

— Nie są warte pracy — oświadczyła.

— Chcesz powiedzieć, że niepotrzebna ci praca?

— Nie, nie o to chodzi.

— Dla mnie tak to właśnie wygląda. Przynoszę ci swoje robocze spodnie, ale ciebie one nic nie obchodzą.

Skuliła się trochę pod moim spojrzeniem.

— Chcę powiedzieć, że mógłbyś sobie kupić coś lepszego za prawie te same pieniądze, które byś mi zapłacił.

— Może pozwolisz, że sam będę decydował o swoich pieniądzach. — Stałem nad nią. Trzymała na rękach Andre juniora. Chłopczyk miał około czternastu miesięcy. Już chodził i przejawiał pewne oznaki indywidualności. Jego matka była niską dziewczyną o zaciętej twarzy i skórze koloru kuguara. Miała osiemnaście lat, małe oczy i chude nogi. Mimo że brzydka, Juanita miała w oczach ten płomienny wyraz miłości, charakterystyczny dla świeżo upieczonych matek.

Wziąłem od niej Andre juniora i przytuliłem do piersi.

— Popilnuję chłopca, kiedy będziesz szyc — zdecydowałem. Próbowałem przemawiać tonem ojcowskim, a Juanita zachowała się jak posłuszne dziecko. Dzisiaj uzmysławiam sobie, że byłem od niej prawie dwa razy starszy.

Mały Andre i ja bawiliśmy się świetnie. Pozwoliłem mu łązić po mnie, spać na mnie, podgrzałem mu nawet butelkę z jedzeniem, dając ją najpierw Juanicie do sprawdzenia, czy mały nie poparzy sobie języka. Posłała mi kilka nieśmiałych uśmiechów, kiedy siedziałem na obitym krześle, a ona na blacie kuchennym, łąając moje szmaty. Tak naprawdę rozpromieniła się jednak dopiero wtedy, kiedy przewinałem Andre juniora. Położyłem go w tym celu obok niej na blacie i zabawiałem tak, że nawet nie zapłakał.

Pokazałem Juanicie, że potrafię nasmarować dziecko wazeliną, żeby się nie odparzyło. Kiedy wcierałem maść w pośladki Andre, Juanita zdjęła nogę z nogi, oblizwała srebrne wargi i spytała: — Jesteś głodny, Easy? — Zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodała: — Bo ja umieram z głodu. Nie widziałem, żebym robił coś niewłaściwego.

Juanita nie miała bliskiej rodziny, dlatego większość czasu spędzała z Andre juniorem. Każdy wie, że gaworząc dziecko złamie nawet najsilniejszą wolę. Ja dotrzymywałem jej tylko towarzystwa, a Juanita potrzebowała mężczyzny.

Przyniosłem ze sklepu steki, chleb z mąki kukurydzianej i warzywa, i zrobiłem obiad, bo Juanita właściwie nie umiała gotować. Po obiedzie umieściła Andre Juniora w tekturowym pudle na stole, obok kanapy, którą rozłożyła.

Później wzięła butelkę z wazeliną i pokazała mi kilka rzeczy, które potrafiła. Może miała tylko osiemnaście lat i nie była światową damą, ale przepełniała ją miłość. Potrafiła też wydobyć miłość ze mnie. Popchnęła mnie na łóżko, oplótła ramionami i powiedziała, o czym marzyła od czasu odejścia Andre seniora.

W środku nocy chłopiec zapłakał i Juanita go uspiła. Potem szepnęła mi coś do ucha i nic minęło wiele czasu, a klęczałem, błagając i modląc się do niej, jakby była jednocześnie świątynią i kapłanką.

O czwartej rano obudziłem się znowu. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Bolały mnie wszystkie delikatne części ciała; kiedy spojrzałem na leżącą obok drobną dziewczynę, poczułem coś na kształt strachu.

Żaluzje były odsłonięte. Światło granitowej latarni ulicznej oświetlało Andre juniora w pudle.

Widziałem, jak jego małe usta poruszają się miarowo.

Rozejrzałem się po mieszkaniu, które nawet w ciemności wydawało się brudne. Juanita nigdy nie czyściła podłogi ani ścian. Brud pochodził z okresu jeszcze przed jej wprowadzeniem się; zostanie też po jej wyprowadzce.

Kiedy mój wzrok padł na szuflady pod kuchennym blatem, przypomniałem sobie o celu wizyty.

W najniższej szufladzie, pod stertą papieru pakowego, znalazłem plik kopert związanych szeroką gumką. Stempel pocztowy, prawie nie do przeczytania w mroku, pochodził z Riverside; na kopercie napisano dzieciennym pismem imię i nazwisko Juanity oraz jej adres. Mnie interesował jednak adres nadawcy. Oddarłem górny, lewy róg listu, wepchnąłem resztę do pliku i zamknąłem szafkę.

— Czego szukasz, Easy?

— Chciałem się napić wody, ale nie chciałem zapalać światła, żeby cię nie obudzić — odparłem, prostując się szybko.

— Szukasz wody na podłodze?

— Uderzyłem się w palec u nogi! — Udałem gniew, żeby się odczepiła.

— Szklanki są w szafie, tuż nad twoją głową, kochanie. Przynieś mi też.

Kiedy wślizgnąłem się do łóżka, Juanita znowu sięgnęła po wazelinę.

— Jestem trochę zmęczony, maleńka.

— Nie bój się, Easy, ja cię rozruszam.

Kilka godzin później do pokoju wpadło światło słońca. Juanita siedziała u wezłowania z mądrym wyrazem twarzy. Trzymała na rękach Andre, który pił z butelki.

— Jak dawno odszedł ojciec Andre? — spytałem.

— Zbyt dawno.

Zapaliłem papierosa i podałem jej.

— Odzywał się?

— Mhm. Po prostu odszedł, to wszystko. — Uśmiechnęła się do mnie. — Nie bój się, kochanie, nie zjawi się tu. Nie ma go nawet w Los Angeles.

— Sądziłem, że nie wiesz, gdzie jest.

— Słyszałam, że wyjechał.

— Od kogo?

— Po prostu słyszałam. Złożyła usta w wąski ciup.

Pogładziłem jej stopę, aż uśmiechnęła się znowu.

— Chciałabyś, żeby wrócił?

Zaprzeczyła, jednak nie od razu. Najpierw spojrzała na dziecko i zrobiła ruch, jakby chciała odsunąć stopę od mojej dłoni. Wstałem i włożyłem spodnie.

— Dokąd idziesz? — spytała.

— O ósmej muszę się spotkać z Mofassem w jednym z jego domów.

**Poszedłem** do domu, przespałem się kilka godzin, a potem pojechałem do Riverside.

W tamtych czasach Riverside przypominało wieś; żadnych chodników ani nazw ulic. Dopiero po obejściu trzech stacji benzynowych dowiedziałem się, jak znaleźć Andre.

Czatowałem przed domem do wieczora, kiedy na jezdni pojawił się Plymouth Winthrop. Brylantowa robota.

Linda była dużą kobietą, potężniejszą i grubszą niż EttaMae. Miała jasnożółtą skórę, dlatego właśnie Shaker, czyli Winthrop, się z nią ożenił. Linda miała zmysłową twarz, a biedny Andre sprawiał wrażenie, jakby nie mógł udźwignąć ciężaru jej ręki na ramieniu. Poły jego płaszcza powiewały z tyłu i spostrzegłem, że ma rozwiązane sznurowadło. Andre Lavender był mężczyzną o owadzich oczach i pomarańczowej skórze. Nie był gruby, ale mięsisty. Miał pogodny, trochę nerwowy charakter; podczas jednego spotkania trzykrotnie podawał ci rękę.

Patrzyłem, jak wloką się piaszczystą drogą do domu. Linda śpiewała, a Andre powłóczył nogami w błocie.

Już wtedy mogłem do niego podejść, ale chciałem, żeby to on się do mnie zwrócił. Chciałem, żeby Andre się bał, jednak nie mnie, więc pojechałem z powrotem do Los Angeles, do baru, który znałem.

## ***Rozdział szesnasty***

**T**ej nocy odwiedziłem „Cozy Room” przy Slauson, niedużą szopę z gipsowymi ścianami połączonymi papą, drutem i gwoździami. Stała pośrodku dużego, pochylego, koślawego placu. Jedyną oznaką, że ktoś ją odwiedza, była przybita nad drzwiami surowa deska sosnowa z czarnym, ociekającym napisem „Wejście”.

Pomieszczenie było małe i bardzo ciemne. Bar składał się ze zwykłego podwyższenia pod ciężkie stoliki, zaopatrzonego w szereg metalowych półek. Za kontuarem stała krępa kobieta, Ula Hines. Serwowała джин lub whisky, z wodą lub bez, oraz niełuskane orzeszki ziemne w torebkach. Przy stoliku, w barze, było ich dwanaście, z trudem mieściły się dwie osoby. W „Cozy Room” nie urządziło się dużych przyjęć; przychodzili tam ludzie, którzy chcieli się upić.

Ponieważ nie kwitło tam życie towarzyskie, Ula nie inwestowała w szafę grającą ani muzykę na żywo. Miała radio nastawione na muzykę kowbojską i telewizor, gdzie można było obejrzeć wyłącznie mecz bokserski.

. Winthrop siedział przy stoliku, pił, palił i wyglądał wrednie.

— Dobry wieczór, Shaker — pozdrowiłem go. W czasach naszego dzieciństwa w Houston nazywał się Shaker Jones. Dopiero kiedy zaczął pracować jako agent ubezpieczeniowy, zmienił imię i nazwisko na bardziej eleganckie, Winthrop Hughes.

Jednak tej nocy Shaker nie zachowywał się zbyt elegancko.



— Czego chcesz, Easy?

Zdumiało mnie, że mnie poznał w pijackim zamroczeniu.

— Przysłała mnie Mofass.

— Po co?

— Potrzebne mu krycie na kilka mieszkań przy ulicy Magnolii.

Shaker zaśmiał się jak umierający, który usłyszał ostatni dowcip.

— Ma tam nie pomalowane grzejniki gazowe, niech idzie do diabła.

— On coś dla ciebie ma — kusilem.

— Nic dla mnie nie ma. Nic a nic.

— A co z Lindą i Andre?

Moja ciotka Vel nienawidziła pijaków. Uważała, że wcale nie musieliby się zachowywać tak głupio i niechlujnie. „To kwestia ich umysłów” — mawiała.

Shaker udowodnił, że ciotka Vel miała rację: wyprostował się i zapytał bardzo wyraźnie:

— Gdzie oni są, Easy?

— Mofass powiedział, żebym wziął od ciebie te papiery, Shaker. Powiedział, żebym z tobą pojechał.

Ty mi dasz papiery, a ja cię zawiozę do żony.

— Zapłacę ci teraz trzysta dolarów i zapomnijmy o Mofassie.

Roześmiałem się i pokręciłem głową.

— Do jutra, Shaker. — Wiedziałem, że jest trzeźwy, bo zachnął się, kiedy go tak nazwałem.

— Kwadrans po ósmej, przed biurem ubezpieczeniowym Vigilance.

Zanim wyszedłem, obejrzałem się na niego. Siedział wyprostowany i oddychał głęboko.

Zrozumiałem, że tylko ja odgradzam Andre Lavendera od rychłej śmierci.

**O** umówionej godzinie pojawiłem się przed biurem. Czekał już na mnie. Miał na sobie dwurzędowy, perłowski garnitur, białą koszulę i granatowy krawat

w małe, żółte romby. Jego lewa, różowa dłoń mieniła się złotem i brylantami, a za opaską filcowego kapelusza nosił jaskrawoczerwone pióra. Jedyne niechlujny element stroju Shakera stanowił neseser, porysowany i wytarty na środku. To był cały Shaker: przejmował się swoim wyglądem, ale ani trochę nie obchodziła go praca.

— Dokąd jedziemy, Easy? — spytał, zanim zatrzasnął drzwi.

— Dowiesz się, kiedy dojedziemy. — Uśmiechnąłem się na widok jego skonsternowanej miny. Miło było widzieć tak aroganckiego typa jak Shaker Jones całkowicie zbitego z tropu.

Ruszyłem na północ do Pasadena, gdzie skręciłem w szosę 66, zwaną wtedy Foothill Boulevard.

Minęliśmy gaje cytrusowe Monrovi i Arcadii, dojechaliśmy do Pomony i Ontario. W tamtych czasach podgórze było dzikie, biały kamień i piaszczysta ziemia znaczone kępami karłowatych krzaków, dzikimi pomarańczami i żółtymi owocami. Gaje cytrusowe były jasnozielone, pełne pomarańczowych i żółtych owoców. Po wzgórzach włóczyły się kojoty i żbiki.

Dom Andre i Lindy stał przy małej, piaszczystej drodze o nazwie Turkel, cztery przecznice od głównej szosy, Alessandro Boulevard. Zatrzymałem się o kilka przecznic przed celem.

— Jesteśmy — powiadomiłem go radośnie.

— Gdzie oni są?

— A gdzie papiery, o które prosił Mofass?

Posłał mi mordercze spojrzenie, ale kiedy się nie ugiąłem, wsadził rękę do zniszczonego nesesera i wyjął może piętnaście kartek papieru. Rzucił mi plik na kolana, a potem odgiął kilka stron i, wskazując na tekst, zapewnił:

— Najwyższa jakość. Właśnie o tym rozmawiałem w grudniu z Mofassem. No więc gdzie Linda i Andre?

Zignorowałem go i zacząłem przeglądać dokumenty. Shaker sapał, ale ja się nie śpieszyłem.

Dokumenty

prawne wymagają dokładnej inspekcji; sporo ich w życiu widziałem.

— Co robisz, człowieku? — pisał Shaker. — Nie umiesz czytać takich rzeczy. Do tego musisz być prawnikiem.

Sam prawnikiem nie był, nie ukończył nawet podstawówki. Ja zaliczyłem dwa lata studiów na Uniwersytecie w Los Angeles. Podrapałem się jednak w głowę na znak, że się z nim zgadzam.

— Może i tak, Shaker. Może. Ale muszę się ciebie o coś spytać.

— Przestań nazywać mnie Shaker, Easy — ostrzegł. — Już się tak nie nazywam. Co chciałbyś wiedzieć?

Otworzyłem plik na przedostatniej stronie i wskazałem palcem na pustą linię u dołu.

— Co to?

— Nic — odparł szybko. Zbyt szybko. — Dyrektor Vigilance musi to podpisać.

— Tu jest napisane: „Szef urzędu ubezpieczeń lub agent ubezpieczeniowy”. To znaczy ty, prawda?

Znowu spiorunował mnie wzrokiem, wyrwał papiery i podpisał.

— Gdzie ona jest?

Nie odpowiedziałem, ale wyjechałem z powrotem na drogę i dojechałem na miejsce.

Na podwórzu stał Plymouth Shakera, głęboko w błocie.

— To tam. — Pokazałem na dom.

— Dobra — odparł Shaker. Wsiadł z samochodu, a ja za nim.

— Ty dokąd, Easy?

— Razem z tobą, Shaker. Znowu się zachnął.

— Dostałeś, czego chciałeś. Teraz to już moja sprawa.

Zauważyłem, że jego płaszcz zwisa niżej po prawej stronie. Nie martwiło mnie to; z tyłu miałem dwudziestkę piątkę.

— Nie mam zamiaru pozwolić, żebyś kogoś zabił, Shaker. Słusznie zauważyłeś, że nie jestem prawnikiem, ale wiem, że policja uwielbia coś, co się nazywa współudział.

— Po prostu zejdz mi z drogi - ostrzegł i ruszył do domu przez błoto.

Trzymałem się za jego plecami, idąc nieco wolniej.

Kiedy otworzył drzwi, stałem może siedem czy osiem kroków za nim. Usłyszałem, że Linda krzyczy, a Andre wydaje odgłos podobny do ruszającej windy hydraulicznej. Później rozległ się trzask łamanych mebli. Wtedy wszedłem do środka.

W domu panował chaos. Różowa kanapa leżała przewrócona do tyłu; obok siedziała duża Linda sprawdzając, jak szeroko potrafi otworzyć oczy. Wydawała głośne, niespójne wrzaski. Sztywne, wyprostowane włosy sterczały jej z tyłu głowy, co upodabniało ją do olbrzymiego kurczaka.

W jednej ręce Shaker trzymał pałkę, a drugą złapał Andre za kark. Biedak kulił się, chcąc uniknąć ciosów.

— Puszczaj! - krzyczał Lavender. Krew tryskała mu z czoła.

Shaker spełnił prośbę swej ofiary; pozwolił Andre opaść na podłogę i upuścił pałkę. Wsunął rękę do kieszeni płaszcza, ale wtedy stałem już za nim. Złapałem go za rękę i wyciągnąłem mu broń z kieszeni.

— Co? Co? Co? - pytał Shaker. Prawie się roześmiałem.

— Nikogo dziś nie zabijesz, Shaker.

— Dawaj, dawaj, dawaj. - Oczy mu lśniły. Nie sędzę, żeby wiedział, co się dzieje.

— Masz whisky? — spytałem Andre.

— W kuchni. — Mrugnął do mnie ogromnymi oczami i spróbował wstać. Był w takim szoku, że dopiero za drugim razem udało mu się stanąć na nogi. Krew spływała mu na luźną, niebieską koszulę; przedstawiał przykry widok.

— Przynies — rozkazałem.

Linda wciąż krzyczała, chociaż straciła już głos. Nie przypominała już kurczaka, a raczej zachrypniętego, starego psa obszczekującego kury.

Złapałem ją za ramiona i wrzasnąłem:

— Zamknij się, kobieto!

Usłyszałem, jak coś pada, odwróciłem się i ujrzałem, że Shaker znowu rzucił się na Andre. Tym razem ścisnął go za gardło.

Trzasnąłem Shakera pięścią w ucho, a potem ogłuszyłem go lufą jego spluwy. Poleciał na ziemię szybciej, niż go uderzyłem.

— Chciał mnie zabić. — W głosie Andre brzmiało zdumienie.

— Tak — potwierdziłem. — Wydajesz jego forszę, jeździsz jego wozem i pieprzysz mu żonę. Chciał cię zabić. Andre zdawał się nie pojmować. Podszedłem do Lindy i spytałem:

— Ile forsy Shakera ci zostało?

— Około połowy. — Strach przed śmiercią wybił jej z głowy wszelkie możliwe kłamstwa.

— To znaczy ile?

— Tysiąc osiemset.

— Daj mi tysiąc sześćset.

— Co?

— Daj mi tysiąc sześćset i wynoście się stąd obydwójcie. Chyba, że chcecie wracać razem z nim. — Skinąłem głową na Shakera.

Andre wyjął pieniądze; trzymali je w skarpecie pod materacem.

Podczas gdy odliczałem, Linda wrzucała ubrania do walizki. Była przestraszona, bo Shaker zaczynał dawać oznaki życia. Mnie to jednak nie martwiło; z przyjemnością walnąłbym go znowu.

— Chodźmy, kochanie — powiedziała Linda do Andre, kiedy skończyła się pakować. Miała na sobie futro z królików i czerwony kapelusz.

— Właśnie wracam od Juanity — wtrąciłem. — Chce,

żebyś wrócił. Poza tym wiesz, że ta zabawa jest już skończona.

Andre się zawahał. Jedna strona twarzy zaczynała mu puchnąć, czyniąc go podobnym do synka.

— Idź, Linda - ponagliłem ją. — Andre już ma rodzinę. Raczej trudno byłoby wam obojgu utrzymać się za dwieście dolarów.

— Andre! — wydyszała. Spojrzał na swoje stopy.

— Cholera! — Było to ostatnie słowo, jakie od niej usłyszał.

— Cztery przecznice stąd, przy Alessandro Boulevard, jest przystanek autobusowy — poinformowałem Linde.

Przeklęła mnie i zniknęła.

— Przed domem stoi mój Ford — powiedziałem do Andre, odprowadziwszy Linde wzrokiem do końca zabłoconej uliczki. - Wsiądź do niego, a ja pogadam z tym facetem.

Andre wyjął z szafy niewielką torbę. Zaśmiałem się widząc, że był już spakowany.

Usiadłem patrząc, jak Shaker wierci się na podłodze i przewraca oczyma. Jeszcze nie odzyskał przytomności. Bawiąc się widowiskiem, wziąłem trzysta dolarów z pieniędzy, które zostawiła Linda. Mniej więcej po kwadransie oprzytomniał. Siedziałem przed nim, ściskając oparcie składanego fotela. Spojrzał na mnie z klęczek.

— Zostawili tylko tysiąc trzysta, masz. — Rzuciłem mu w twarz skarpetę.

— Gdzie Linda?

— Musiała pojechać w jedno miejsce.

— Z Andre?

— On jest ze mną. Zabieram go z powrotem na łono rodziny.

— Zabiję tego chłopaka, Easy.

— Nie ty, Shaker. Andre znajduje się pod moją ochroną. Rozumiesz doskonale, że cię zabiję, jeśli cokolwiek mu się stanie. Zabiję cię.

— Była umowa, Easy.

— I dotrzymałem jej. Masz samochód, resztę forsy, a twoja żona cię nie chce. Pogódź się z tym albo zadrzyj ze mną. Wiesz, że nie wyszedłbyś z tego żywy.

Widziałem po oczach Shakera, że mi wierzy. Bał się mnie, dopóki sądził, że jestem biedakiem.

Dlatego trzymałem majątek w tajemnicy. Każdy wie, że biedak nie ma nic do stracenia; zabije cię dla dziesięciu centów.

## ***Rozdział siedemnasty***

Winthrop Hughes wstał i odprowadziłem go do jego samochodu. Zatrzymałem pistolet i pałkę na wypadek, gdyby zobaczył Lindę albo miał zamiar rzucić się na mnie i Andre.

Odjechał, syjąc przekleństwami i grożąc, że poskarży się Mofassowi. Andre i ja odjechaliśmy około dwudziestu minut po nim.

— Dziękuję, Easy — powiedział, kiedy wjechaliśmy na autostradę. Lęk uczynił go grzecznym. — Naprawdę uratowałeś mi życie.

Nic nie odpowiedziałem. Andre przyciskał moją chustkę do krwawiącego czoła i rozglądał się na boki jak pies, który musi się wydostać z zamknięcia.

— Dokąd chcesz jechać, Andre? — spytałem po pewnym czasie.

— Hm. — Zawahał się. — Może mógłbyś mnie podrzucić do mojej ciotki Florence.

Potrząsnąłem głową.

— Gliny już tam są.

— Co takiego?

Znowu zamilkłem. Chciałem, żeby Andre śmiertelnie się bał.

— Jakie gliny, Easy?

— Szukają cię, Andre, pytali o ciebie.

— Kto?

— Policja.

Wyglądało na to, że się uspokoił.



— I jakiś gość z FBI.

To podziałało jak rozgrzany olej wylany na twarz.

— Nie!

— To fakt, człowieku. Widzisz, Shaker wynajął mnie, żebym cię odnalazł, bo zależało mu na Lindzie. Powiedział, że rząd zapłaciłby za ciebie trochę forsy. Masz szczęście, że nie chciałem się w to bawić. Poszedłem do Juanity, zapytałem, co robić, a ona powiedziała, że twój syn potrzebuje taty.

— Dzięki — powiedział Andre, wyglądając przez okno. Może myślał, czy by nie wyskoczyć z samochodu. — Czego chcą gliny? — spytałem.

— Nie wiem, człowieku. To musi być jakaś pomyłka.

- Powiesz mi?

— Co mam ci powiedzieć? Nie widziałem żadnych glin. Siedziałem tam z Lindą, to wszystko.

— Andre, chcesz, żebym oddał cię policji? Zrobię to.

— Po co się mnie czepiasz, -Easy? Nic ci nie zrobiłem.

Krowy schodziły z pastwiska, które mijaliśmy; czarno-białe krowy wchodzące krętą ścieżką na wzgórzu. Zdawało się, że z trudem zachowują równowagę, ale w porównaniu z krowiokim facetem siedzącym obok mnie, stapały po twardej skale.

— Powiedz mi, co jest grane, a może będę w stanie pomóc.

— Jak mógłbyś mi pomóc?

— Mógłbym znaleźć ci kryjówkę. Może przywiózłbym ci twoją dziewczynę i dziecko. Może nawet dowoziłbym ci jedzenie do czasu, kiedy ta burza minie.

— Nie będzie żadnej burzy.

— Opowiedz mi wszystko — rozkazałem niskim, zachęcającym głosem.

Andre oparł się i wytarł dłonie w spodnie. Krzywił się, szczyrzył zęby i jęczał.

— Wrobili mnie! — krzyknął. — Wrobili!

— Kto?

— Ludzie od Championa. Włożyli te papiery do nieoznakowanej koperty. To był niebieski papier, taki sam, jakiego używają do list personalnych.

— O czym ty mówisz, człowieku?

— Wrobili mnie! — powtórzył. — Sekretarz pana Lindquista powiedział, że mogę na niego poczekać w biurze. Zajmuję się sklepem zakładowym i co miesiąc spotykam się z wiceprezesem.

Rozmawialiśmy o strajku, bo chcą zwolnić sto pięćdziesiąt osób. — Przerwał, jak gdyby uważał, że wszystko jest jasne.

— Więc to była lista osób, które mieli zwolnić?

— Tak myślałem. Złapałem ją i wziąłem ze sobą. Dopiero później zobaczyłem pieczęć.

— Jaką pieczęć?

— „Ściśle tajne”, człowieku. - Andre zaczął się wściekać. — „Ściśle tajne”.

— Dlaczego jej po prostu nie oddałeś?

— Przysięgam ci, natychmiast się stamtąd wyniosłem, bo nie chciałem, żeby ktoś mnie widział. Dopiero kiedy otworzyłem ją w domu, zobaczyłem pieczęć rządową. Tak się przeraziłem, że nie mogłem jej odnaleźć. — Zaplótł palce, by pokazać złożoność swego położenia.

— Ale koperta była z rodzaju tych, których używają do list personalnych? — spytałem.

— Tak. — Możliwe, że cię wrobili — oświadczyłem niezobowiązująco.

Andre spojrział na mnie z nadzieją.

— Mówiłem ci.

— Albo też postąpiłeś jak żalosny głupek. Co zrobiłeś z tymi papierami?

— Nie powiem o tym ani słowa.

Andre zamilkł. Zbliżaliśmy się do rogatek właściwego Los Angeles. Było południe. Pustynne słońce świeciło tak jasno, że nawet błękit nieba zdawał się blaknąć.

Zatrzymałem się przed knajpą o nazwie „U Skipa”. Dałem Andre bezrękawnik z bagażnika, żeby zakrył

zakrwawioną koszulę. Na jego czoło nic nie mogliśmy poradzić. Początkowo sądziłem, że kelnerka nas nie obsłuży. Zamówiliśmy sznycle z kurczaka i piwo. Andre zachowywał się grzecznie, ale milczał. Nie chciałem go zbyt mocno naciskać, bo był zdenerwowany. Ostatnio wiele przeszedł. Kiedy kelnerka położyła na stole rachunek, Andre tylko na niego spojrzał.

— Więc jak będzie, Andre?

— O czym tym mówisz?

— Pytam, czy opowiesz mi o Chaimie Wenzlerze czy nie.

Miło było zdziwić Andre. Patrzyłem, jak emocje grają mu na twarzy.

— Skąd o nim wiesz?

— Mam swoje sposoby. Muszę wiedzieć, co cię łączy z tym typem.

— Do czego ci to potrzebne?

— Pracuję dla kogoś, starczy? Przestań być ciekawski, to może wykręcisz się od więzienia.

Sapał i zaciskał pięści, ale wiedziałem, że go mam.

— Jest facetem, którego poznałem, to wszystko.

— Jak?

— Kiedy wybrali mnie do prowadzenia sklepu. Ten biały, Martin Vost, przewodniczący związku z okręgu, przedstawił mnie podczas comiesięcznego zebrania. Chaim był tam jako doradca.

— Tak? I doradził ci, żebyś ukradł tajne dokumenty?

— Człowieku, zachowywał się jak przyjaciel. Piliśmy razem, gadaliśmy, a po pewnym czasie wziął mnie na spotkanie grupy dyskusyjnej.

— No i nad czym tam dyskutują?

— Nad pracą związkową i takimi rzeczami.

— Więc nie kazał ci skraść tych papierów.

— Powiedział, że strajk to wojna; powiedział, że musimy zrobić wszystko, żeby wygrać. Dlatego kiedy zobaczyłem tę listę personalną, wziąłem ją. To tak, jakby mi to zlecił, jakby mnie przygotował.

- Co powiedział, kiedy mu ją dałeś?
- A kto mówi, że dałem?
- Daj spokój, człowieku, nie mam czasu na takie pierduły.
- Wenzler otworzył szeroko oczy i spytał, skąd to mam. Powiedziałem mu. Na to on, że kradzież tych dokumentów to przestępstwo. Kazał mi zniknąć.
- I to wszystko?
- Wszystko, co mam do powiedzenia.
- Ale jest coś jeszcze.
- Co takiego?
  - Gdzie są te papiery? Wtedy właśnie zauważyłem pot na górnej wardze Andre. Może był tam przez cały miesiąc. — Musisz przysiąc, że nie powiesz.
  - Gdzie jest to gównno, człowieku? — Straciłem cierpliwość do lęków Andre.
  - Znasz cmentarzysko samochodów na końcu Ver-non, otoczone murami z cegieł?
  - Tak.
  - Pojechaliśmy tam. Pod tylną ścianą leży szmaragdowa ciężarówka, Dodge. Schowaliśmy papiery za siedzeniem.
  - Wenzler pojechał z tobą?
  - Tak, pojechaliśmy razem. Powiedzieliśmy, że szukamy tłumika, a potem zakradliśmy się i schowaliśmy papiery. — Co będzie, jeśli sprzedadzą ciężarówkę?
  - To zupełny wrak, leży tam od lat.
- Po powrocie do samochodu, powiedziałem Andre, że spróbuję mu pomóc.
- Pracuję dla faceta nazwiskiem Mofass. Zarządza kilkoma domami mieszkalnymi.
- No i?
- Zadzwoń do niego i powiem, żeby cię umieścił w jednym z meksykańskich domów. Zadzwoń też do Juanity i wyślę ją tam. — Wyjąłem z kieszeni trzysta dolarów i wręczyłem Andre.

— Obchodź się z tym oszczędnie. Możliwe, że będziesz się musiał przez pewien czas ukrywać. Wysadziłem Andre przed hotelem przy Buena Vista Boulevard. Po powrocie do domu zadzwoniłem do Mofassa i poleciłem mu przyszykować jakieś mieszkanie dla Andre.

— Kto mi zapłaci? — spytał Mofass.

— Ja.

— To niedobry interes, panie Rawlins. Właściciel nie powinien płacić niczyjego czynszu. Potem zadzwoniłem do Juanity.

— To ty, Easy? — spytała, łagodniejąc na dźwięk mojego głosu.

— Andre jest w hotelu w centrum, kochanie — powiedziałem i podałem jej adres. — Ma trochę forsy i jest nieźle przestraszony.

— Chcesz, żebym do niego poszła? — spytała, jakbym decydował o reszcie jej życia.

— Tak. I... Juanita?

— Co, Easy?

— Może ulituj się nad chłopakiem i nie mów mu o nas?

— Nie martw się, kochanie. Zatrzymam ten sekret tu, w środku. Nie widziałem jej, ale wyobrażałem sobie, gdzie trzyma rękę.

## *Rozdział osiemnasty*

W domu powitał mnie głośny stukot młotków. Na werandzie stało trzech mężczyzn, z których dwóch pracowało. Okna zdążyli zabić deskami, na które przykleili taśmę żółtego papieru. Kiedy podszedłem, wbijali gwoździe w deski na drzwiach.

— Co tu, do kurwy, wyrabiacie!?! — wrzasnąłem. Wszyscy trzej byli biali, ubrani w ciemne garnitury. Odwrócili się i rozpoznałem tylko jednego, ale to mi wystarczyło.

— Zaplombujemy ten dom w obawie, że zlikwidujesz własność, która być może należy do rządu federalnego — poinformował mnie inspektor Lawrence.

— Co?

Zamiast odpowiedzi Lawrence zdarł kartkę przylepioną do ściany. Wręczył mi nakaz szeryfa, który głosił, że urząd szeryfa konfiskuje tę posiadłość do czasu wyjaśnienia mojej sytuacji podatkowej — tyle udało mi się zrozumieć. Dokument podpisało dwóch sędziów, a także inspektor podatkowy Reginald Arnold Lawrence.

Przedarłem nakaz i przecisnąłem się obok Lawrence<sup>^</sup>. Podszedłem do stojącego bliżej urzędnika szeryfa i powiedziałem:

— Nie wiem, co byś zrobił, bracie, gdyby ktoś ci groził, że odbierze ci dom. FBI powiedziało mi, że nie muszę się niczego obawiać, jeśli wykonam dla nich pewną robotę.

Urzędnik był niski. Miał niebieskie oczy i rzednące, piaskowe włosy przylepione do głowy potem — efekt wbijania gwoździ w ściany mego domu.

— Nic o tym nie wiem, panie Rawlins. Wiem tylko, że muszę wykonać nakaz szeryfa.

— Ale to mój dom, człowieku! W środku mam wszystkie ubrania, buty, notes, tutaj nie mam nic! Dwaj urzędnicy spojrzeli po sobie. Widziałem, że mi współczują. Nikt nie lubi wykopywać ludzi z domu, to znaczy nikt porządny.

— Dalej, Aster — ponaglił inspektor Lawrence — muszę wracać do domu.

— Należą mu się jakieś wyjaśnienia — wstawił się za mną Aster. — Zamykamy mu dom, a on ma tylko to, co na sobie.

— Takie jest prawo, drogi panie — oświecił go Lawrence. — Nie mamy nic poza prawem. Dlatego właśnie tu jestem. Wykonuję swoją pracę i tego samego wymagam od was. — Spojrzał twardo na urzędników, na co ci wrócili do przerwanej roboty.

Przyglądałem się im przez minutę. Zaczęło mi braknąć tchu, poczułem w piersiach drzenie.

— Nie możesz tego zrobić, człowieku — powiedziałem, bo obawiałem się tego, co mogłoby się stać, gdybym się nie odzywał.

Lawrence mnie jednak zignorował. Wziął dwie połówki nakazu i przylepił z powrotem do ściany.

— Powiedziałem: nie możesz tego zrobić, człowieku! Ton mego głosu przypominał mi krzyk Poinsettii,

która domagała się od Mofassa jeszcze jednej szansy.

Urzędnicy prawie skończyli pracę, więc położyłem dłoń na ramieniu Lawrence'a.

Nie przejął się zbytnio. Walnął mnie pięścią w skroń i poprawił hakiem, którego udało mi się uniknąć.

W żyłach pulsowała mi już adrenalina. Uderzyłem go w pierś, a potem w bok głowy. Zgiął się, a wtedy zepchnąłem go ze schodów.

Byłem gotów za nim skoczyć, kiedy przypomniałem

sobie o dwóch facetach za plecami. Właśnie się miałem odwrócić, kiedy złapali mnie za rękę.

Wlekli mnie ze schodów, a Lawrence krzychał:

— Uderzył mnie! Napadł na mnie! - Powtarzał w kółko i w kółko, ale nie był wściekły, a raczej zadowolony z faktu, że się na niego porwałem.

Urzednicy szeryfa przycisnęli mnie do ogrodzenia, zmusili do ukłęknięcia, a potem przykuli kajdankami do słupka. Wyrywałem się, szamotałem i może trochę krzychałem. Może miałem łzy w oczach i płaczliwy głos, kiedy krzychałem do tych ludzi, żeby trzymali się z dala od mojego domu. Przy bramie zebrała się mała grupka sąsiadów. Kilku mężczyzn weszło nawet i zbliżyło się do białych stróżów prawa.

Urzednik, który ze mną rozmawiał, podszedł do sąsiadów. Był spokojny; w dłoni trzymał odznakę. Kiedy patrzyłem na niego, poczułem uderzenie w bok głowy. Odwróciwszy się, ujrzałem drugiego urzednika, który trzymał inspektora Lawrence'a.

— Dosyć! — rozkazał czarnowłosa mężczyzna o śródziemnomorskiej urodzie.

— ...wykonujemy tylko obowiązki — wyjaśniał ludziom Aster.

Cofali się przed nim; nikt nie wyciągnął broni.

— Proszę się rozejść. Kiedy odejdziemy, pan Rawlins wszystko wyjaśni.

— Żądam aresztowania go za napad na urzednika federalnego! - wrzasnął Lawrence. Wydymał wargi i trzął się jakby z zimna.

— Następnym razem zabiję cię, gnoju! — krzyknąłem z klęczek.

Czarnowłosa wyciągnął Lawrence'a na ulicę, a drugi podszedł do mnie.

— Nie możesz mi tego zrobić, człowieku! Nie mogę stracić domu, ubrań...

— Zamknij się — uciał tamten. Musiał gdzieś służyć jako oficer, bo jego głos domagał się posłuszeństwa.



Kłęknał przy mnie i sięgnął po kajdanki.

— Kończymy teraz służbę, panie Rawlins. Jeśli zerwie pan plombę, będziemy musieli przyjść tu jutro i aresztować pana. To znaczy, o ile jeszcze pana tu zastaniemy.

Zdjął mi kajdanki, a ja zerwałem się na równe nogi. Podszedłem do dwóch facetów przy bramie; Aster nie odstępował mnie na krok.

— Co jest grane, Easy? — spytał Melford Thomas, mój sąsiad z przeciwka.

— Chcę, żebyście go aresztowali — powtórzył Lawrence.

— Dlaczego? — spytał Aster. — Widziałem tylko, że przewróciłeś się na dupę.

— Nie zniosę tego! — wybuchnął Lawrence, opluwając nas wszystkich.

Aster otarł twarz.

— Wracamy. Jak chcesz wracać z nami, wsiadaj lepiej do wozu. Jeśli nie, możesz zostać i sam go sobie aresztuj.

Wyglądało na to, że Lawrence chciałby spróbować. Jednak na widok czarnych, gniewnych twarzy moich sąsiadów zrezygnował.

— Nie zrywaj plomby, Rawlins. Masz oficjalny zakaz wstępu do tego domu — ostrzegł.

Potem odjechali.

Zanim samochód zniknął za rogiem, zerwałem deski z drzwi.

**Craxton** pracował do późna tej nocy. Być może codziennie pracował do późna, siedząc w jakimś wielkim biurze, knując plany przeciwko wrogom Ameryki. Ja nie musiałem się jednak martwić komunistami — policja w zupełności mi wystarczyła.

— Co takiego? — zaśmiał się. — Ściągnął tam szeryfa?

— Mnie to nie śmieszy. Walnął mnie w głowę.

— Wybacz, Easy. Po prostu podziwiam faceta, który tak poważnie traktuje swoją pracę.

— A co ze mną? Mam dla was pracować, a nie mam nawet gdzie spać ani w co się ubrać.

- Zadzwoń do kilku ludzi. Idź do łóżka, Easy, a jutro bądź gotowy do pracy. Inspektor Lawrence nie będzie cię więcej niepokoił.

- Dobra. Po prostu niech go pan trzyma z daleka od mojego domu. Nie chcę go tu więcej widzieć.

- Załatwione. Sądziłem, że jest rozsądniejszy. Moja prośba o twoją pomoc miała charakter nieformalny. Nie chciałem go przyciskać, ale teraz to zrobię.

To mnie zadowoliło. Zamilkliśmy na moment. - Więc, wciąż pan chce, żebym zajmował się tym Wenzlerem? - spytałem wreszcie.

- Oczywiście, Easy. Jesteś moim asem w tej partu.

- 'No więc, myślałem...

- Tak?

- O tym Andre Lavenderze.

- Co z nim?

- Pytałem kilku znajomych. Mowih, że miał kłopoty z prawem i zniknął.

- Jakiego rodzaju kłopoty?

- Nie wiem.

- No cóż, Easy, nie wiem nic o żadnych kłopotach Lavendera. Wiem, że pracuje z Wenzlerem i chcielibyśmy z nim porozmawiać. Gdybyś się czegoś dowiedział, będziemy wdzięczni. Właściwie, gdybyś nas zaprowadził do Lavendera, przestalibyśmy cię potrzebować.

Była to kusząca propozycja. Andre nic dla mnie nie znaczył. Nie zawinił jednak niczym poza głupotą, a Craxton i tak mi niczego nie obiecywał.

- Nikt nie wie, gdzie on jest - odparłem - ale będę miał oczy otwarte.

Przez całą noc przemierzałem pokoje swego małego domu. Chodziłem, kłamałem i ładowałem pistolety. Kiedy weszło słońce, usiadłem na werandzie i czekałem na ludzi szeryfa.

Nie pojawili się jednak. Tym lepiej, dla wszystkich.

## ***Rozdział dziewiętnasty***

Okres mojej pracy dla FBI był dość szalony. Większość wieczorów spędzałem w ramionach EttyMae; nocami odkrywałem jej miłość i ciało. Zarówno za to pierwsze, jak i za drugie warto było umrzeć. Życie z Etta podniecało mnie i przerażało jak nic innego. Musiałem przewyciężyć w sobie poczucie winy i lęk przed Mousem. Przychodziłem do niej późnym wieczorem, rozglądając się na wszystkie strony. LaMarque spał w sąsiednim pokoju, a Etta podchodziła do mnie powoli jak ujeżdżacz koni próbujący oswoić narowistego ogiera. Zawsze, kiedy tam przychodziłem, serce waliło mi ze strachu, który jednak szybko przemieniał się w namiętność. Czasem, w samym środku aktu miłosnego, Etta brała mnie za szyję i pytała:

— Czy naprawdę mnie kochasz, Easy?

— O tak! Tak, kochanie! - krzychałem, ulegając wzbierającym we mnie potężnym siłom.

Za dnia pracowałem z Chaimem Wenzlerem. Ciężko harował i był dobrym człowiekiem. Jeździliśmy od domu do domu w Hollywood, Beverly Hills i Santa Monica. Czekałem w samochodzie, podczas gdy on prosił ludzi o ofiarowanie ubrań i innych rzeczy. Raz zaproponowałem, że z nim pójdę, ale odparł:

— Ci ludzie nie chcieliby widzieć swoich rzeczy w twoich rękach, przyjacielu. Chcą może dawać, ale nie bezpośrednio. Myślą: dam to żydkowi, a on da czarnuchowi. — Splunął.

Drugie śniadanie zawsze jedliśmy w kafejkach. Raz

płacił Chaim, raz ja. Ludzie w knajpach chętnie przyjmowali od nas pieniądze, ale widać było, że są zakłopotani naszą obecnością; pewnie z powodu naszej hałaśliwości i zażyłości.

Chaim lubił snuć opowieści, śmiać się albo płakać. Opowiedział mi o swym dzieciństwie w Wilnie. Słyszałem o Wilnie, bo podczas wojny brałem udział w wyzwalaniu obozów koncentracyjnych. Kiedy wspomniałem Chaimowi o tych doświadczeniach, opowiedział mi o swoich losach pośród Niemców, Polaków i Żydów. W ten sposób zbliżyliśmy się do siebie. Łączyły nas wspólne doświadczenia, mimo że nigdy nie spotkaliśmy się podczas drugiej wojny światowej. Zaznaliśmy rozpacz i napatrzyliśmy się na śmierć.

Podczas niemieckiej okupacji Wilna Chaim należał do komunistycznego podziemia. Prowadził działalność organizacyjną i walczył z faszystami. Kiedy zastraszeni Żydzi wydali członków podziemia, Chaim uciekł z miasta razem z towarzyszami. Sformowali pluton, który zabijał hitlerowców, wysadzał pociągi i uwalniał każdego Żyda, którego mógł.

— Walczyliśmy ramię w ramię z rosyjskimi partyzantami — powiedział mi kiedyś. — Byli żołnierzami ludu. — Mówiąc to, jedną dłonią dotknął piersi, a drugą położył mi na ramieniu. — Tak jak ty i ja.

Wiedziałem, że Rosjanie zostawili getto warszawskie na łaskę Niemców i byłem pewien, że Chaim też to wiedział. Nic jednak nie mogłem powiedzieć, bo nie spotkałem jeszcze w życiu białego, który uważałby, że czarni i biali są naprawdę tacy sami. Kiedy Chaim położył mi rękę na ramieniu, drugą mógł mi wyrwać serce. Może agentowi Craxtonowi podobało się to, co dla niego robię, ale nie uważał, żebyśmy byli na tym samym poziomie.

Chaim nosił małą piersiówkę z wódką, z której lubił pociągać w ciągu dnia. Upijał się przyjemnie; jego przyjazne uczucia były niekłamane. Czasami wspominał o działalności „organizacyjnej” u Championa. Raz nawet wymienił nazwisko Andre Lavendera, natych-

miast jednak zmienił temat. Zachowywałem się tak, jakbym bał się słuchać czegokolwiek o polityce czy związkach zawodowych. I faktycznie się bałem; bałem się tego, co byłem gotów zrobić, żeby uniknąć więzienia.

- W jaki sposób zarabiasz na życie, Chaim? - spytałem kiedyś. Siedzieliśmy w niewielkim parku nad Pacyfikiem. Długo patrzył na błękitne powietrze i błękitną wodę, zanim odparł:

- Nie pozwalają mi pracować.

- Kto?

- Ameryka. Przychodzą i mówią miękkiemu szefowi, że jestem złym człowiekiem, więc mnie zwalnia. Nie pozwolą mi nawet zmywać gówna z podłogi Pomagają mi przyjaciele i rodzina.

- Kto ci nie pozwala pracować?

- Kozacy. - Splunął. - Faszyci, FBI.

- Chcesz powiedzieć, że przyszli do twojego szefa i powiedzieli mu, że popełniłeś przestępstwo?

- Mówią, że nie jestem Amerykaninem. Mówią, że jestem komunistą.

Potrząsnąłem głową.

- Przecież to jakieś brednie.

- Dlatego pracuję społecznie dla Pierwszego Afrykańskiego. Biali nie pojmują podobnego traktowania. Sądzą, że są wolni, bo nikt ich w pracy nie nagabuje. Widzą, że jestem zły, bo śledzi mnie policja. Nic nie pojmują. - Wskazał na głowę. - Robią im wodę z mózgu.

- Masz rację. Słyszysz się bez przerwy, że Ameryka jest wolna, ale to nieprawda.

- Nie, ale oni są wolni. Mają swoje posady i trzymają je. Kiedy sprawy przybierają zły obrót, mój przyjacielu, wtedy z pracy zwalniają ciebie i mnie.

Skinąłem głową. Wielokrotnie widziałem, jak w złym okresie dla przedsiębiorstwa zwalniano murzyńską część załogi. Nie zawsze tak to się odbywało, ale bardzo często.

Chaim chwycił moją rękę jak w imadło. Siedzieliśmy tak, trzymając się za ręce i patrząc na siebie, aż wreszcie poczułem się nieswojo.

— W dzieciństwie widziałem, jak powiesili mojego brata — powiedział wreszcie. — Oskarżono go o to, że napluł pod nogi żołnierzowi. Powiesili go i spalili dom mojej matki.

Nie twierdzę, że właśnie te słowa uczyniły nas przyjaciółmi, ale wtedy zrozumiałem Chaima Wenzlera.

Później, tej samej nocy, rozmawiałem z agentem Craxtonem. Zadawał mnóstwo pytań: skąd bierzemy ubrania, kto się zajmuje pieniędzmi. Wszędzie węszył szpiegów. Gdybym nie rozmawiał wcześniej z Andre Lavenderem, pomyślałbym, że agent FBI postradał zmysły.

Mimo że miałem już w ręku dowód, którego potrzebowałem do odzyskania wolności, sprzeciwiałem się wydaniu Chaima Wenzlera.

— O co go chcecie oskarżyć? — spytałem Craxtona.

— Dowiem się tego, jak mi powiesz, Easy. Czy zaprowadził cię na zebranie?

— Jakie zebranie?

— To ja cię o to pytam.

— Mm, nie. My tylko zbieramy ubrania, a potem rozdajemy.

— Niech pan się nie martwi, panie Rawlins. Powinno mu się noga i będzie nasz.

Nie pocieszył mnie tym.

— Rozmawiałem wczoraj z twoim przyjacielem, Easy.

— To znaczy z kim?

— Z Lawrence'em. Po tym jak Waszyngton zadzwonił do jego szefa, Lawrence zaczął inaczej śpiewać.

Mówi, że wszystko jest w porządku i że po zakończeniu całej sprawy jest gotów wyznaczyć panu terminy spłat długów.

— Ale chyba mu pan na to nie pozwoli?

— Nie, nie sędzę. Powiedziałem mu, że do końca tego tygodnia ma przesłać pana papiery do Waszyngtonu. — Dziękuję. — Odetchnąłem.

— Widzisz, Easy, pomagamy sobie nawzajem. Wciąż czułem na ręce ten potężny uścisk.

## ***Rozdział dwudziesty***

Wiedziałem, że katastrofa jest nieunikniona. W idealnym świecie wziąłbym Ettę za żonę, a Chaima na świadka na ślubie. Jednak po ostatniej rozmowie z Craxtonem moje nadzieje na szczęśliwe życie rozwiały się jak dym. Wydawało się, że wszystko co robię, jest złe. Policja była podejrzliwa, urząd podatkowy chciał mnie zamknąć. Nawet Craxton mnie okłamywał, chociaż nie wiedziałem dlaczego. Nie miałem ucieczki, więc sięgnąłem po alkohol. Wypiłem drinka, potem drugiego, a następnie odprawiłem rytuał kąpieli. Jednak woda mnie nie oczyściła, a whisky nie działała.

Nie chodziło tylko o lęk przed Mouse'em i jego zemstą. Nie jestem słabym człowiekiem i potrafię walczyć o to, co uważam za słuszne, bez względu na okoliczności. Gdybym czuł, że mam prawo kochać Ettę, nie obchodziłoby mnie, co robi Mouse; w każdym razie byłbym w zgodzie z samym sobą. Ale Mouse był moim przyjacielem i cierpiało. Zrozumiałem to, kiedy spojrzałem mu w oczy w barze „Targets”. Nie martwiłem się o niego; obchodziły mnie wyłącznie własne uczucia. Własny egoizm napawał mnie obrzydzeniem.

Podobnie rzecz się miała z Chaimem Wenzlerem. Może i był komunistą, ale był też moim przyjacielem. Piliśmy czasem z jednej szklanki, rozmawialiśmy od serca. Przez Craxtona i Lawrence'a tak się zamartwiałem swoimi pieniędzmi i wolnością, że stałem się

ich niewolnikiem. Mouse i Chaim pozostali przynajmniej sobą. Byli niewinni, to ja byłem złoczyńcą. Wreszcie, poddawszy się działaniu whisky, zacząłem rozmyślać o Poinsettii Jackson.

Nie potrafiłem myśleć o niczym innym jak o tej młodej kobiecie i o swoim kamiennym sercu, przez które odebrała sobie życie. Podobało mi się postępowanie detektywa Quintena Naylora, ale się z nim nie zgadzałem. Czemu ktokolwiek miałby zabijać kobietę, która przez całe życie czuła tylko ból i cierpienie? Gdyby ktoś ją chciał wybawić od nędznego losu, nie wieszaliby Poinsettii. Kula w głowę była bardziej ludzkim rozwiązaniem. Nie. Poinsettia odebrała sobie życie," ponieważ straciła urodę i pracę, a kiedy błagała, żebym zostawił jej chociaż dach nad głową, zabrałem go także.

Tego wieczoru poszedłem do Pierwszego Afrykańskiego w podłym nastroju. Byłem bardziej niż trochę pijany, gotów zwalić na kogoś winę za zło tkwiące we mnie.

Obiecałem Odellowi, że zajrzę do szkoły podstawowej prowadzonej przez kościół i zrobię coś z mrówkami. Mieli problem z czerwonymi mrówkami.

Los Angeles ma własną odmianę czerwonych mrówek. Są blisko trzykrotnie większe od zwykłych, czarnych; mają barwę wozu strażackiego. Prawdziwy problem stanowiły ich ugryzienia. Czerwone mrówki gryzły boleśnie; u wielu ludzi występowały bąble. Już to byłoby wystarczająco dokuczliwe, ale mrówki zdawały się szczególnie doskwierać dzieciom, które lubiły bawić się w piachu, gdzie owady zakładały gniazda.

Miałem truciznę, która wykańczała je w mrowiskach. Byłem przygnębiony i tak pijany, że nie mogłem usiedzieć w domu.

Otworzyłem drzwi kluczem, który dostałem od Odella i zszedłem do piwnicy po lejek. Po wejściu do



kafeterii ujrzałem, że palą się światła. Nie przejąłem się tym, bo w kościele często ktoś pracował. Wziąłem lejek z magazynu i ruszyłem do tylnego wyjścia. Wszedłszy do głównego pomieszczenia, zobaczyłem Chaima Wenzlera i młodą kobietę o czarnych włosach i bladej skórze.

- Cześć, Easy - powitał mnie Chaim z uśmiechem. I rzeszedł przez pokój, żeby podać mi rękę.

— Cześć, Chaim.

Pociągnął mnie przez pokój mówiąc:

— To moja córka, Shirley.

- Miło mi panią poznać. Ale Chaim, mam tu coś do zrobienia, a poza tym kłopoty w domu

Musiałem wyglądać poważnie, bo Chaim i Shirley zmarszczyli brwi. Mieli identyczne dołeczki na środku podbródka.

Chciałem stamtąd odejść. Przewracało mi się w brzuchu na myśl, że jestem tam po to, by ich wykiwać, podobnie jak oszukałem Poinsettę, zgrywając się na bezradnego dozorcę. Zanim zdążyli wyrazić swoje współczucie, wypadłem na dwór.

Boisko szkolne mieściło się na dużym, piaszczystym placu z trzema drewnianymi domami stojącymi, jeden przy drugim, na północnym końcu. Mrówki założyły gniazda na tyłach domów, wzdłuż ceglanego, łososiowego muru. Wycelowałem w nie latarką i wyjąłem bursztynową butelkę z trucizną. Miałem też flaszkę 1 eachersa. Łyknałem swojej trucizny, a potem nalałem mrówkom przez lejek ich specyfiku. Nastąpiła dziwna scena.

Nigdy przedtem nie widziałem, co się dzieje po włamu do mrowiska trucizny. W świetle latarki piasek wokół mrowiska przypominał prawdziwą pustynię Najpierw z otworu wydostała się tylko strużka dymu, ale potem wybiegło może dwadzieścia mrówek Pędziły gorączkowo, coraz szerszymi łukami, jak paradujące konie ściągane mocno cugłami. Uciekły w noc, a w ślad za mmi ruszyły te bardziej osłabione i oszołomione

Na moich oczach nie padło ich więcej niż cztery, ale wiedziałem, że mrowisko jest pełne trupów. Wiedziałem, że zdechły natychmiast, bo bezpośredni kontakt z trucizną jest śmiertelny. Tak jak kiedy wkroczyliśmy do Dachau: martwe ciała ścieliły się na ziemi jak porąbane drzewa w tartaku. W sumie na boisku znajdowało się sześć otworów. Sześć oddzielnych mrowisk do eksterminacji. Odprawiłem rytuał, pijąc whisky i twardo patrząc na nieliczne trupy. We wszystkich otworach było podobnie, z wyjątkiem ostatniego. Kiedy nalałem tam trucizny, wyroiły się setki mrówek. Było ich tyle, że musiałem się cofnąć, bo by mnie oblażyły. Tak się przeraziłem, że puściłem się pędem, dwukrotnie się potykając. Biegłem przez całą drogę powrotną do kościoła. Przed wejściem wypilem resztę whisky, a butelkę wyrzuciłem na ulicę. Zbiegłem do piwnicy, potykając się na schodach o własne nogi. Chaim i jego córka wciąż tam byli. Popatrzyli na mnie tak, że zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie rozmawiam sam ze sobą. Chaim spojrział mi w twarz niemal bezbarwnymi oczyma. Wyobraziłem sobie, że wie o wszystkim: o FBI i Craxtonie, o mrówkach, o Poinsettii i o Daddy Reesie. Wiedział też pewnie o tym, jak zasnąłem, a po przebudzeniu dowiedziałem się, że matka umarła.

— Co się stało, panie Rawlins?

— Nic — odparłem, robiąc krok w przód. Uderzenia moich stóp o ziemię rozbrzmiewały mi w głowie jak ogromny kocioł. — Po prostu...

— Co? — Chaim stęknął łapiąc mnie za ramiona. Zrozumiałem, że padam i spróbowałem odzyskać równowagę.

Córka Chaima, Shirley, stanęła tuż za nim. Troska malowała się na jej porcelanowej twarzy.

— Stój spokojnie, Easy — mówił Chaim. Potem się roześmiał. — Chyba nie będziesz jutro sortował ubrań.

Roześmiałem się razem z nim.

— I tak byłoby dla ciebie lepiej, gdyby pomagał ci ktoś inny. — Potrząsnął mną jak ludzkie, kiedy chcą, żeby ktoś oprzytomniał.

— *Ty* jesteś moim przyjacielem, Easy. — Jego trzeźwy wyraz twarzy jeszcze bardziej mnie zasmucił. Pomyślałem o ofiarach, które widziałem: mężczyźni skurczeni do rozmiarów chłopców, masowe groby pełne nienawiści.

— Nie jestem twoim przyjacielem, człowieku. Wyrzuciłem ją z jej własnego mieszkania. Nie możesz ufać czarnuchowi takiemu jak ja, Chaim. Będzie dla ciebie lepiej, jeśli dasz sobie ze mną spokój.

Z tymi słowami oparłem się o ścianę i osunąłem na ziemię.

— Nie możemy go tu zostawić, tato — stwierdziła Shirley.

Odpowiedział jej coś, ale w moich uszach zabrzmiało to jak muzyka, jak piosenka, której słów zapomniałem. Przez moment myślałem, że pojmuje moją rozterkę, że chce mnie zabić w tej kościelnej piwnicy.

Zamiast tego pomogli mi wstać i popchnęli w stronę drzwi. Przez większą część drogi szedłem o własnych siłach, chociaż potykałem się co kilka kroków.

Słyszałem w głowie donośne bębnienie, a na całkowicie czarnym niebie widziałem zawieszony lampy. Pomiędzy grzmotami swoich kroków słyszałem cmy tłuące o szklane ścianki.

W samochodzie zapaliło się światło; osunąłem się na tylne siedzenie, a Chaim wepchnął za mną moje nogi.

Pamiętam ruchy i kojące" słowa. Nie pamiętam, jak wszedłem do domu. Później upadłem znowu, tym razem na miękkie łóżko. Płakałem długo.

### ***Rozdział dwudziesty pierwszy***

Gdzieś w dole usłyszałem trzaśnięcie drzwi. Po pewnym czasie otworzyłem oczy.

Koronkowa firanka zasłaniała dolną połowę okna. Przez górne szyby widziałem wielkie, białe chmury przesuwające się po idealnie błękitnym niebie. Widok nieba ułatwił mi oddychanie. Pamiętam, jak głęboko wdychałem, wcale nie chcąc wypuszczać powietrza.

— Dzień dobry, panie Rawlins. - Usłyszałem kobiecy głos. - Jak się pan czuje?

— Która godzina? - spytałem siadając. Miałem na sobie koszulę; koce zsunęły mi się na brzuch.

Shirley Wenzler przyglądała się mojej piersi.

— Myślę, że dziesiąta.

Była ubrana w sukienkę bez rękawów w ukośne, błękitne, zielone i złote pasy, bardzo jaskrawe.

Mrużąc oczy patrzyłem na te kolory i zrozumiałem, że mam kaca.

— To pani dom?

— Tak jakby. Wynajmuję. Tata mieszka aż w Santa Monica, więc postanowiliśmy przywieźć tu pana na noc.

— Jak się dostałem do łóżka?

— Doszedł pan.

— Nie pamiętam. — Po części mówiłem prawdę.

— Był pan chyba pijany, panie Rawlins. — Zachichotała i zakryła usta. Była bardzo piękną, młodą kobietą o niezwykle bladej skórze kontrastującej z kru-

czoczarnymi włosami. Miała twarz w kształcie serca, którego koniuszek zdawał się wskazywać jej uśmiech.

— Tata na pana nakrzyczał i powiedział, dokąd ma pan iść. Krzyczał dotąd, aż pan poszedł. Pan... -  
Zawahała się.

— Tak?

— Pan jakby płakał.

— Czy mówiłem coś?

— O zmarłej kobiecie. Mówił pan, że się zabiła, bo kazał pan jej odejść. Czy to prawda?

— Nie, to nieprawda. Eksmitowano ją z domu, w którym sprzątam, to wszystko.

— Aha — szepnęła i spojrzała na moją pierś. Podobał mi się ten rodzaj uwagi, więc zostawiłem koce tam, gdzie leżały.

— Czy Chaim jest tutaj?

— Zawiozłam go do kościoła, właśnie wróciłam. Powiedział, że ma pan przyjść później, jeśli będzie pan w stanie.

— Czy to pani pokój? - spytałem, rozglądając się dokoła.

— Mhm. Ale spałam w pokoju na strychu. Jest tam łóżko i lubię tam czasem czytać. Zwłaszcza wiosną i jesienią, kiedy nie jest za gorąco. Tata spał na kanapie — dodała. — Czasami na niej sypia.

— O — odparłem, częściowo dlatego, że nie wiedziałem, co powiedzieć, a częściowo, ponieważ bolało mnie serce.

Patrzyłem przez pewien czas, jak mi się przygląda. Wreszcie się odezwała:

— Nigdy nie widziałam męskiej piersi takiej jak pana.

— Jest po prostu brązowa, kochanie, nie różni się aż tak bardzo od innych.

— Nie chodzi mi o to, ale o włosy. Nie ma pan ich dużo. Są takie kręcone i...

— I co?

Wtedy właśnie ktoś zadzwonił do drzwi. Trzy

krótkie dzwonki, jak nie z tego świata. Shirley, zarumieniona, ruszyła do wyjścia. Była chyba wzburzona, podobnie jak ja.

Kiedy wyszła, rozejrzałem się po pokoju. Ręcznie rzeźbione meble z żółtawobrazowego drzewa, którego nie potrafiłem zidentyfikować. Ani jednej gładkiej powierzchni; wszystko zakrzywione, wygięte — od sekretarzyka z lustrem do szafki z szufladami.

Na podłodze leżał gruby, biały dywan i stało kilka obitych krzeseł. Mały, kobiecy pokój; idealny rodzaj i rozmiar na mojego kaca.

Po chwili usłyszałem męskie głosy. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem Shirley stojącą przy drucianej siatce otaczającej starannie utrzymane podwórko. Rozmawiała z dwoma mężczyznami w ciemnych garniturach i kapeluszach z krótkim rondem. Pamiętam, jak pomyślałem, że musieli razem kupować ubrania.

Shirley złościła się i krzyczała, ale nie słyszałem co. Wreszcie odeszła, odwracając się co chwila, żeby zobaczyć, czy sobie poszli. Oni jednak wpatrywali się w nią z uwagą, jak para wilków postawionych przez stado na czatach.

Patrząc, naciągnąłem pośpiesznie spodnie. Kiedy usłyszałem trzaśnięcie drzwi, chciałem zejść i spytać, co się stało, ale bliźniacy przykuli moją uwagę. Powoli przeszli przez ulicę i wsiedli do ciemnoniebieskiego albo czarnego Buicka. Nie zapuścili motoru i nie odjechali; siedzieli tak i obserwowali dom.

— A więc wstał pan? — spytała Shirley Wenzler od drzwi. Znowu się uśmiechała.

Odwróciłem się od okna.

— Mieszka pani w ładnej dzielnicy. To Hollywood?

— Prawie. — Uśmiech. — Jesteśmy niedaleko La Brea i Melrose.

— To kawał drogi od miejsca, gdzie mnie zgarnęliście.

Zaśmiała się, odrobinę za głośno, po czym weszła do pokoju. Usiadła na obitym pluszem krześle naprzeciwko

łóżka. Żeby dotrzymać jej towarzystwa, usiadłem na materacu.

— Czy jakaś kobieta naprawdę umarła? — spytała.

— Kobieta mieszkająca w domu, gdzie sprzątam. Nie miała za co zapłacić czynszu i popełniła samobójstwo.

— Widział pan to?

— Tak. — Ale pamiętałem tylko kroplę ociekającą z palca u nogi Poinsettii.

— Mój tata widział takie rzeczy. — Jej oczy zapłonęły dziwnym blaskiem. Wzrok Shirley nie był nawiedzony, jak Chaima, ale pusty. — Wielu Żydów — ciągnęła, jakby odmawiała modlitwę, z którą zasypiała przez całe życie. — Matki i synowie.

— Tak — odparłem równie cicho.

W Dachau widziałem wiele kobiet i mężczyzn takich jak Wenzler; drobnych, skurczonych z głodu. Większość nie żyła. Leżeli na ścieżkach między barakami. Wyobrażałem sobie, że tak musiały wyglądać mrówki w mrowiskach.

— Myśli pan, że mógł ją pan uratować? — spytała. Miałem nieodparte uczucie, że rozmawiam nie z Shirley, ale z jej ojcem.

— Co?

— Tę kobietę, która się zabiła. Sądzi pan, że mógł ją pan uratować?

— Tak. Mogłem porozmawiać z właścicielem domu, pozwoliliby jej zostać.

— Nie — stwierdziła krótko.

— Jak to nie?

— Wszyscy jesteśmy uwięzieni, panie Rawlins. Uwięzieni w bursztynie, uwięzieni w pracy. Jeśli nie możesz zapłacić czynszu, umierasz.

— To nie w porządku — zauważyłem. Jej oczy jeszcze bardziej pojaśniały.

— Nie, panie Rawlins, to nie w porządku. Zabrzmiało to tak prawdziwie i wyczerpująco, że nie przyszła mi do głowy żadna odpowiedź. Zamilkłem

więc, patrząc na jej blade, delikatne dłonie. Pod białą skórą mogłem dostrzec pulsujące szlaki błękitnych żył.

— Proszę zejść na dół, kiedy będzie pan gotów — powiedziała wstając i ruszając do drzwi. — Szykuje śniadanie.

Nagle, niby za sprawą jej czarów, poczułem zapach kawy i boczku.

Siedziała przy klonowym stole w niszy, które, okna wychodziły na podwórze z tyłu domu. Tuż za oknem rosło drzewo mandarynkowe, obsypane woskowymi, białymi kwiatami; pośród kwiatów uganiały się pracowicie tuziny pszczół. .

— Proszę usiąść — zaprosiła mnie. Wstała i ujęła mnie za rękę tuż nad łokciem. Przyjazny gest wywołał we mnie uczucie winy.

— Dziękuję.

— Kawy? — spytała, nie patrząc mi w oczy.

— Z rozkoszą — odparłem tak seksownie, jak tylko potrafiłem na kacu.

Nalała mi kawy. Miała długie, cudowne ręce, białe jak piaszczyste plaże Meksyku. W tamtych czasach białe kobiety mnie zdumiewały. Samo patrzenie na nie, tam na Południu, można było przypłacić życiem. A wszystko, co ma tak wysoką cenę, niezmiernie kusi. .

— Przed wybuchem wojny ojciec wysłał mnie z Polski w skrzyni - oznajmiła, jakby kontynuując rozmowę.

— Twój ojciec to mądry człowiek.

— Powiedział, że czuje nosem zbliżających się faszystów. - Wyglądała jak nastolatka. Zapragnąłem ją pocałować, ale się opanowałem.

— Dlatego właśnie ojciec z panem pracuje, panie Rawlins. Wie, że niedola, jaką cierpiał w Polsce, jest taka sama jak wasz los tutaj. - Miała łzy w oczach.

Przypomniałem sobie, dlaczego tam jestem i gorzka kawa nabrała smaku piasku.

— Twój ojciec to dobry człowiek - powiedziałem szczerze. — Chce zmienić świat na lepszy.



— Ale on musi myśleć także o sobie! — wybuchnęła.

— Nie może wciąż robić rzeczy, które rozłączają go z rodziną. Musi być tutaj. Wie pan, on się starzeje, nie można wciąż od niego brać.

— Chyba trochę za dużo czasu poświęca pracy społecznej, prawda?

— A co będzie, kiedy wszyscy przestaną się o niego troszczyć? Co będzie, jeśli przyjdą po niego Kozacy? Czy ktokolwiek się za nim wstawi?

Czułem jej łzy we własnych oczach. Nie, nic się nie zmieniło od zeszłej nocy. Nadal postępowałem zdradziecko i źle.

Shirley wstała i wyszła z kuchni. Właściwie wybiegła.

Czy chce pan jeszcze grzanek, panie Rawlins?

— spytała po powrocie. Miała zaczerwienione oczy.

— Nie, dziękuję. Która godzina?

— Prawie dwunasta.

— Cholera. Pójdę lepiej pomóc pani ojcu, bo inaczej zacznie się zastanawiać, co tu robimy.

— Mogę pana zawieźć. — Uśmiechnęła się.

To był ładny uśmiech. Widząc, że mi ufa, zadrzałem, bo klęska jej ojca była moim jedynym wybawieniem. Jest pan dość milczący — zauważyła w samochodzie.

— Po prostu myślę.

— O czym?

— O tym, że wyprzedziła mnie pani o jeden punkt.

— Jak to?

Nachyliłem się do niej i szepnąłem:

— Przedstawiłaś swoje zdanie na temat mojej piersi, ale jeśli chodzi o twoją, werdykt jeszcze nie zapadł.

Skoncentrowała się na szosie i znowu się zarumieniła.

- Przepraszam. Zawsze lubię flirtować z ładnymi kobietami.
- Według mnie to było coś więcej niż flirtowanie.
- Zależy, skąd się pochodzi — zauważyłem filozoficznie. — W tych stronach to zwykły komplement od wielbiciela. — Kłamałem, ale Shirley o tym nie wiedziała.
- Nie jestem przyzwyczajona, żeby mężczyźni mówili do mnie w ten sposób.
- Powiedziałem przepraszam.

Wysadziła mnie przed Pierwszym Afrykańskim. Uścisnąłem jej dłoń i przytrzymałem nieco dłużej, niż powinienem, ale Shirley uśmiechała się i nie przestawała się uśmiechać nawet odjeżdżając. Odprowadziłem wzrokiem małego Studebakera. Wtedy zobaczyłem dwóch facetów w ciemnych garniturach siedzących w ciemnym Buicku. Zaparkowali naprzeciwko kościoła. Po prostu sobie siedzieli, jak sprzedawcy w przerwie na popołudniową przekąskę.

## ***Rozdział dwudziesty drugi***

W dni powszednie kościół sprawiał wrażenie opustoszałego. Chrystus nadal wisiał nad wejściem, ale bez wiernych gromadzących się wokół schodów wyglądał raczej jak ornament. Mimo to zawsze zatrzymywałem się, żeby na niego popatrzeć. Podobnie jak większości kolorowych, idea śmierci i bólu zadanych przez kogoś innego była mi bliska. Przy całej potworności swej śmierci Poinsettia nie była pierwszym wisielcem, jakiego widziałem.

Widziałem już w życiu lincz i palenie, rozstrzeliwanie i kamienowanie. Widziałem mężczyznę, Jessupa Howarda, powieszzonego za to, że spojrział na białą kobietę. Widziałem dwóch braci powieszonych na dwóch pętlach jednej liny za to, że skarżyli się na wyższe ceny, jakie kazano im płacić w sklepie. Rozdarli koszule i wydrapywali sobie nawzajem głębokie bruzdy w skórze, żeby uniknąć uduszenia. W końcu ich szyje pękły i wydłużyły się potwornie.

Silne uczucie, jakimi czarni darzą Jezusa, wynika częściowo ze zrozumienia jego położenia. Był niewinny, a oni go ukrzyżowali; podniósł głowę, żeby powiedzieć prawdę i umarł.

Patrząc na niego, usłyszałem coś, jakiś stłumiony odgłos na tyłach umysłu, jakby trzask zapalanej zapalki albo westchnienie starego drzewa w czasie burzy.

Chaim uwijał się już w piwnicy wokół skrzyń ze

starą odzieżą. Trzymał suknię wyszywaną cekinami, mrużąc oczy od blasku.

- Wygląda nieźle - ocenił. - Nieźle, co, basyr<sup>1</sup> Może pani Contella mogłaby znaleźć nowego męża? - Uśmiechnął się konspiracyjnie.

- Nie będzie pewnie lepszy niż jej dziewięciu ostatnich facetów.

Obaj się roześmieliśmy i zacząłem mu pomagać. Przekładaliśmy ubrania z jednej skrzyni do drugiej, przypinając do nich szpilkami ośmiokątne metki z cenami. Zwykle sukienki wycenialiśmy po dolarze, a eleganckie po dolarze i siedemdziesiąt pięć centów. Wszystkie spodnie były po sześćdziesiąt pięć centów, a kapelusze i chustki do nosa po ćwierć dolara.

- Shirley to dobra dziewczyna - odezwał się Chaim po pewnym czasie.

Przytaknąłem.

- Tak mi się wydaje. Tylko kobieta o wielkim sercu przyjmie na noc obcego pijaka.

- Czasami trzeba pić.

- Tak, to chyba też prawda.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Easy. Cieszę się, że zatrzymałeś się u mojej córki.

Przez kilka minut przesuwaliśmy skrzynie w milczeniu. ..

Zaczynałem właśnie myśleć, jak mógłbym uniknąć więzienia, nie przysparzając jednocześnie kłopotów Chaimowi, kiedy usłyszeliśmy krzyk. Rozległ się daleko, ale słyhać było, że jest pełen przerażenia.

Spojrzelśmy po sobie, a potem ruszyłem w stronę schodów. Byłem w połowie drogi na pierwsze piętro, kiedy zderzyłem się z Winoną Fitzpatnck. Biegła z rozłożonymi rękami, więc nie mogłem jej wyminąć. Płakała i krzyczała; jeden but spadł jej z nogi.

— Winona! — krzyknąłem. — Winona!

- Zamordowani - jęknęła i osunęła mi się w ramiona.

Ważyla ponad dziewięćdziesiąt kilo. Zrobiłem

wszystko, żeby złagodzić upadek; zsunęliśmy się po schodach na parter, gdzie ułożyłem ją najdelikatniej jak potrafiłem.

— Zabici — wykrztusiła.

— Kto?

— Zabici. Krew...

Postanowiłem, że Chaim zaraz się nią zajmie, a sam pogałem schodami na górę. Zbliżywszy się do mieszkania pastora na pierwszym piętrze, trochę zwolniłem. Zacząłem się zastanawiać, co się ze mną dzieje. Patrzyłem na drzwi z dykty i myślałem o teksaskich bagnach na południowy wschód od Houston. Myślałem o tym, jak można się tam ukryć i zniknąć bez śladu na wiele lat. Zrozumiałem, że sprawy przedstawiają się bardzo kiepsko, skoro tęsknię za tą nieprzyjazną krainą.

Wielebny Towne leżał wyciągnięty na plecach na kanapie. Spodnie miał opuszczone do kostek, a krótkie spodenki tylko do kolan. Jego członek wciąż był na wpół wyprężony; jestem pewien, że bogobojni członkowie kongregacji obojga płci byliby zdumieni jego nikłymi rozmiarami. Wydawało się, że pastor baptyś-tyczny musi być stuprocentowym mężczyzną, ale widywałem chłopców mogących się poszczycić czymś więcej niż Towne.

Inną dziwną sprawą był kolor jego skóry. Większość czarnych ma ciemniejszą skórę wokół genitaliów, ale Towne miał jaśniejszą; dziwny wybryk natury.

Krew na białej koszuli i wyraz osłupienia na twarzy powiedziały mi, że wielebny nie żyje.

Podbiegłbym do niego, żeby to sprawdzić, ale drogę zagrażała mi zgięta w pół kobieta, klęcząca u stóp Towne'a. Miała zakrwawiony tył głowy.

Gdyby nie dwa trupy, w pokoju panowałby całkowity porządek. Było to nowoczesne mieszkanie, bez żadnych przepierzeń. W kuchni wyłożonej sośniną zobaczyłem kuchenkę elektryczną i okno wychodzące na frontowy dziedziniec kościoła. Po prawej sypialnia. Schludna, z zasłanymi łóżkami; jej dalszą ścianę ozdo-

biono afrykańskimi maskami i tkaninami. U stóp łóżka leżały jasnoczerwone koce. Centralna część mieszkania była niższa niż otaczające ją pokoje.

Środkowy pokój wyścielał biały dywan. Wielebny spoczywał na białej, skórzanej kanapie. Pusty wzrok wbijał w nowoczesny kominek zasłonięty złotym parawanem.

Wszędzie panował porządek i czystość, z wyjątkiem kąta, gdzie leżały wymioty. Morderca zjadł na lunch sałatkę z kapusty i kotlet mielony. Z kąta dolatywał również silny zapach alkoholu.

Wyjrzałem przez kuchenne okno i zobaczyłem schody, na których stałem jeszcze niecały kwadrans wcześniej. Przypomniałem sobie stłumiony trzask i westchnienie. Ciekawe, czy mógł to być rykoszet kuli małego kalibru. Możliwe, że tak.

Wróciłem do kochanków, jeśli można ich tak określić. Przypominało to raczej rodzaj przyjemności, jakiego zażywali amerykańscy żołnierze w Europie, kiedy brakowało czasu i pieniędzy. Kobieta była w pełni ubrana, nie zdjęła nawet butów. To ją widziałem wtedy z Towne'em w piwnicy.

Zastanawiałem się, kto poprowadzi tę sprawę. Ulica Magnolii była niedaleko stąd.

Kiedy przemyślałem nad telefonem i bagnami w Teksasie, wszedł Chaim.

— Co to jest? — wyjąkał.

— Zabici.

— Kto? — W prawdziwym życiu nie potrzeba wielu słów.

— Nie wiem, człowieku. Winona biegła z wrzaskiem na dół, no i masz.

To ona ich zabiła? Zadzwonisz na policję, Chaim? Gdzie? — zapytał. Ucieszyłem się, że nie znpyinił dlaczego.

Pokazałem mu telefon i, kiedy kiedy wykręcał numer rozejrzałem się po mieszkaniu. Kiedy skończył rozmawiac

z dyżurnym policjantem, spytałem, czy nie widział na dole nic podejrzanego. Zaprzeczył. Potem spytałem, czy widział kogoś poza mną. Odparł, że wcześniej widział jednego z młodszych diakonów, Roberta Williamsa.

Policjanci pojawili się po około dziesięciu minutach. Spisali to, co wcześniej powiedział mi Chaim, potem rozdzielili nas i zaczęli zadawać pytania.

Przyprowadzili na górę Winonę. Usiadła na podłodze pod drzwiami do mieszkania, płacząc i bełkocząc o krwi.

Mój gliniarz zapytał, czy Winona знаła pastora. Odparłem, że nie wiem, co ich łączyło, a on zaczął być podejrzliwy.

— Nie zna jej pan? Więc skąd pan wie, jak się nazywa?

— Mówiłem jej dzień dobry. Nie wiem, czy znała pastora. To znaczy, ona należy do rady kościoła, więc go znała, ale nie wiem, czy mieli ze sobą cokolwiek wspólnego.

— Jak długo była z nim na górze?

— Nie mam pojęcia.

Zaczął chodzić po pokoju, zaciskając pięści. Grubas o czerwonej twarzy i jasnoniebieskich oczach, był wyższy ode mnie i miał zwyczaj mówić do siebie.

— Wie, jak się nazywa kobieta, ale poza tym jest głupi — mówił.

— Byłem na dole, w piwnicy — oświadczyłem, ale nawet tego nie słyszał.

— Coś tu nie gra — ciągnął. — Tak, coś tu nie gra. — Wie pan, gdzie ona mieszka? — spytał.

— Nie.

Znowu zaczął chodzić.

— Ten chłoptaş kręci. Coś ukrywa. Tak, on coś ukrywa.

Mówiono, że w odległych bagnach teksaskich żyły jeszcze krokodyle. W tym momencie wolałbym obcować z milusim gadem.

— Dobrze — odezwał się ktoś przy drzwiach. Zwariowany gliniarz odwrócił się, jakby ktoś go zawołał po imieniu. W drzwiach stał Andrew Reedy.

— Co się tu dzieje? — zapytał.

— Ktoś rozwalił parę pajaców, a ten Bambo udaje, że to robota Pana Boga. Na korytarzu siedzi dziewczyna, która ich znalazła. W ślad za Reedym do pokoju wszedł Quinten Naylor. Nie wiem, czy słyszał słowa zwariowanego gliny, ale nie widać było, żeby czuł do niego urazę. Nawet nie zwrócili na siebie uwagi. — Znowu się spotykamy, panie Rawlins — ucieszył się Reed. — Czy tym dwojgu grożono eksmisją? — Ten na kanapie to pastor. Dziewczyny nie znam. Na twarzy Reedy'ego zobaczyłem zmianę nastroju. Zabity pastor stanowił problem polityczny, bez względu na kolor skóry. .

— A dlaczego pan tu był?

— Pracowałem na dole, to wszystko.

— Pracował pan? — zdziwił się Naylor. — Czy zawsze, kiedy pan pracuje, w pobliżu walają się trupy? — Nie, proszę pana.

— Znał pan tego pastora?

— Niezbyt blisko.

— Jest pan członkiem tego kościoła?

— Tak, proszę pana.

Naylor odwrócił się do mundurowych.

— Zakryjcie ich. Co z wami, nie znacie przepisów? Grubas zrobił ruch, jakby chciał się rzucić na Naylora, ale Reedy złapał go za ramię i szepnął coś na ucho. Mundurowi wyszli razem z grubasem, który kołyszając się przestąpił próg. Na odchodne rzucił Naylorowi:

— Nie martw się, synu. W dzielnicy czarnuchów znajduje się masę trupów. Zobacysz, jak te czarne dziwki zaczną się nawzajem zarzynać.

— Zabiję skurwysyna — warknął Naylor.

Reedy nic nie powiedział; poszedł do sypialni po prześcieradła, żeby przykryć ciała.



- A ty? — spytał Naylor Chaima.
- Nazywam się Wenzler, panie władzo. Easy i ja pracowaliśmy w piwnicy, kiedy usłyszeliśmy krzyk. Pobiegł na górę, a ja za nim i znaleźliśmy biednego pana Towne'a i tę dziewczynę. To okropne.
- Pan Rawlins pracuje dla pana?
- Pracujemy razem. Społecznie, dla kościoła.
- I byliście na dole, kiedy usłyszeliście krzyki?
- Tak.
- A strzały?
- Nie słyszeliśmy żadnych strzałów, tylko krzyki. Słabe krzyki, jakby gdzieś daleko, w jakiejś dziurze.
- Zabierzmy ich, żeby złożyli zeznania, Quint — zdecydował Reedy. — Wezwę więcej ludzi, to ich zabiorą. Wezwę też karetkę i koronera.

### ***Rozdział dwudziesty trzeci***

Od ostatniego razu, kiedy przesłuchiowano mnie na posterunku przy Siedemdziesiątej Siódmej, upłynęło wiele lat. W latach pięćdziesiątych wyglądał starzej, ale zapach pozostał ten sam: kwaśny odór, nie kojarzący się z niczym konkretnym. Nie był to zapach niczego żywego ani martwego, ani jedzenia, ani odchodów. Nie znałem go, ale był jakiś taki niewłaściwy, tak niewłaściwy jak zapach w mieszkaniu Poinsettii.

Ostatnim razem, kiedy mnie zabrali, zostałem aresztowany i zamknięty w pomieszczeniu o surowych ścianach, służącym do przesłuchiwania więźniów. Rytm takich przesłuchań wybijano pięściami i obcasami. Tym razem jednak posadzono mnie za biurkiem naprzeciwko Quintena Naylora. Miał przed sobą biało-niebieski formularz i zadawał pytania.

— Nazwisko?

— Ezekiel Porterhouse Rawlins.

— Data urodzenia?

'— Niech pomyślę... To będzie 3 listopada 1920.

— Wzrost?

— Około metr osiemdziesiąt trzy, może metr osiemdziesiąt pięć.

— Waga?

— Osiemdziesiąt cztery kilo, z wyjątkiem świąt Bożego Narodzenia, kiedy ważę osiemdziesiąt sześć. Zadał mi więcej podobnych pytań, a ja odpowiadałem swobodnie. Nie wiem czemu, ale ufałem

Murzynowi. Kolorowi bracia pobili mnie, obrabowali, strzelali do mnie i źle traktowali częściej niż biali, a mimo to czułem zaufanie do czarnego, zanim biały w ogóle przychodził mi na myśl. Tak to już ze mną jest.

— Dobra, Ezekiel, opowiedz mi wszystko o Poin-settn, wielbnym Townie i o tej kobiecie.

- Wszyscy są martwi, człowieku, martwi jak cisza

— Kto ich zabił?

Mówił jak człowiek wykształcony. Mógłbym mówić tak samo, gdybym chciał, ale nigdy mi się nie podobało, kiedy człowiek porzucał język dzieciństwa. Kiedy zaczynałeś mówić jak biały, groziło ci, że zapomnisz, kim jesteś.

- Nie wiem, człowieku. Poinsettia zabiła się sama, zgadza się?

- Dziś wieczorem dostaniemy raport z sekcji zwłok. Masz może coś do powiedzenia na ten temat?

— Jeszcze tego nie zrobili?

— W tych dniach koroner jest dość zajęty, panie Rawhns. Mieliśmy wypadek autobusowy i pożar w Santa Monica. Do dziś byliśmy tylko w połowie przekonani, że śmierć Poinsettii wymaga dochodzenia. Koroner tkwił po pas w trupach, ale nadchodzi twoja kolej.

- Nic nie kumam, człowieku. Wiem, że pastor i dziewczyna zostali zamordowani, bo widziałem krew. Nie wiem, kto ich zabił i, jeśli dacie mi spokój, nigdy nie chcę wiedzieć. W życiu nie miałem nic wspólnego z żadnymi morderstwami.

— Słyszałem coś innego.

— Jak to?

- Słyszałem, że parę lat temu byłeś zamieszany w kilka morderstw. W wyniku twojego zeznania zamknięto jednego z zabójców.

- Właśnie! A nie mnie. - Wskazałem palcem na własną pierś. - Ktoś zabił, a ja zawiadomiłem władze. Gdybym coś teraz wiedział, powiedziałbym panu natychmiast. Ale siedziałem jak głupi w tej piwnicy,

przesuwałem skrzynie z ubraniami, kiedy usłyszałem krzyk Winony. Pobiegłem na górę na pomoc, ale było jasne, że tym dwojgu już nic nie pomoże. — Myślisz, że zrobiła to Winona?

— Zabij, nie wiem.

— Widziałeś, żeby ktoś się tam kręcił?

— Nie. — Chaim wspominał o Robercie Williamsie, ale ja go nie widziałem.

— Nikogo?

— Widziałem Chaima, a Chaim mnie, to wszystko.

— Gdzie byłeś, zanim przyszedłeś do pracy?

— Jadłem śniadanie z przyjaciółką.

— Kto to taki?

— Ma na imię Shirley.

— A dalej?

— Nie znam jej nazwiska, ale wiem, gdzie mieszka.

— Jak długo byłeś w kościele, zanim zszedłeś do piwnicy?

— Od razu poszedłem na dół.

Więc zaczęliśmy wszystko od początku, a potem jeszcze raz. W pewnym momencie zapytał, czy słyszałem strzały. — Strzały? — Tak — potwierdził burkliwie. — Strzały.

— Zastrzelono ich? — A co myślałeś?

— Człowieku, nie mam pojęcia. Mogli chyba dostać nożem.

W tym momencie oficer Naylor miał dość. Wstał i wyszedł zniesmaczony. Wrócił po kilku minutach i oświadczył, że jestem wolny. Chaima i Winonę zwolniono wiele godzin wcześniej. Policja ich nie podejrzewała. Winona zanadto histeryzowała, żeby ktokolwiek mógł wątpić w jej szczerłość, a co do Chaima — nikt nie wiedział, że jest przedstawicielem Czerwonego Terroru.

Wyszedłem na ulicę, pojechałem autobusem aleją Central do kościoła, a stamtąd samochodem do domu.

Nic nie pasowało; groch z kapustą. Dziwiło mnie, ile spraw się wydarzyło. Ludzie ginęli, ale nie było w tym widać żadnego sensu.

Jakby na dowód realności moich obaw Mouse siedział na mojej bujanej ławce na werandzie, pijąc whisky. Czuć go było na trzy metry.

Zazwyczaj ubierał się elegancko; nosił jedwabie i kaszmir tak jak inni bawełnę. Kobiety ubierały go, a potem pokazywały całemu światu swoją rewelację.

Powiedział mi kiedyś, że pewna kobieta wypruła mu ze spodni kieszenie i wszyła kawałki atłasu, żeby móc go pieścić pod stołem albo w kinie, tak jak w domu.

Jednak człowiek, którego zobaczyłem na swojej werandzie, nie był tym elegantem. Nie golił się od kilku dni; miał ten rodzaj rzadkiego zarostu, który tworzył kozią bródkę. Nosił poplamione ubranie, milczał i był pijany. Nie po jednej nocy picia, ale tak pijany, jak można się uchlać tylko po wielu dniach kirania. — Siemano, Easy.

— Cześć, Mouse.

Usiadłem obok niego i poczułem nagle, że znowu jesteśmy młodzi, jak gdybyśmy nigdy nie opuszczali Teksasu. Sądzę, że za tym właśnie tęskniłem: za prostym życiem.

— Nie mam spluwy, człowieku — oznajmił Mouse.

— Nie?

— Nieee.

— Czemu?

— Mógłbym kogoś zabić, Easy. Kogoś, kogo nie chcę zabić.

— Co z tobą, Ray? Jesteś chory?

Zachichotał, garbiąc się do przodu, jakby miał jakiś atak.

— Tak, chory. Śmiertelnie chory od całego tego bólu.

— Co to za ból?

Popatrzył mi w oczy stalowoszarym wzrokiem.

— Widziałeś mojego chłopca?

— Tak. Kiedy Etta przyjechała, był razem z nią.

— To piękny chłopak, co? Przytaknąłem.

— Ma długi język i duże stopy. Cholera, to wszystko czego ci trzeba na tym świecie, wszystko czego ci trzeba.

Zamilkł, więc powiedziałem:

— To wspaniały chłopak, silny i sprytny.

— To diabeł wcielony — szepnął Mouse do swojego lewego ramienia.

— Co takiego?

— Szatan, piekielny anioł zła. Kiedy podnosi brwi, widzisz, że są jak rogi.

— LaMarque to psotnik, ale nie jest zły, Raymond.

— Szatan z piekła rodem. Czarne koty i przekleństwa voodoo. Pamiętasz Mamę Jo?

— Tak.

Nigdy jej nie zapomnę.

Mouse zrobił mnie raz, żebym zawiózł go kradzionym samochodem do Pariah, małego teksaskiego miasteczka nad zalewem. Dopiero co skończyliśmy dwadzieścia lat, ale prawdziwa natura Mouse'a zdążyła się już w pełni rozwinąć. Chciał spadku obiecane mu przez matkę przed śmiercią. Miał się ożenić z EttąMae i oświadczył:

— Dostanę te pieniądze albo tata Reese zginie. — Reese był jego ojczymem.

Zanim jednak znaleźliśmy się w Pariah, Mouse kazał mi pojechać w pewne miejsce na bagnach. Stał tam dom, otoczony ze wszystkich stron gruszami jak kolumny. Mieszkała w nim czarownica imieniem Mama Jo. Miała dwa metry wzrostu i żyła samotnie poza prawami rządzącymi światem zwykłych ludzi. Miała o dwadzieścia lat więcej niż ja, a ja niewiele ponad dwadzieścia. Zostaliśmy u niej na noc, a Mama Jo rzuciła na mnie zaklęcie. Mouse snuł plany morderstwa, a Mama Jo miała mnie u stóp. Wrzeszcząc, wyznawałem

jej miłość, odchodziłem od zmysłów. Zapamiętałem zapach jej oddechu: słodkie chili, czosnek, gorzkie wino i stęchły tytoń.

— Zawsze mi powtarzała, że czasem zło spada na ciebie, kiedy żyjesz niewłaściwie. Jeśli nie zapłacisz za to, co zrobiłeś, zło powraca w twoich dzieciach.

— LaMarque nie jest taki, Ray.

— Skąd wiesz? — krzyknął, prostując się wojowniczo. — Widziałem jego wzrok, Easy. Ten chłopak powiedział mi, że mnie nienawidzi. Sam mi powiedział, że życzy mi śmierci. Powiedz, czy dobry syn mówi ojcu takie rzeczy?

Myślałem o Etcie. Staralem się odkryć sposób, w jaki mógłbym pozostać jej kochankiem i przyjacielem Mouse'a.

— On nie czuje do ciebie nienawiści, Ray. To tylko mały chłopiec. Jest wściekły, że ty i Etta nie możecie być razem.

— Diabeł z piekła rodem — powtórzył. — Zrobiłem co do ojca należało, Easy. Wiesz, własnego ojca nigdy nie widziałem na oczy, a Reese'a zabiłem.

Mimo że próbowałem go powstrzymać, Mouse zabił w końcu ojczyma.

— Tak, zabiłem go na amen. Ale wiesz dobrze, że on i jego syn Navrochet obrobili mnie na czysto, a potem się z tego śmiali.

Zabił też przyrodniego brata, Navrocheta.

— LaMarque nie myśli o tobie w ten sposób, Ray — zapewniłem go.

— O tak, właśnie tak myśli. A wiesz, człowieku, że nie dałem mu powodu. Kochałem tego chłopca i byłem dla niego dobry. — Łzy płynęły mu po twarzy. — Wiesz, czasami zabierałem go ze sobą do burdelu Zeldy. Dziwki uwielbiają, kiedy przychodzisz do nich z synkiem. Szczebioczą nad nim, dają mu czekoladki. Uczyłem go grać w karty i tańczyć. Ale widzisz, zaczął się robić nieśmiały, przestraszony i w ogóle. Narobił mi wstydu przed samą Zeldą. Wiesz, zawsze chciał chodzić

razem ze mną do łazienki. Patrzył na Pana Fiuta, jakby nigdy nie widział czegoś tak dużego. Potem, po ostatniej wizycie u Zeldy, oświadczył, że nie chce nigdzie ze mną chodzić. Nie chciał się nawet do mnie odzywać, a kiedy go zmuszałem, wydzierał się jak upiór na środku ulicy. Tak, jakbym był złym człowiekiem, takim jak Reese.

Zanim Mouse posłał Reese'a do piachu, stary farmer ścigał nas po bagnach. Raymond zabił jednego z jego psów myśliwskich, ale zostały jeszcze dwa, które tropiły nas wśród drzew. Wreszcie je zgubiliśmy, ale zapadła noc i musieliśmy ją spędzić w lesie. Miałem grypę; Mouse otulił mnie sobą jak kocica i ogrzewał do rana. Umarłbym pewnie, gdyby się mną nie zaopiekował.

Wyciągnąłem rękę i trzymałem go za ramiona, a Mouse płakał. Płakał głośno i żenująco, ale nie puszczałem.

— Przykro mi, Raymond — powiedziałem, kiedy przestał. Spojrzał na mnie czerwonymi oczami; ciekło mu z nosa.

— Kocham tego chłopca, Easy.

— On też cię kocha, człowieku. To twój syn, twoja krew. Kocha cię.

— To czemu się tak zachowuje?

— Jest tylko małym chłopcem. Kręciłeś się przy tych wszystkich bandziorach, więc w końcu mały przestraszył się i chciał uciec. Nie mógł tego znieść.

— Czemu mi nie powiedział? Zabrałbym go na ryby.

— On pewnie nie wie, człowieku. Dzieci tak naprawdę nie myślą i obchodzi je tylko, co jest przyjemne, a co nie.

Mouse poruszył się i wlepił we mnie wzrok, jakbym właśnie wyciągnął z ucha królika. Widziałem zachodzącą w nim zmianę. Wyprostował się trochę, oczy mu pojaśniały.

— Może wejdiesz — zaprosiłem go. — Weźmiesz prysznic i wyśpisz się jak należy. Porozmawiam z La-Markiem, kiedy tylko ich odwiedzę.



Zadzwońnię, kiedy Mouse brał prysznic.

— Jak się mają sprawy, panie Rawlins? — spytał agent specjalny Craxton.

— Pastor i jego dziewczyna zostali zamordowani.

— Co?

Opowiedziałem mu. Zadawał rozmaite pytania dotyczące pokoju, w którym ich znaleźiono.

— Wygląda to na robotę zawodowca — stwierdził wreszcie.

— Może po prostu ktoś celnie strzelił.

— Więc czemu niczego nie przesunięto? Czemu nie było żadnego bałaganu?

— Obciągała mu, człowieku, może nakrył ich jej mąż. Może to Winona, która uważała, że Towne należy do niej.

— Może. Niech pan posłucha. Zbadam tę sprawę, a tymczasem niech się pan dowie wszystkiego o pastora. Z kim się spotykał, jakie miał powiązania polityczne.

— Dobra — zgodziłem się, bo Craxton był szefem. Raymond wyszedł spod prysznic z ręcznikiem wokół pasa i uśmiechem na twarzy.

— Lepiej wyglądasz — zauważyłem.

— A ty wyglądasz, jakbyś połknął zabę. Co jest nie tak, Easy?

— Równie dobrze mógłbyś spytać, co jest tak.

— Porozmawiasz z LaMarkiem?

— Przy najbliższej okazji.

Zaśmiał się jak mały chłopiec, młodszy nawet niż jego syn.

— No to powiedz mi, co jest nie tak.

— Jestem winien forszę pewnemu facetowi, który trzyma łapę na aktach własności moich domów.

Chce, żebym dowiedział się czegoś o ludziach, którzy pracują w Pierwszym Afrykańskim.

Okłamałem go, bo obawiałem się, że kiedy powiem mu prawdę, wyświadczy mi ten rodzaj przysługi, jaki funkcjonuje w Luizjanie. Na przykład spali urząd podatkowy z papierami i całą resztą.

- Tak?

- A teraz ktoś zabił pastora Towne'a i jego dziewczynę. Byłem w kościele, kiedy się to stało. Inny facet, pracujący dla firmy tego pierwszego, ma chrapkę na moje domy. Dziewczyna, która mieszkała w jednym z nich, powiesiła się, bo chciałem ją wyrzucić. Albo została zamordowana.

- Easy, pogadaj z LaMarkiem, a ja zabiję tych ludzi.

- Nie, stary. Oni pracują dla dużych firm. Wiesz, przytniesz jednego, a jego miejsce zajmuje dwóch innych.

- Biali?

- Tak.

- Zastanów się, stary. Kiedy będziesz czegoś potrzebował, po prostu do mnie przekreć.

Ubrał się w łazience i wkrótce wyszedł. Spieszył się, bo wszystkie dobre ciuchy miał u Dupree, a znowu był gotów się odstawić.

Po wyjściu Mouse'a położyłem się do łóżka i zbyt szybko wypilem trzy szklanki whisky. Urwał mi się film, kiedy myślałem, że powinienem zadzwonić do EttyMae.

### ***Rozdział dwudziesty czwarty***

Gruby pielęgniarz z pogotowia stał niezdarnie na wysokim, kuchennym taborecie z nożem rzeźnickim w dłoń. Piłował sznur, na którym wisiała Poinsettia. Rozległ się głośny dźwięk, jakby dwóch ludzi piłowało drzewo. Wreszcie upadła na podłogę; martwy ciężar uderzył z potworną siłą. Ciało Poinsettii tak rozmiękło, że oderwała się głowa i ręka. Najgorszy był jednak łomot, z jakim upadła. Deski podłogowe zagrzechotały, 'N zatrzęsły się ściany. Cały dom dygotał jak podczas trzęsienia ziemi. Obudziłem się o świcie. Niebo za oknem w kuchni miało tę barwę jasnego błękitu charakterystyczną dla wczesnych godzin; łomotanie jednak nie ustało. Przez chwilę myślałem, że to naprawdę trzęsienie ziemi, a potem zrozumiałem, że ktoś puka do drzwi.

Kiedy usłyszałem: - Policja! - pomyślałem, że wolałbym już prawdziwą katastrofę.

- Chwileczkę! - odkrzyknąłem. Naciągnąłem jakieś gacie, koszulkę z krótkimi rękawami, wsunąłem stopy w wytarte kapcie.

Kiedy otworzyłem drzwi, Naylor i Reedy chwycili mnie za ręce.

- Jest pan aresztowany - powiadomił mnie Naylor, po czym obrócił mnie i założył kajdanki.

Nie byłem zdziwiony, toteż nic nie powiedziałem. Nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś zaprowadził mnie za dom i strzelił mi w łeb. Nic nie mogłem na to poradzić,

więc tylko zwiesiłem głowę w nadziei, że uda mi się jakoś z tego wyjść.

Na razie nic na to nie wskazywało: zawieźli mnie na posterunek przy Siedemdziesiątej Siódmej i zamknęli w małym pokoju, nie zdejmując kajdanek. Po pewnym czasie przysłali mi do towarzystwa grubego policjanta o czerwonej twarzy: oficer Fine.

— Czy jestem aresztowany? — spytałem. Pokazał mi gębę pełną zepsutych zębów.

— Skoro tak, przysługuje mi rozmowa telefoniczna, prawda?

Nie udało mi się go nawet rozśmieszyć.

Po krótkiej chwili wszedł Reedy i poprosił grubego, żeby usiadł na korytarzu. Spojrzał na mnie smutnymi, zielonymi oczami i zapytał:

— Czy chce się pan przyznać, panie Rawlins?

— Chcę tylko do kogoś zadzwonić.

Wszedł Naylor. Usiedli na krzesłach z obu stron.

— Nie mam wiele cierpliwości do morderców, panie Rawlins, zwłaszcza do tych, którzy zabili kobietę, Murzynkę — oświadczył Naylor. — Dlatego chcę wiedzieć, co się stało, albo Reedy i ja idziemy na kawę, a pytania będzie zadawał Fine.

— Zachowujesz się jak prawdziwy biały, bracie. — Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

Wymierzył mi policzek, niezbyt mocny. Odnosiłem wrażenie, że Quinten Naylor chce mi oszczędzić prawdziwego lania.

— Pójść po Fine'a? — spytał Reedy, tłumiąc ziewnięcie.

— Kto zabił pastora i dziewczynę? — spytał Naylor.

— Nie wiem, człowieku, nie wiem.

— Kto zabił Poinsettię Jackson?

— Sama się zabiła, nie? Spojrzeli na mnie twardo.

— Znalazłem ją tam powieszoną, tak, powieszoną. Nikogo nie zabiłem.

— Ktoś ją uderzył w głowę, Easy. Uderzył ją,

a kiedy straciła przytomność, powiesił na kablu od żarówki - mówił Naylor. - Potem przewrócił krzesło, żeby upozorować samobójstwo, ale przewrócił je za daleko i w ten sposób się zdradził. Została zamordowana, Easy. Czy wiesz, kto mógłby coś takiego zrobić?

Filadelfia! Pojąłem to w nagłym olśnieniu. Quinten był wschodnim Murzynem z Filadelfii, mogłem się założyć.

- Panie Rawlins - ponaglił mnie Reedy.

— Skąd mam wiedzieć?

— Może zna pan kogoś, kto miał motyw, powód? - ciągnął Reedy. Naylor rozparł się na krześle i patrzył.

- Czemu ktoś miałby zabijać chorą dziewczynę?

- Może po to, żeby pozbyć się jej z mieszkania.

- Skąd mam to wiedzieć? Czemu nie spyta pan właściciela?

- Właśnie pytam - odparł Reedy, patrząc mi w oczy.

Wyobraziłem sobie, że płynę tratwą po wzburzonym morzu. Policjanci byli rekinami pędzącymi za moją krypą. Jeszcze byłem bezpieczny, ale powoli szedłem pod wodę.

— Chcę adwokata, chcę zadzwonić.

— Czemu nas oszukałeś, człowieku? — spytał Naylor. Sprawiał wrażenie zakłopotanego, jakby moja mała sztuczka nadszarpnęła mu reputację na posterunku.

— Dajcie mi telefon, dobrze?

— Damy ci oficera Fine'a — odparł Reedy.

- No to dajcie tu tego skurwiela - odezwał się głos w mojej głowie. - Niech popłynie trochę krwi.

Nic nie powiedziałem, tylko patrzyłem wyzywająco na gliniarzy. Potrafiłem brać lanie. Zanim ojciec na dobre odszedł, brał mnie często na tyły domu. Pamiętam chwile, w dzieciństwie, kiedy brakowało mi jego różgi.

- Cholera! - zaklął Reedy i wyszedł. Jego miejsce przy drzwiach zajął Fine.

Naylor nachylił się do mnie mówiąc:

— To się może dla ciebie źle skończyć, Ezekielu. Nie będę w stanie cię chronić, jeśli nie zaczniesz współpracować. — Daruj sobie te pierduły, człowieku. Jesteś jednym z nich. Ubierasz się jak oni i mówisz jak oni. — Naylor, detektyw Reedy prosi pana na korytarz

— powiedział niemal grzecznie Fine.

— Pozwól mi zadzwonić do jednej czy dwóch osób

— syknąłem do Naylora. — Jeśli chcesz mnie uratować, daj mi jakieś prawa.

Wstrzymałem oddech, kiedy czarny gliniarz myślał. Fine zabiłby mnie z przyjemnością; przekonywał mnie o tym jego zapach.

— Chodź — powiedział w końcu Naylor.

— Hej, co... — zaczął Fine, ale Quinten stawił mu czoło, a Quinten Naylor wyglądał jak mur z cegieł.

— Chce zadzwonić, ma takie prawo — oświadczył. Rozpiął mi kajdanki i poprowadził korytarzem do niewielkiej salki przedzielonej trzema szybami z matowego szkła. Każda miała około metra osiemdziesiąt centymetrów wysokości. Na drewnianym stołku stał telefon.

— Tutaj — wskazał Naylor, po czym cofnął się, aby dać mi nieco prywatności. Nadeszli Reedy i Fine; wszyscy trzej zaczęli się targować. Byłem padłym jeleniem, a ci trzej sępami.

Wykręciłem numer biura Mofassa. Żadnej odpowiedzi.

Wykręciłem numer domu, gdzie mieszkał. Po trzecim sygnale usłyszałem głos Hildy Bark, córki właściciela. — Tak?

— Czy jest Mofass?

— Wyjechał.

— Dokąd wyjechał?

— Wyjechał. Nie rozumiesz po angielsku? — zbesztala mnie tak, jak pewnie besztala ją matka. — Wyniósł się.

— To znaczy, że się wyprowadził?

— Mhm — mruknęła i odłożyła słuchawkę. Trzech policjantów nadal targowało się o moje kości, więc szybko zadzwoniłem do Craxtona.

— FBI — poinformował mnie jasny, męski głos.

— Tak, tak, wiem. Czy mogę mówić z agentem Craxtonem?

— Agent Craxton jest dziś w akcji. Wróci jutro. Czy chciałby pan zostawić wiadomość?

— Czy zadzwoni?

— Trudno powiedzieć, proszę pana. Agent Craxton zajmuje się działaniami operacyjnymi. Udaje się tam, dokąd chce i dzwoni, kiedy ma ochotę.

— Proszę mu powiedzieć, że Ezekiel Rawlins dzwonił z posterunku policji przy Siedemdziesiątej Siódmej ulicy. Niech pan mu powie, że natychmiast muszę się z nim tu zobaczyć.

— Jaki jest charakter pańskiej sprawy?

— Po prostu przekaż mu to, człowieku. On też się rozłączył.

Następnie zadzwoniłem do Pierwszej Afrykańskiej Szkoły Diennej. Czekałem, aż ktoś się zgłosi, kiedy Fine złapał mnie za ramię.

— Nikogo nie było w domu — wyjaśniłem.

— Dobra. — Uśmiechnął się. Miał zamiar poczekać, aż skończę tę rozmowę, a potem sprawdzić, jak głośno potrafię krzyczeć.

— Halo? — Usłyszałem nieznanego głosu.

— Czy mogę mówić z Odellem Jonesem? Czekałem długo, aż wreszcie podszedł.

— Tak? — Odell?

— Easy?

— Człowieku, mam kłopoty.

— Taki się urodziłeś. Bez przerwy masz kłopoty, a razem z tobą wszyscy, którzy się znajdują w pobliżu.

— Zamknęli mnie do więzienia, Odell.

— Tam jest miejsce kryminalistów, Easy — podniósł nawet głos!

- Słuchaj, człowieku, nie miałem nic wspólnego z Towne'em. To nie byłem ja, naprawdę nie ja
  - Jeśli to nie ty, powiedz mi jedno: gdybyś nie zaczął przychodzić do kościoła, czy on by teraz nie żył? To było dobre pytanie, na które nie miałem odpowiedzi.
  - Więc czego chcesz? - spytał grzecznie.
  - Wyciągnij mnie stąd, człowieku.
  - Jak mam to zrobić? Nie mam pieniędzy, mam tylko Boga.
  - Odell - błagałem. .
  - Zadzwoń do kogoś innego, Easy. Ta studnia wyschła.
- Trzy puknięcia i Fine ujął mnie za ramię.
- Kończę służbę, panie Rawlins - oznajmił Quinten Naylor. - Przesłuchanie poprowadzi oficer Fine.



## ***Rozdział dwudziesty piąty***

**Oficer** Fine był człowiekiem cierpliwym. Cierpliwym i delikatnym. Razem ze swoim współnikiem rekrutem imieniem Gabor, wprowadzili mnie w kilka małych sekretów; na przykład, jak bardzo można wykręcić rękę, zanim się złamie.

- Najważniejsze to się nie śpieszyć - powiedział Mne do nikogo w szczególności, po czym wykręcił mi prawą rękę ku tyłowi głowy. - Mógłbym mu wsadzić te paluchy nad głową do gęby, a on by je pewnie odgryzł, żeby przestało boleć.

Nie poddawaj się, Easy! - krzyknął głos w mojej głowie

- Dlaczego ją zabiłeś? - spytał Gabor. Chciałem go uderzyć, ale nogi i lewą dłoń miałem przykute do krzesła.

Bawiliśmy się tak przez ponad godzinę. Policzkowali mnie, kopali, bili zwiniętą gazetą i wykręcali jak ścierkę

Kiedy wykręcali mi rękę, wykrzywiłem się i poczułem, jak na policzku pęka mi zaschnięta krew. To mnie prawie złamało. Byłem prawie gotów się przyznać, przyznać do wszystkiego, czego by zażądali, ale głos w mojej głowie nie przestawał krzyczeć

Otworzyły się drzwi i wszedł wysoki, siwy mężczyzna. Byłem wdzięczny za przerwę, ale kiedy Fine mnie puścił, poczułem jakby wyrwano mi rękę ze stawu

Zawyłem z bólu i upokorzenia; popatrzyłem na parę czarnych, lśniących butów.

— Panie kapitanie — usłyszałem głos Gabora. Wtedy ujrzałem drugą parę butów, jasnych jak polerowany onyks.

— Czy to nazywasz przesłuchaniem, John? — spytał agent specjalny Craxton.

— To trudna sprawa, hm, agencie Craxton — tłumaczył się siwy. A potem rzucił do Fine'a: — Obecny tu agent Craxton jest z ramienia FBI. Pan Rawlins jest mu potrzebny do pewnej sprawy, nad którą pracuje.

— A co z morderstwami? — domagał się Fine.

— Uwolnij go i przeproś albo wyrwę ci kutasa i wepchnę do gardła — polecił Craxton prawie słodko. Fine nie miał na to ochoty. Uniósł pięści na wysokość piersi i ruszył do przodu, ale wycofał się, napotkawszy wzrok Craxtona. Rozpiął mi kajdanki, lecz nie przeprosił; zachowywał się buntowniczo, jak dziecko obrażone na ojca.

Craxton<sup>^</sup> tylko się uśmiechnął. Przerwy między zębami upodobiały go do aligatora, który przybrał postać ludzką.

— John, prześlij mi akta tego oficera.

— Przeproś, Charlie — doradził kapitan John. Gruby gliniarz, który zadał mi tyle bólu, powiedział:

— Przepraszam.

Mimo że byłem taki obolały, zabrzmiało to słodko. Jego upokorzenie smakowało jak pyszne, zimne lody na gorącej szarlotce.

Otarłem z twarzy zaschniętą krew.

— Jebał cię pies — powiedziałem do Fine'a. — Jebał cię pies w te i nazad.

Nie było to mądre, ale nigdy nie wyobrażałem sobie, że dożyję sędziwego wieku.

Agent Craxton przyprowadził dwóch facetów wyglądających na prawdziwych pracowników FBI.

Mieli ciemne garnitury i krawaty, białe koszule i kapelusze z krótkim rondem. Do tego czarne buty, białe skarpetki

i wybrzuszenie po lewej stronie luźnych płaszczy. Byli gładko wygoleni i milczeli jak głazy.

Tych samych ludzi widziałem pod domem Shirley.

Bliźniacy usiedli z przodu czarnego Pontiaca, Crax-ton i ja z tyłu. Ruszyliśmy ulicami, skręcając mniej więcej co trzy przecznice. Nie sądzę, żeby istniał cel naszej podróży.

— Oni myślą, że ich wszystkich zabiłeś, Easy. Dziewczynę w twoim domu i pastora.

— Tak, wiem.

— Zrobiłeś to?

— Zrobiłem co?

— Czy zabiłeś swoją lokatorkę?

— Po co? Po co miałbym ją zabijać?

— To ty mi powiedz. Była twoją lokatorką, nie płaciła czynszu.

— Nie mam nic do powiedzenia. Znalazłem Poin-settię martwą, tak jak pastora. Po prostu pech.

— Mimo to mogę zrozumieć, dlaczego cię podejrzewają. Gdybym sam nie posłał cię do tego kościoła, też uważałbym to za dziwne.

— Tak, takie dziwne sprawy się zdarzają. Widziałem w życiu rzeczy, w które by pan nie uwierzył.

— Ktoś ma pana na oku, panie Rawlins. Ktoś wie, że pracuje pan dla nas.

— Czemu pan tak myśli?

— Ponieważ to morderstwo w kościele było robotą zawodowca. Albo kogoś wynajęli, albo zrobił to któryś z Rosjan, własnoręcznie.

— To znaczy zabił ich? Dlaczego ktokolwiek miałby zabijać Towne'a?

— Wielebny musiał być w to zamieszany. Sądzili, że zabijając go, zatrą ślady.

— Czemu po prostu nie zabili mnie?

— Oni wyrywają chwasty razem z korzeniami. Mógł być ich beniaminkiem, ale załatwili go, kiedy pojawiło się podejrzenie, że nie dochowa tajemnicy.

Postanowiłem zaryzykować.

- Człowieku, musi być coś, o czym mi nie mówisz.
  - Dlaczego tak sądzisz?
  - Kręciłem się przy Wenzlerze przez kilka dni i nie zauważyłem, żeby brał udział w czymś dużym. No więc zacząłem się zastanawiać, dlaczego chce mnie pan uchronić od procesu tylko po to, żebym śledził jakiegoś dobrego związkowca. Na dodatek, ginie teraz pastor, a pan jest przekonany, że to ma związek z całą sprawą. Tak jak powiedziałem: coś tu się nie zgadza.
- Craxton oparł się o okno i zaczął wodzić po szczęce owłosionym palcem wskazującym. Zaczął od środka podbródka i posuwał się po lewej stronie twarzy. Wraz z ruchem palca pojawiał się uśmiech. Kiedy doszedł do ucha, uśmiechał się już szeroko.
- Spryciarz z ciebie, co Rawlins?
  - Tak. Jestem taki sprytny, że siedzę tu z panem i martwię się o swoją wolność, pieniądze i życie. Gdybym był mądrzejszy, nie musiałbym nawet oddychać.
  - Wenzler coś ma — oświadczył Craxton.
  - Tak? Co takiego?
  - Naprawdę nie musisz tego wiedzieć, Easy. Wystarczy jeśli się dowiesz, że gramy o wysoką stawkę. Gramy o życie.
  - Chce pan powiedzieć, że mogę zginąć?
  - Tak jest.
  - To czemu, do kurwy nędzy, wcześniej mi pan nie powiedział? - Jeden z robotów siedzących z przodu przekrzywił nieco głowę. Ale się tym nie przejąłem. - Pozwala mi pan łązić, jakby wszystko szło zgodnie z planem, podczas gdy jacyś ludzie chcą mnie wykończyć.
- Craxton nie martwił się moim losem.
- Chcesz iść do więzienia, Easy? Powiedz tylko słowo, a oddamy cię inspektorowi Lawrence'owi.
  - Niech pan posłucha — powiedziałem. — Jeśli chce pan wiedzieć, co takiego ma Wenzler, czemu go nie zgarniecie?

- Zrobiliśmy to, Easy. Aresztowaliśmy go i przesłuchaliśmy, ale nic nam to nie dało. Nie mamy dowodu. Ani odrobiny dowodu. Nie mogę ci powiedzieć, co on ma, ale to coś ważnego. Mogę ci tylko powiedzieć, że Ameryka by ucierpiała, gdyby wymknęło się nam to z rąk.

- Więc nie dowiem się, czego mam szukać?

- Lepiej, żebyś nie wiedział, Easy. Uwierz mi, lepiej dla ciebie.

- Dobra, więc niech pan mi powie, czy to ma jakikolwiek związek z Andre Lavenderem?

- Mogę ci powiedzieć, że jeśli wiesz, gdzie jest Lavender, powinieneś nam powiedzieć. Tu nie chodzi o jakieś zawody, Easy, tu idzie o twój kraj.

- Więc mam być czyimś żywym celem, tylko dlatego, że pan tak chce?

- W każdej chwili możesz się wycofać.

Wiedział, jakie jest prawdopodobieństwo, że to zrobię.

- Więc chce pan, żebym nadal miał oko na Wenz-lera?

- Tak jest. Teraz już wiesz, że i Towne był w to zamieszany. Znaliśmy jego związki z ruchem antywojennym. Możesz zacząć od kontaktów Towne'a z Wenzlerem. Z tego, co wiemy, wynika, że to Wenzler go zabił.

Chaim zabijał ludzi w Polsce. Wojna nie skończyła się aż tak dawno, żeby dobry żołnierz miał zapomnieć swego fachu.

- A co z Poinsettią? Myśli pan, że zabili ją Rosjanie?

Spojrzał na mnie twardo.

- To ty mogłeś ją zabić. Ty albo ktoś inny. Nie wiem i mnie to nie obchodzi, ponieważ nie należy do mojej sprawy.

- Niech mi pan wierzy, że tych gliniarzy to obchodzi.

Craxton poruszył się i wyjrzał przez okno.

— Po zakończeniu całej sprawy powiem ci, po co byłeś w kościele — rzekł, przysuwając się do szyby tak blisko, że para przyćmiła jego i tak już niewyraźne odbicie. — Powiem im, że jesteś bohaterem. Jeśli nie będą mieli żadnych namacalnych dowodów na to, że zabiłeś tę dziewczynę... — Przygarbił się, odwrócił wzrok od okna i spojrzał na mnie. Poczulem strużkę krwi spływającą po twarzy.

— Tkwiłeś kiedyś po szyję w zimnym bagnie, Ezekielu?

— Więcej razy, niż chciałbym pamiętać.

— Marzniesz, jesteś samotny, ale tym słodszy jest potem powrót do domu.

Nie powiedziałem nic, chociaż mogłem powiedzieć: — Amen.

— Tak — ciągnął — ból czyni małych, przestraszonych chłopców mężczyznami.

Tuż nad miastem pełzła duża, czerwona kula słońca. Podbrzusza chmur nad naszymi głowami zwisały czarno jak stalaktyty w jaskini. Ponad chmurami niebo było jednak jasnopomarańczowe i tak ciepłe, że niemal religijne. Słyszałem prawie dźwięk organów.

— Tak, Ezekielu, mamy do wykonania robotę, która może się okazać bolesna.

Nie byłem w stanie zgiąć małego palca bez kurczu w całej ręce, ale spytałem:

— Jak to?

— Musimy dostać Wenzlera. Jest twardy, a ludzie, z którymi przestaje, są jeszcze gorsi. Wiem, że ryzykujesz, ale inaczej nie możemy tego przeprowadzić.

— Co będzie, jeśli zrobię to wszystko, a pan powie, że niczego nie znalazłem?

— Jeśli nie dostanę tego, o co mi chodzi, moja praca nie będzie warta złamanego centa, panie Rawlins.

Jeśli nie rozwiążę tej sprawy, obaj utkniemy po szyję w gównie.

— A jeśli ją pan rozwiąże?

— Wtedy ci pomogę, Easy. Wóz albo przewóz.

— Mam pańskie słowo, panie Craxton.

— Do domu? — spytał zamiast odpowiedzi.

— Tak.

Po drodze opowiadał o tym, jak kupi bonitę, pokroi na kawałki, sparzy, a potem zamarynuje w occie i sosie sojowym. Nauczył się tego podczas służby w Japonii.

— Żółtki znajdują się na przyrządzaniu ryb — stwierdził.

## ***Rozdział dwudziesty szósty***

— *O* czym myślisz, Easy? - spytała Etta. Leżeliśmy w jej łóżku. Założyłem ręce pod głowę, a ona gładziła palcami moją erekcję pod kołdrą. Czułem się dziwnie; jedno z tych bezsensownych uczuć. Moje ciało było podniecone, ale umysł zupełnie spokojnie rozważał kolejne posunięcie. Gdyby Etta nie przesuwała w ten sposób palcami, nerwy uniemożliwiałyby mi jakiegokolwiek myślenie. Przyszedłem do niej wieczorem po tym, jak położyła LaMarque'a spać. Wykąpała mnie, a potem ją kochałem, znowu i znowu, aż prawie nastał świt. Nie sądzę, żebym sprawiał jej wielką przyjemność, z wyjątkiem przyjemności pomagania mi w uśmierzeniu bólu i lęku.

— O tych ludziach. O tym, że już nie żyją, a mimo to wciąż muszę się nimi przejmować. To właśnie odróżnia nas od zwierząt.

— Co takiego? — szepnęła, ściskając mnie jednocześnie.

— Kiedy pies znajduje coś martwego, okrąża to parę razy i rusza dalej na polowanie. Ale kiedy ja znajduję martwego człowieka, jest tak, jakby on żył, chodził za mną wszędzie i wytykał palcem.

— Co masz zamiar zrobić, kochanie?

— FBI sądzi, że wielebny Towne był w coś zamieszany. Myślą, że miał kontakty z komunistami.

— Co to są komuniści?



- Och, jak miło... Żyd, dla którego' pracuję, jest komunistą.
- Co mają wspólnego z Towne'em? Uniosła się nieco na łożku.
- Połóż rękę, Etta, połóż ją tam, gdzie przedtem. Uśmiechnęła się i przytuliła do mojej piersi.
- Dlatego właśnie rząd wyciągnął mnie z więzienia. Chcą dostać tego Żyda — powiedziałem, znowu z jasnym umysłem.
- No więc? Niech to zrobią. Nie musisz odwalać za nich roboty.
- Tak — odparłem. Potem wyciągnąłem się z uśmiechem. Ile przyjemności mogło następować po bólu.
- Mofass zniknął — powiedziałem po chwili.
- Gdzie?
- Nikt nie wie.
- Nie ma go w domu?
- Mm. Zostawił w biurze jakąś bzdurną kartkę. Że zachorowała mu matka w Nowym Orleanie i jedzie się nią opiekować. Zlikwidował też mieszkanie, które wynajmował. Dziwne.
- Nie ma w tym nic złego.
- Chyba nie. Ale to niepodobne do Mofassa, wynieść się bez słowa.
- Ludzie zmieniają się, kiedy w grę wchodzi rodzina.
- Ale właśnie o to idzie. Mofass nigdy nie lubił matki.
- Nigdy nie można mieć pewności, Easy. Krew to nie woda.
- Wiedziałem, że ma rację. Kochałem ojca nad życie, mimo że mnie opuścił, kiedy miałem osiem lat.
- Ale wiesz, to śmieszne — powiedziała Etta.
- Co?
- Kojarzysz chłopaka, który próbował cię pobić po mszy?
- Willie Sacks?
- Mhm. Przyszła tu dziś jego matka, Paulette.

- Po co?
  - Poprosiłam ją, żeby przyszła, bo chciałam jej opowiedzieć, jak Willie cię napadł, ale ona już wiedziała. Powiedziała, że Willie zrobił się zły po tym, jak poznał Poinsettię.
  - Jak to „zły”?
  - Wodziła go za nos, wydawał na nią wszystkie pieniądze. Dawniej Willie przynosił pieniądze do domu. Nie ma ojca i Paulette opłacała czynsz z pensji syna.
  - Chłopcy dorastają, Etta. LaMarque zrobi to samo, kiedy znajdzie taką dziewczynę. - Dotknąłem jej dłoni.
  - Ale Willie nigdy dosyć nie zarabiał. Mofass też płacił za Poinsettię.
  - Co?
  - Mofass opłacał jej czynsz przez ostatni rok. Poinsettia opowiedziała o tym Williemu. Mówiła, że Mofass czasem ją gdzieś zabierał, ale nigdy nie posunęli się dalej niż pocałunek.
  - Poważnie? - Nigdy nie sądziłem, że Mofass ugania się za panienkami.
  - Ale powiedziała też, że Mofass kazał jej, spotykać się czasem z innymi mężczyznami.
  - To znaczy, że był jej alfonssem?
  - Nie wiem, Easy. Wiem tylko, co mówiła Paulette. Dowiedziała się tego od syna, a on od Poinsettii. Willie zerwał z nią, kiedy odkrył prawdę, tak przynajmniej sądziła Paulette. Jednak po wypadku Poinsettia znowu zaczęła wydzwaniać. Może to Mofass coś jej zrobił.
  - Nie wiem, ale nie rozumiem: co takiego mogła na niego mieć, żeby chciał ją krzywdzić?
  - Dowiesz się.
  - Czemu tak myślisz?
  - Po prostu wiem, to wszystko. Jesteś mądry, a poza tym masz dobre serce.
  - Tak?
  - Mhm.
- Odrzuciłem koce tak, że mogłem patrzeć na pracę jej zręcznych rąk. Ona też patrzyła.

— Chcę jeszcze, kochany — powiedziała głośno i odważnie, jakby zwracała się do publiczności.

Wiedziałem, że to nieprawda, ale spytałem:

— Poważnie?

— Tak — mruknęła mi na ucho.

— Gdzie?

Pokazała mi drogę. Znowu zmieniłem się w parzącego się wieprza, który przez ruję chce uciec od niebezpieczeństwa.

Obudziłem się gwałtownie. Gdzieś w mieszkaniu rozlegał się dźwięk. Najpierw pomyślałem, że Mouse stoi w drugim pokoju z rewolwerem w dłoni, ale w tym samym momencie spojrzałem na EttęMae. Popatrzyłem na nią czując, jak bardzo jestem wyczerpany; zrozumiałem, że pragnę jej nie tylko z powodu seksu. Było to coś nowego, bo zazwyczaj wszystko się dla mnie na seksie zaczynało i na seksie kończyło. Pragnąłem jej z jednakowym żarem, nawet kiedy byłem wyczerpany.

Wykradłem się z łóżka i wślizgnąłem w spodnie. Ani z zewnątrz, ani z sąsiedniego pokoju nie dochodziło światło. Uchyliłem drzwi i zobaczyłem go w salonie. Siedział, kołysał głową w tył i w przód, kopiąc nogą w kanapę.

— LaMarque!

— Cześć, wujku Easy! — odparł, oglądając się na mnie.

— Co ty wyprawiasz?

— Śpisz z moją mamą?

— Tak. — Nie przyszła mi do głowy żadna inna odpowiedź. Miałem tylko nadzieję, że nie powtórzy tego Mouse'owi. Chciałem go poprosić, żeby trzymał język za zębami, ale nakłanianie dziecka do kłamstwa to grzech.

— Aha.

— Czemu nie śpisz? — spytałem znowu.

— Mam sny.

— Jakie sny?

— O wielkim starym potworze z setką oczu.

— Tak? Ścigał cię?

— Mhm. Pytał, czy chcę się przejechać, a potem zabrał mnie wysoko, a potem zaczął spadać, jakbyśmy się mieli rozbić. — LaMarque miał oczy szeroko otwarte ze strachu. — Potem zatrzymał się tuż przed spadnięciem i zaczął się śmiać. Prosiłem, żeby mnie puścił, ale on latał i latał. Straszyl mnie. Usiadłem przy nim i pozwoliłem mu wdrapać mi się na kolana. Z początku dyszał.

Poczekalem, aż się uspokoil i zapytałem:

— Lubisz, kiedy tata bierze cię do Zeldy?

— Nie. Tam śmierdzi. - Czym?

— Rzygami. — Wysunął język.

— Mówiłeś kiedy mamie, jak tam śmierdzi?

— Nie, nigdy. Bałem się.

— Czemu?

— Nie wiem.

— Myślisz, że mogliby się pobić, gdybyś powiedział?

— Mhm, tak. — Chwycił w garść materiał moich spodni i ścisnął, jakby go wyżywał.

— Wiesz, że gdybyś powiedział tacie, że nie chcesz tam chodzić, nie zabierałby cię więcej.

— Zabierałby. On lubi grać w karty i pieprzyć się. Przy ostatnim słowie LaMarque uchylił głowę, jakby w obawie, że go uderzę. — Nie, malutki — odparłem i poklepałem go po głowie. — Twój tata woli ciebie od tamtych ludzi. Chce grać z tobą w piłkę i oglądać telewizję. Nic nie powiedział, tylko siedział przez chwilę. Tak mocno ścisnął mi spodnie, że mnie szczypał. — Twój tata odwiedzi was za kilka dni — powiedziałem po pewnym czasie. — Kiedy?

Myślę, że pojutrze. Przyniesie mi prezent?

— Założę się, że tak.

— Czy będziesz wtedy w łóżku mojej mamy? Roześmiałem się i przytuliłem do piersi.

— Nie. Mam pracę.

Siedzieliśmy tak, patrząc na wschód słońca. Potem oba, zasnęliśmy. Znowu przyśniła mi się Poinsettia. Obłąziło z niej ciało. Ze snu na sen rozkładała się coraz bardziej,; wkrótce musiały z niej zostać same kości.

Obudziłem się po około pół godzinie. LaMarque chrapał. Zaniósłem go do pokoju, a potem zajrzałem do Etty. Leżała w takiej samej pozycji, z silną ręką przy atlasowobrazowej twarzy. Nadal pragnąłem jej tak jak przez wszystkie lata, ale po raz pierwszy pomyślałem o małżeństwie.

Zostawiłem w kuchni kartkę dla Etty, na której napisałem, że Mouse odwiedzi syna za kilka dni. Zapewniłem, że wszystko jest w porządku. Podpisałem Kocham cię".

### ***Rozdział dwudziesty siódmy***

Od Etty Mae poszedłem do Mercedes Bark na ulicy Bell. Przy Bell stał krótki rząd dużych domów, z których każdy miał ceglany mur i wypieszczony ogród z kwiatami. Podczas świąt Bożego Narodzenia wszyscy mieszkańcy ozdabiali drzewa, krzewy i ogrodzenia mnóstwem kolorowych lampek. Na trzy tygodnie przed świętami i trzy tygodnie po, ludzie zatrzymywali na ulicy samochody, żeby przyjrzeć się ozdobom. Taka to była okolica. Ludzie wspólnie pracowali, żeby ją upiększyć.

Wszystko byłoby świetnie, ale mieszkańcy Bell mieli jedną wadę: byli snobami. Uważali się za lepszych niż prawie cała reszta ludzi z Watts. Krzywo patrzyli na obcych kupujących domy przy ich ulicy i mieli zwyczaj wykluczania ich z przyjęć z mięsem z rożna i innych tego typu atrakcji.

Zachęcali nawet swoje pociechy do unikania dzieci, które mogły spotkać w szkole czy na podwórku, bo na Bell panowała opinia, że większość czarnych dzieci z sąsiedztwa jest zbyt pospolita i niewychowana.

Mercedes miała dwupiętrowy dom w połowie ulicy. Ściany pomalowano na biało i ozdobiono zielonym pasem. Na werandzie rozstawiono krzesła i sofy; jasnozielony trawnik otaczały białe i purpurowe dalie, białe róże i karłowate drzewa cytrynowe.

Mąż Mercedes, Chapman, był dentystą i stać go było na utrzymanie tak dużej posiadłości. Kiedy jednak

umarł, wdowa szybko zrozumiała, że jego ubezpieczenie nie mogło wystarczyć na utrzymanie dotychczasowego poziomu życia. Wzięła więc te pieniądze, a górne piętra domu przerobiła na pokoje do wynajęcia, które mogły pomieścić aż dwanaście osób.

Komitet mieszkańców wytoczył Mercedes proces. Skarżyli się, że ich piękna ulica zostanie zniszczona przez szumowiny, jakie niewątpliwie zamieszkają w jednopokojowych mieszkaniach za tygodniowy czynsz. Sąd nie przyznał im racji i pani Bark zaczęła wynajmować pokoje.

Mofass był jej pierwszym i najsolidniejszym lokatorem. Nie potrzebował kuchni, bo stołował się w biurze nieruchomości Fettersa. Nie miał też zamiaru zawracać sobie głowy ciekącymi dachami czy nieprzystrzyżonymi trawnikami, ponieważ podobnymi rzeczami zajmował się przez cały dzień.

Dotarłem do domu przy ulicy Bell około wpół do dziesiątej rano. Wiedziałem, że pani Bark siedzi na miękkim krześle tuż za frontowymi drzwiami, ale jej nie widziałem. Siedziała ukryta w cieniu schodów za przepierzeniem, ale i tak widziała dobrze, kto wchodzi.

Czekałem cierpliwie, przyciskając dzwonek, chociaż wiedziałem, że Mercedes mnie widzi. Miałem ze sobą brązowy plecak, a w nim dwie butelki Rainier Ale.

— Kto tam? — spytała po czwartym dzwonku.

— Easy Rawlins, proszę pani. Mam sprawę do Mofassa.

— Spóźnił się pan, panie Rawlins. Mofass się wyprowadził.

— Wiem, proszę pani, właśnie dlatego tu jestem. Mofass dzwonił do mnie z Południa i powiedział, żebym przyszedł po dokumenty, które przez pomyłkę zostawił.

Nie ryzykowałem wiele. Jeśli Mofass wyniósł się nagle, mógł zostawić coś, co mogło oświetlić jego związek z Poinsettią. Jeśli nic nie zostawił, najwyżej snoby z Bell nakryją mnie na kłamstwie.

co? - krzyknęła. Zuchwałość Mofassa zmusiła Mercedes Bark do wstania, co nie było prostym zadaniem. Kołysząc się, podeszła do drzwi, gdzie oparła rękę o framugę. Mercedes nie była wysoka, a patrząc na jej twarz w okularach, nigdy byś nie zgadł, jaki z niej kawał baby. Nawet ramiona miała małe, można by je nazwać szczupłymi. Jednak od ramion w dół Mercedes Bark była tytanem. Miała gigantyczne piersi i pośladki; zajmowały całą dolną połowę drzwi.

- Trzeba przyznać, że czelności mu me brakuje - stwierdziła. - Przysyła cię tu po tym, jak zostawił burdel w pokoju. Nie mogę go nawet wynająć, zanim nie zapłacę komuś za sprzątanie.

- Właśnie o to chodzi, proszę pani. Mofass powiedział, że jest mu przykro, ale jego matka zachorowała tak nagle, że nie miał czasu niczego przemyśleć. On nie chce się stąd wyprowadzać. Powiedział, żebym zostawił pani sześćdziesiąt dolarów za następny miesiąc.

Trzymałem pieniądze w ręce. Pani Bark z warczącego wilka zmieniła się w wyjca. Zaczęła się uzalać nad biedną matką Mofassa i rozpląwać z podziwu nad głęboką miłością synowską.

Wziąwszy pieniądze, wręczyła mi klucz i nawet wyszła z mieszkania, żeby pokazać mi drogę.

Stanu, w jakim zastałem pokój Mofassa, w żadnym razie nie można nazwać bałaganem. Był sterylnie czysty i uporządkowany jak grobowiec faraona. W środkowej szufladzie biurka znalazłem ołówki, pióra, bloki z papierem i kałamarze. W prawej szufladzie znajdowały się wszystkie rachunki, jakie kiedykolwiek zapłacił. Nadal przechowywał odcinki biletów z filmów, które widział w Nowym Orleanie przed dwudziestoma laty. W lewej dolnej szufladzie trzymał dokumenty dotyczące bieżących interesów. Jedna sterta obejmowała wydatki, druga przychody; wszystko w należyтым porządku.

Miał też szufladę pełną cygar. Ujrzawszy je, zrozumiałem, że coś nie gra. Mofass musiał być naprawdę wstrząśnięty, żeby zostawić pięćdziesiąt świeżych cygar.



Bez powodzenia przeszukałem pozostałą część pokoju. Nie znalazłem niczego pod łóżkiem, między materacami ani nawet wśród ubrań. Żadnych obluzowanych desek czy kopert przyklejonych pod szufladami Usiadłem przy biurku i położyłem na nim płasko dłoń. Na wierzchu leżał bibularz. Podniosłem go, ale pod spodem nie było nic, więc opuściłem go z powrotem. Opadł z cichym plaśnięciem: pac, pac. Nie pojedyncze, ale podwójne plaśnięcia, jakby były tam dwa arkusze bibuły. Mofass złożył bibułę na pół, a potem skleił taśmą; mógł wsuwać do środka rzeczy, które chciał ukryć przed niepożądanym wzrokiem. Ale taśma się przetała i arkusze się rozdzieliły.

Znalazłem tam kilka interesujących rzeczy. Po pierwsze, rachunek podpisany przez Williama Whartona (prawdziwe imię i nazwisko Mofassa): Pogotowie Ratunkowe Chandlera, Południowa Kalifornia. Rachunek na kwotę osiemdziesięciu trzech dolarów i trzydziestu centów wystawiony za przewiezienie pacjentki ze Szpitala Tempie na ulicę Magnolii 487, 18 stycznia 1952. Był też inny rachunek na tysiąc czterysta osiemdziesiąt siedem dolarów i dwadzieścia sześć centów za dwa tygodnie pobytu w szpitalu pani P. Jackson. Nie wyobrażałem sobie, że Mofass może wydać dwadzieścia dolarów na randkę, a oto wydawał półroczną pensję na dziewczynę, do której eksmisji mnie namawiał.

Ostatnie dwa dokumenty tkwiły w kopertach. W jednej znajdowało się sto dolarów w dwudziestkach, a w drugiej listy nazwisk, adresów i numerów telefonów Adresy były rozrzucone po całym mieście. Podczas gdy próbowałem pojąć znaczenie znaleziska, wyczułem czyjaś obecność, a może usłyszałem ruch za plecami.

W drzwiach stał Chester Fisk. Pan Fisk, wysoki, szczupły dżentelmen, był ojcem Mercedes i stałym lokatorem domu przy ulicy Bell. Barwa jego skóry plasowała się gdzieś między jasnym brązem a jasną

szarością, rozjaśnioną miejscami — jak choćby wokół ust — brunatną żółcią.

— Dzień dobry, panie Rawlins.

— Cześć, Chester, jak leci?

— Och. — Zastanawiał się przez parę sekund. — W porządku. Słońce świec<sup>^</sup> trochę za mocno, a noc jest trochę za długa. Ale za to człowiek czuje, że jeszcze żyje.

— Może mam tu coś dla ochłody — odparłem i wyjąłem dwie butelki ale.

Przez chwilę myślałem, że Chester się rozplacze. Oczy wypełniła mu wdzięczność tak potulna, że prawie krowia.

— No, no, no — wykrztusił, kładąc rękę na szyjce butelki stojącej bliżej.

— Chester, widziałeś Mofassa, zanim się stąd wyprowadził?

— Jasne. Wszyscy spali, ale stary człowiek już prawie nie potrzebuje snu.

— Czy był zdenerwowany?

— I to bardzo. — Chester zaakcentował to skinieniem głowy.

— Rozmawiałeś z nim?

— Niezbyt wiele. Spakował tylko jedną małą torbę. Zabrał pewnie szczoteczkę do zębów i zapasową parę spodni. Spytałem go, czy coś się stało, a on odparł, że sprawy stoją źle. Potem dodał, że stoją bardzo źle.

— I to wszystko? Nie wspomniał nic o matce?

— Nie, nie mówił nic więcej. Wbiegł w pośpiechu i wybiegł tak samo.

W drodze powrotnej do domu starałem się zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Wiedziałem, że Mofass zapłacił za pobyt Poinsettii w szpitalu, a poza tym pewnie za jej czynsz, za rok albo dłużej.

Miałem też adresy i nazwiska nie znanych mi ludzi w Los Angeles.

Może zachorowała mu matka.

Może zabił Poinsettję. Może zrobił to Willie. Nic nie pasowało.

## ***Rozdział dwudziesty ósmy***

Dopiero po ośmiu dzwoneczkach usłyszałem głos Zaree Bouchard.

- Halo? - Chyba była znudzona albo zniesmaczona.
- Cześć, Zaree. Jak się masz?
- A, to ty, Easy. - Nie sprawiała wrażenia uradowanej. — Którego chcesz?
- A z którym chcesz się rozstać?
- Możesz dostać obu za dolara i dwadzieścia pięć centów.

Zrozumiałem, że nie była w nastroju do zabawy, więc powiedziałem:

- Poproś Dupreego.

Usłyszałem, jak wrzeszczy jego imię, a potem skrzywiłem się na głośny stukot upuszczonej słuchawki.

Po minucie ciszy po drugiej stronie znowu rozległ się łomot i wreszcie odezwał się Dupree.

- Tak?
- Panie Bouchard! - wykrzyknąłem. - Tu Easy.
- No, no, no. - Jego głos przywołał na myśl saksofon altowy grający coraz niższe tony. - Co mógłbym dla pana zrobić, panie Rawlins?
- Słyszałeś o Townie?
- Nic tylko o nim słyszę. To okropna sprawa.
- Tak. To ja znalazłem ciało, w każdym razie zaraz po Winonie.
- O tym też słyszałem, Easy. Pomyślałem znowu,

że byłeś ostatnim człowiekiem, który widział Corette, zanim Joppy Shag ją wykończył. Dupree nie przestawał mnie winić za śmierć swojej dziewczyny. Nigdy się na niego nie wściekałem, bo czułem się trochę odpowiedzialny.

— Gliny zabrały mnie na przesłuchanie. Boję się, że będą mnie chcieli w to zrobić.

— Mhm — mruknął Dupree. Może nie miał nic przeciwko temu, żeby policja coś na mnie znalazła.

— Tak. Czy ktoś zna dziewczynę, którą znaleźli z pastorem?

— Słyszałem, jak kilku ludzi mówiło, że miała na imię Tania, czy coś takiego. Nikt nie wie, skąd pochodziła ani w ogóle nic.

Dupree był porządnym facetem. Niezależnie od tego, co czuł, nadal pozostawaliśmy przyjaciółmi. Nie okłamywałby mnie.

— Co jest z Zaree? — spytałem.

— Jest wściekła na Raymonda.

— Czemu?

— Najpierw ma świra na punkcie Etty. Potem zaczyna pić i zmienia się w brudnego łachudrę. Potem, wczoraj, wystroił się i przyszedł do domu z dwiema białymi dziewczynami.

— Poważnie?

— Mówię ci, Easy. — Do głosu Dupree wrócił stary ton przyjaźni. — Robili taki rwetes, że nie mogłem spać. On im kazał, żeby go o to błagały! Kiedy cichutko prosiły o jeszcze, pytał: „Co takiego?” i musiały krzyczeć.

— I to wkurzyło Zaree?

— No tak — zachichotał. — Tak naprawdę poszło o to, że za każdym razem, kiedy Ray rznął którąś z nich, napalałem się i rzucałem się na Zaree. Powiedziałem jej, że jeśli nie ma ochoty, to jedna z tych dziewczyn na pewno nie odmówi.

Mouse miał zdecydowanie negatywny wpływ na życie rodzinne.

— Daj mi go, dobrze, Dupree?  
— Dobra. — Dupree wciąż się śmiał.  
— Co jest grane, Easy? — spytał Mouse swoim chłodnym tonem.  
— Musisz zadzwonić do Etty, Ray.  
— Tak? — Z jego głosu biła wyraźna satysfakcja.  
— Tak. Zadzwon do niej i weź gdzieś LaMarque'a, do parku czy coś w tym rodzaju.  
— Kiedy?  
— Najszybciej, jak możesz, człowieku, ale musisz pamiętać o jednym.  
— O czym?  
— LaMarque to jeszcze dziecko, Ray. Nie zapoznawaj go ze swoją pracą ani nie zabieraj do pańienek.  
— A co mam zrobić?  
— Idź z nim popływać albo na ryby. Pójdźcie do parku i zagrajcie w piłkę. Co robiłeś, jak byłeś mały?  
— Czasem podkradałem się do wielkich szczurów, co wygrzewały się w słońcu na nabrzeżu. Wiesz, łapałem takiego za ogon, kręciłem sukinsynem i rozwaląłem mu głowę o beton.  
— LaMarque jest wrażliwy, Ray. Chce się bawić tak jak inne dzieci. Wystarczy, że będziesz o tym pamiętał, a przestanie życzyć ci śmierci. Mouse milczał przez chwilę, a potem powiedział cicho:  
— Dobra. — Więc zadzwonisz?  
— Tak.  
— I pobawisz się z nim?  
— Mhm, tak, pobawię.  
— W porządku.  
— Easy?  
— Co?  
— Jesteś równy gość. Możliwe, że jakaś śrubka ci się oblużowała, ale jesteś równy.  
Nie bardzo wiedziałem, o co mu chodziło, ale wyglądało na to, że znowu byliśmy przyjaciółmi.

### ***Rozdział dwudziesty dziewiąty***

Odłożywszy słuchawkę, nadal śmiałem się z Dupree i Zaree. Dobra historia czy dowcip śmieszy bardziej, kiedy zewsząd otacza cię śmierć. Nigdy nie śmiałem się głośniejszy, niż kiedy służyłem w armii Pattona i wyruszyliśmy na bitwę.

Nie wiem, jak długo pukał do drzwi. Kimkolwiek był, był bardzo cierpliwy. Puk, puk, puk, potem cisza i znowu trzy puknięcia.

Właściwie nie zdziwił mnie widok Melvina Pride'a stojącego w moich drzwiach. Miał na sobie czarne, bawełniane spodnie, białą koszulkę i czarny bezrękawnik. Od lat nie widziałem Melvina w nieformalnym stroju.

— Witaj, Melvin.

— Czy mogę wejść, Easy?

Jego prawym policzkiem wstrząsał co pewien czas tik powodowany nerwem łączącym przekrwione oko z uchem.

Zamiast alkoholu zaproponowałem mu kawę. Usiedliśmy naprzeciwko siebie w salonie, trzymając filiżanki na kolanach.

Później, zamiast rozpocząć rozmowę, zapaliliśmy papierosy.

— Od jak dawna tu mieszkasz? — spytał Melvin po długiej chwili.

— Osiem lat.

Obaj byliśmy poważnymi ludźmi. Patrzyliśmy sobie w oczy.

— Czy chcesz czegoś ode mnie, Melvin?

— Nie wiem, bracie Rawlins, nie wiem.

— Musisz coś do mnie mieć. Dziwię się, że w ogóle znasz mój adres.

Zaciągnął się potężnie papierosem i zatrzymał dym na dobre pięć sekund. Kiedy wreszcie przemówił, strużki dymu wydostawały się przez nozdrza, upodabiając jego kanciastą twarz do smoka.

— Wykonujemy dużo dobrej roboty w Pierwszym Afrykańskim — mówił. — Ale pod tą dobrą robotą kryje się dużo napięcia. Widzisz, pod takim napięciem nie wszyscy zachowują się tak samo.

Skinałem głową, oceniając jednocześnie siłę i rozmiary Melvina.

— Z kim ty rozmawiałeś, Melvin? — Kurcz przebiegł mu po prawej stronie twarzy.

— Nie muszę z nikim rozmawiać, Easy Rawlins. Znam *ciebie*. Latami wtykałeś nos w cudze sprawy.

Mówią, że przez ciebie Junior Fornay poszedł za kratki. Mówią, że ty i Raymond Alexander zostawiliście za sobą oznaki śmierci, od Pariah w Teksasie aż do nas, do Watts.

Mimo że mówił prawdę, zachowywałem się, jakby było inaczej.

— Nie wiesz, o czym mówisz, człowieku. Nie zajmuję się niczym innym jak tylko sprzątaniami w kilku miejscach.

— Jesteś sprytny. — Melvin uśmiechnął się i mrugnął jednocześnie. — Trzeba ci to przyznać.

Widziałem, jak nadstawiałeś ucha, kiedy rozmawiałem z Jackie'em na kościelnych schodach. Potem widzę, jak zaprzyjaźniasz się z Chaimem Wenzlerem. Ty się z niczym nie zdradzisz, wszyscy wiedzą, czym się trudnisz. Cokolwiek robisz w kościele, nie ma to nic wspólnego z miłością chrześcijańską.

Tym razem ktoś puścił parę. Tym razem wiem, że to ty.

— Kto puścił parę?

— Człowieku, nie musisz wiedzieć. Ja wiem i to ci musi wystarczyć.

— Melvin, istnieje określenie na pierduły, które tu opowiadasz. Poznałem to słowo na uniwersytecie: paranoja. Widzisz, facet z paranoją może się bać rzeczy, których wcale nie ma.

Melvinowi podskoczył policzek; uśmiechnął się znowu.

— Tak, żebyś wiedział, że się boję. To właśnie na przestraszone zwierzę trzeba uważać. Zwierzęta, które się boją, zachowują się nieobliczalnie. Najpierw zwiewają z podwiniętym ogonem, a w sekundę później skaczą ci do gardła.

— I to właśnie masz zamiar zrobić?

Wstał szybko, stawiając filiżankę na poręczu krzesła. Podniosłem się w ślad za nim.

— Daj spokój, Easy. Daj spokój.

— Z czym?

— Obaj wiemy, o czym mówię. Może popełnialiśmy błędy, ale wiesz, że robiliśmy też dobre rzeczy.

— No cóż - odparłem, próbując brzmieć rozsądnie - wyłożmy kawę na ławę, żebyśmy obaj wiedzieli, na czym stoimy.

— Słyszałeś, co powiedziałem.

Skończył mówić. Nie miał kapelusza, więc po prostu odwrócił się na pięcie i odszedł.

Odprowadziłem go do drzwi i patrzyłem, jak odchodzi między grządkami ziemniaków i truskawek.

Jego krok był ponury i celowy. Kiedy zniknął, podszedłem do szafy, wyjąłem rewolwer i schowałem go do kieszeni.

Godzinę później parkowałem przed domem przy Siedemdziesiątej Szóstej, należącym do Gatora Wade'a, hydraulika ze wschodniego Teksasu. Gator zawsze parkował samochód na podjeździe, więc nie potrzebował garażu z tyłu domu. Położył tam podłogę, doprowadził prąd i wodę, a potem wynajął za dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie.



Od trzech lat mieszkał tam Jackie Orr, najwyższy diakon Pierwszego Afrykańskiego. Gator był w pracy. Zaparkowałem od frontu i ruszyłem do domu Orra. Nikt nie odpowiedział na pukanie, więc wyważyłem drzwi i wszedłem. W dzień Jackie pracował jako zmiatacz ulic; byłem prawie pewien, że nie będzie mi przeszkadzał. Nawet gdyby się zjawił, wątpiłem, żeby nosił broń. Wewnątrz panował bałagan, ale nie byłem pewien, czy ktoś tam buszował, czy Jackie był po prostu flejtuchem, jak większość kawalerów. Przy łóżku znalazłem gruby plik kartek odbitych na powielaczu, pokrytych czerwonym drukiem. Nagłówek głosił: „Wytyczne Migracji Afrykańskiej”. Był to długi esej o Marcusie Garveyu, o niewolnictwie i o naszych afrykańskich przodkach. Nie spodziewałem się, że Jackie czyta tego rodzaju literaturę. Jego ubrania też mnie zdziwiły. W szafie wisiało co najmniej trzydzieści garniturów, do każdego para butów innego koloru. Na nocnym stoliku zauważyłem elegancki pierścień i drogi zegarek. Wiedziałem, że Orra nie stać na takie rzeczy, a kobieta musiałaby najpierw usłyszeć ślubne dzwony, zanim tak obdarowałaby faceta. Pod najniższą szufladą biurka znalazłem grubą kopertę, a w niej ponad tysiąc dolarów w banknotach dwudziestodolarowych i mniejszych. Odkryłem też kolejną listę nazwisk, a obok kwoty:

- L. Towne, — 0 —
- M. Pride, - 1.300
- W. Fitzpatrick, - 1.300
- J. Orr, - 1.300
- S.A., - 3.600

Gotówka była w ruchu. W przypadku Jackiego pieniądze zamieniły się w ubrania. Nie wiedziałem, kim jest S.A., ale postanowiłem to odkryć. Zostawiłem pieniądze, ale listę zabrałem. Czasem nazwiska są cenniejsze niż pieniądze, zwłaszcza jeśli stawką jest twoja skóra.

### ***Rozdział trzydziesty***

U Johna nie było nikogo poza Odellem, który siedział w kącie i jadł kanapkę. Nie odpowiedział mi nawet na skiniecie głowy. Przykro stracie dobrego przyjaciela, ale sytuacja była tak zagmatwana, że właściwie tego nie odczułem, z wyjątkiem ukłucia w dole brzucha.

- Widziałeś dziś Jacksona? - spytałem Johna, kiedy nalewał mi whisky. ,
- Nie, ale przyjdzie. Jackson chodzi tylko do barów, gdzie nie ma bijatyk.
- Często musiałeś ratować mu tyłek?
- Wielu ludzi go nie znosi. Jest sprytny, ale głupi. Zabrałem drinka na koniec baru i czekałem.

U Johna zawsze kręciło się kilku pijaków i biznesmenów rozmaitej maści. Czasem widywało się kobietę polującą na klienta, jednak rzadko, bo John nie chciał kłopotów z policją.

Jackson pojawił się w drzwiach około wpół do piątej).

- Cześć, Easy - pisnął swoim wysokim, chrypiącym głosem.
- Chodź Jackson, usiądź tutaj.

Miał na sobie luźny, srebrzysty garnitur imitujący skórę rekina. Jego czarna jak węgiel skóra kontrastująca z jasnym, matowym materiałem, nadawała Jacksonowi wygląd negatywu białego człowieka.

- Więc jak leci, Easy? - zagadnął, jakbym był jego najbliższym przyjacielem.

Kiedys, pięć lat wcześniej, o mały włos nie zginąłem z ręki bandyty, Franka Greena. Nigdy nie miałem pewności, czy to Jackson ostrzegł dziś już nieżyjącego Greena, że go szukam. Wiem tylko, że pewnego dnia rozmawiałem z Jacksonem o Franku, a wieczorem Green przykładał mi nóż do gardła. Jednak tak naprawdę nie miało znaczenia, czy Jackson go ostrzegł, bo nie czuł do mnie żadnej osobistej urazy. Handlował po prostu jedynym towarem na jakim się znał — informacją.

— Jest źle, Jack, najgorzej jak może być. Napijesz się?

— Tak.

— John, nalej Jacksonowi lemoniadki.

Kiedy John podawał Jacksonowi potrójną porcję szkockiej, ten uśmiechnął się i zapytał:

— W czym problem?

— Wiesz, co się stało w Pierwszym Afrykańskim?

— Jasne. Wiesz, w przedostatnią niedzielę Rita mnie tam zaciągnęła. Obiecała, że dotrzyma mi towarzystwa w sobotę, jeśli w niedzielę zabiorę ją do kościoła.

Na twarzy odmalowało mu się zadowolenie; wiedziałem, że za chwilę zacznie się chwalić miłosnymi wyczynami Rity. Przerwałem mu zadumę.

— Słyszałeś coś o tych zabójstwach?

— Jak to?

— Poinsettia się powiesiła, a ja znalazłem ciało.

— Tak, słyszałem — potwierdził i w żółtych oczach błysnęło mu zrozumienie. - Pastora też znalazłeś.

Myśla, że ich zabiłeś?

— Tak. Gliniarze nie wiedzą nawet, kim była ta dziewczyna. Chętnie by mnie w to wrobili.

— Cholera — prychnął Jackson — te skurwysyny nie potrafią znaleźć niczego, nawet gdyby to przykleiło się im do dupy.

— Wiesz coś o tym, Jackson?

Spojrzał przez ramię w stronę drzwi. Oznaczało to,

że coś wie i nie jest pewien, czy powinien mi powiedzieć. Przez może pół minuty tarł policzek i robił pokerową minę. — Co robisz na uniwersytecie? — spytał wreszcie.

— Co?

— Chodzisz tam, tak?

— Tak.

— I czego się uczysz?

— Podstawowych rzeczy, to takie kursy uzupełniające. Historia i angielski, które opuściłem w szkole. Chodzę też na wykłady dla bardziej zaawansowanych.

— Tak? A jaka to historia?

— Europejska, od Karty Praw do dziś.

— Wojna — stwierdził krótko.

— Co mówiłeś?

— W historii europejskiej czytam tylko o wojnie. Ci biali bez przerwy walczą: wojna róż, krucjaty, rewolucja, cesarz, Hitler, komuniści, kurwa! Obchodzi ich tylko wojna i pieniądze, pieniądze i ziemia. Oczywiście miał rację. Jackson zawsze miał rację. — Chciałbyś tam się uczyć?

— Może mógłbyś mnie kiedyś zabrać, zobaczyłbym.

— A co z Kościołem, Jackson?

— Mówisz, że gliny nawet nie wiedzą, kim była dziewczyna?

— Nie. — Może poszedłbym do szkoły i został gliną.

— Jack, żeby zostać gliną, musisz mieć co najmniej metr siedemdziesiąt wzrostu.

— Cholera. Jak nie czarnuch to kurdupel. Postawisz mi jeszcze, Easy? — Długim, hebanowym palcem wskazał na pustą szklankę. Dałem znak Johnowi, żeby przyniósł następną. Kiedy odszedł, Jackson przemówił. — Nazywała się Tania, Tania Lee.

— Gdzie mieszkała?

— Nie wiem. Dowiedziałem się tego od jednego z diakonów, Roberta Williamsa.

— Nie wiedział, skąd pochodziła?

— Nie. Mówiła mu tylko, żeby był dumny ze swojej czarnej skóry i czcił Afrykę.

— Poważnie?

— Tak. — Uśmiechnął się. - Wiesz, lubię, kiedy dziewczynie podobają się czarnoskórzy, ale w Afryce to mnie nie znajdziesz.

— Czemu Jackson? Boisz się dżungli?

— Daj spokój, stary, nic podobnego. Afryka nie jest bardziej dzika niż Ameryka. Ale nie widzę, jak Afrykanie mogliby polubić amerykańskiego Murzyna. Zbyt długo nas tam nie było, człowieku. - Jackson potrząsnął głową, prawie smutno. — Zbyt długo.

Jackson mógłby mnie pouczać przez całą noc o przepaści kulturowej, ale coś mi przyszło do głowy.

— Słyszałeś kiedyś o grupie o nazwie Migracja Afrykańska?

— Jasne. Nie widziałeś ich? Na Avalon, niedaleko baru „White Horse” i „Grilla”.

Znałem to miejsce. Dawniej mieścił się tam magazyn artykułów metalowych, ale po śmierci właściciela sprzedano dom agentowi, który wynajmował go kościołom.

— Myślałem, że to jeszcze jeden kościół.

— Nie, Easy. To są ludzie od Marcusa Garveya. Powrót do Afryki, wiesz, tak jak u W.E.B. Du Boisa.

— U kogo?

— U Du Boisa. To sławny Murzyn, Easy, ma prawie sto lat. Bez przerwy pisze o powrocie do Afryki. Pewnie nigdy o nim nie słyszałeś, bo jest komunistą. Nie uczą was o komunistach.

— To skąd o nim wiesz?

— Biblioteka jest otwarta dla wszystkich, człowieku. Nikt ci nie broni tam chodzić.

Nie ma w życiu zbyt wiele okazji, kiedy się czegoś uczymy. Tej nocy u Johna Jackson nauczył mnie czegoś, czego nigdy nie zapomnę.

Nie miałem jednak czasu na dyskusowanie politycznych aspektów informacji, której mi udzielił.

Musiałem się dowiedzieć, co jest grane, musiałem odwiedzić Migrację Afrykańską.

— Dzięki, Jackson. Będiesz tu jeszcze trochę? — Położyłem na blacie banknot pięciodolarowy, który Jackson przykrył długą, chudą dłonią, a potem skinął mi szklanką.

— Jasne, Easy, jasne, że tu będę. Pewnie uda ci się ich tam spotkać. Mają zebrania prawie co wieczór. Tego dnia w opuszczonym magazynie metalowym odbywało się spotkanie. Około czterdziestu osób zgromadziło się wokół podwyższenia w głębi i słuchało mówców.

W drzwiach zatrzymał mnie potężnie zbudowany człowiek.

— Przyszedłeś na spotkanie? — spytał. Był wysoki, ponad metr dziewięćdziesiąt, gruby. Jego wyciągnięta ręka przypominała wypchaną rękę olbrzymiej, brązowej lalki.

— Tak.

— Małe datki są mile widziane — oznajmił, nieświadomie pocierając o siebie czubkami palców.

— ...oni nas nie chcą i my ich nie chcemy — usłyszałem kobietę przemawiającą w głębi pomieszczenia.

— Jak małe? — spytałem.

— Dolara od dżentelmena. — Uśmiechnął się. Dałem mu dwie półdolarówki.

Słuchacze byli poważnymi ludźmi. Większość mężczyzn nosiła okulary; prawie każdy miał przy sobie książkę albo papiery. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Byłem tylko jeszcze jednym bratem, który szukał drogi do godności.

W tłumie rozpoznałem Melvina Pride'a. Był pochłonięty słowami mówczynie, więc mnie nie zauważył.

Ukryłem się za słupem, skąd mogłem go obserwować.

Mówczynie opowiadała o Afryce, miejscu, gdzie wszyscy wyglądali tak jak tu zebrani, o miejscu,

gdzie królowie i prezydenci byli czarni. Jej słowa poruszyły mnie.

Nie byłem jednak tak poruszony, żeby spuścić z oczu diakona. Melvin rozglądał się wokół siebie nerwowo i tarł dłonie.

Po pewnym czasie zgromadzeni zaczęli głośno wiwatować. Mówczyni, ubrana w afrykańskie szaty, ustąpiła miejsca mężczyźnie, który stał za nią. Kobieta była pulchna, miała jasnobrażową skórę i twarz wczesnie dojrzałej dziewczynki, poważną ale niewinną. Melvin podszedł do niej i coś szepnął, podczas gdy kolejny mówca przygotowywał się do wystąpienia.

Z rąk do rąk przekazywali sobie coś, co wyglądało na plik banknotów.

Mówca wychwalał silną murzyńską kobietę, która, mimo młodego wieku, wykazała się niezwykłymi zdolnościami przywódczymi. Wiedziałem, że mówi o znajomej Melvina, bo na moment oderwała się od transakcji i spojrzała na mówcę.

Melvin zakończył interesy i ruszył do wyjścia.

— Sonja Achebe — powiedział mówca. Tłum znowu wiwatował, a młoda kobieta ruszyła do wyjścia z tyłu sali.

Pani Achebe?

— Tak. — Uśmiechnęła się do mnie.

— Proszę mi wybaczyć, nazywam się Easy, Easy Rawlins.

Zmarszczyła się nieco, jakby nazwisko coś jej przypominało, chociaż nie wiedziała co.

— Tak, bracie Rawlins.

Migracja Afrykańska, podobnie jak wiele innych organizacji murzyńskich, miała charakter religijny.

— Muszę pomówić z panią o Tani Lee.

Wtedy skojarzyła, kim jestem. Nie powiedziała nic, tylko wskazała na drzwi. Ruszyliśmy, a kolejny mówca rozpoczął przemowę.

— Co takiego chciałby pan wiedzieć o siostrze Lee?

- spytała. Znajdowaliśmy się w dużym magazynie przedzielonym rzędem cienkich, pustych półek. Pomieszczenie przypominało szczyrzy labirynt, słabo oświetlony kilkoma czterdziestowatowymi żarówkami.

— Chcę wiedzieć, kto i dlaczego ją zabił.

— Ona nie żyje? - Pani Achebe próbowała nieudolnie okazać zdziwienie.

— Niech pani da spokój. Dobrze pani wie, co się stało. Była waszym członkiem.

Zgadywałem, ale miałem duże szanse na celny strzał.

— Mówił pan o tym policji?

Wysunąłem dolną wargę i potrząsnąłem głową.

— Nie ma takiej potrzeby, jeszcze nie.

Pani Achebe nie wyglądała już jak dziewczynka; na twarzy pojawiły się bruzdy starości.

— Czego pan chce ode mnie?

— Kto zabił pani przyjaciółkę i mojego pastora?

— Nie wiem, o czym pan mówi. Nie mam nic wspólnego z zabijaniem.

— Widziałem panią z Melvinem, a jego z Tanią i wielebnym Towne'em. Pani ma jakiś związek z naszym kościołem. Widzisz kochanie, wiem, że dali ci co najmniej trzy tysiące sześćset dolarów, ale nic mnie to nie obchodzi. Policja podejrzewa mnie o morderstwo i nie mogę się przejmować waszymi drobiazgami. — Nie zabiliśmy Towne'a.

— Czemu miałbym w to wierzyć?

— Nie obchodzi mnie, w co pan wierzy, panie Rawlins. Nikogo nie zabiłam. Nikt, kogo znam, nikogo nie zabił. — Może i nie. - Skinąłem głową. - Wystarczy jednak, że szepnę słówko pewnemu gościowi, a on może zechce udowodnić, że jednak to pani zrobiła. Parsknęła, co miało zastąpić śmiech.

— Jesteśmy przyzwyczajeni do niebezpieczeństw, panie Rawlins. Policja i FBI składają nam wizyty co tydzień. Nie boję się ani ich, ani pana.

— Nie chcę pani straszyć, pani Achebe. Podoba mi



się wasza organizacja, ale znalazłem się w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie i muszę znać pewne odpowiedzi.

- Nie mogę panu pomóc. O niczym nie wiem.

- Czy Melvin nic nie mówił?

- Nic. - Wzruszyła ramionami i spojrzała za moje plecy.

- Dobra, ale muszę wiedzieć... - Przerwała mi ciężka ręka, którą poczułem na ramieniu.

Odwróciłem się i ujrzałem faceta, który wziął ode mnie pieniądze przy drzwiach.

- Jakież kłopoty? — spytał.

- Tak, Bexel - potwierdziła Sonja. - Pan Rawlins uważa, że mamy związek z zabójstwem wielebnego Towne'a.

- Naprawdę pan tak uważa? - Widać było, że ta myśl sprawia Bexelowi ból.

- Chce powiedzieć o tym policji. - Sonja uśmiechnęła się.

- Nie? - Kiedy Bexel zacisnął pięści, jego kostki upodobniły się do ziaren kukurydzy.

Starcia z Williem i inspektorem Lawrencem wprawiły mnie chyba w wojowniczy nastrój. Zrobiłem ruch, jakbym chciał mu zejść z drogi, a potem wyprowadziłem prawy hak w dolną część brzucha Bexela.

Był to doskonały cios, który poprawiłem uderzeniem zza głowy, skierowanym poniżej jego serca.

Odległość me była duża, ale nie podejrzewałem, że ofiara może zastawić na mnie pułapkę.

Spojrzałem w jego spokojną, uśmiechniętą twarz

Bexel pochylił się i pchnął wielką, miękką łapą. Poleciałem do tyłu, przewracając półki stojące za mną i te stojące za nimi. Płuca mi się zapadły; poczułem ból w nieznanym dotąd miejscach.

Wielkolud, wciąż się uśmiechając, złapał mnie za ramiona i podniósł tak, że nasze twarze prawie się zetknęły.

Kopnąłem go. Mocno. Muszę się pochwalić, że na

ułamek sekundy zmrużył oko. Potem jednak puścił moje ramiona i złapał mnie za głowę.

— Puść go, Bexel! — krzyknęła Sonja Achebe. Grzmotnąłem o podłogę, pewien, przynajmniej w tamtej chwili, że to nie byli mordercy. Okazałem się na tyle głupi, że wszedłem do ich jaskini i oskarżyłem o zabójstwo. Mogli mnie zabić; powinni byli to zrobić.

Leżałem na ziemi, myślałem o spaghetti i zastanawiałem się, czy krwawię.

— Wszystko w porządku, panie Rawlins? — spytała Sonja Achebe.

— Nie, w żadnym wypadku.

Bexel wciąż stał nade mną. Patrzyłem na jego potężne, skórzane buciory; nigdy w życiu nie widziałem równie dużych. Złapał mnie za marynarkę i postawił na ziemi. Pierwszy raz tej nocy miałem wrażenie, że latam.

— Powinien pan odejść — poradziła Sonja Achebe. — Nie zrobiliśmy nic złego, ale nie spodziewam się, że pan w to uwierzy. Jednak to istotne, co pan sobie myśli. My się nie boimy.

Spojrzałem na Bexela. Nawet nie miał przyśpieszonego oddechu. Pamiętam, jak obiecałem sobie, że w końcu muszę zacząć być ostrożny. W głębi serca wiedziałem jednak, że nigdy się tego nie nauczę.

— Przepraszam — powiedziałem i uścisnąłem dłoń Sonji Achebe. — Wiem, że mi pani nie uwierzy, ale poruszyło mnie pani przemówienie. Wielu ludzi potrzebuje tego, co ma pani do ofiarowania.

— A pan nie? — Po raz pierwszy się uśmiechnęła i znowu była małą dziewczynką.

— Ja już mam dom. Może stoi na wrogiej ziemi, ale jest mój.

Podobała mi się Sonja Achebe i to, co reprezentowała Migracja. Nie chciałem, żeby stała im się krzywda. Zdałem sobie sprawę, że mam nadzieję, iż nie mają nic wspólnego ze śmiercią Towne'a. Taką samą nadzieję żywiłem w stosunku do Chaima Wenzlera. Miałem wrażenie, że nie stoję po niczyjej stronie poza własną.

### ***Rozdział trzydziesty pierwszy***

Melvin Pride mieszkał przy Alaford, cichej uliczce domków jednorodzinnych otoczonych zadbanymi trawnikami i starannie przyciętymi krzewami. W powietrzu unosił się zapach dymu. Zastanowiło mnie to, bo w nocy śmieci zwykle nie palono.

Pukałem pełną minutę, zanim pojawił się w drzwiach.

- Czego chcesz, Easy? - spytał zza siatki kamiennym, przyciszonym głosem jak kostucha.

— Chcę z tobą pomówić o wielebnym Townie i Migracji Afrykańskiej.

- O kim?

— Widziałem cię tam dziś wieczorem, Melvin. Wiem, że pompowaliście w nich pieniądze, nie rozumiem tylko, czemu to robiłeś. Towne miał swoją religię i świadomość społeczną, ale ciebie obchodzi tylko kościół, a Winona i Jackie zadowoliliby się byle świecidełkiem. Nawet gdybym się dowiedział, dlaczego oni mogli to zrobić, nie mam pojęcia, czemu ty miałbyś kogokolwiek zabijać.

Melvin miał wredną minę, ale w rzeczywistości tknął go paraliż. Otworzyłem siatkowe drzwi, minąłem go i wszedłem do środka.

- Bredzisz, Easy Rawlins - stwierdził. Przysunął się, a ja cofnąłem się o krok. Tańczyliśmy jak czujni bokserzy w pierwszej rundzie pojedynku o tytuł mistrzowski.

— Tak jest, Melvin, mówię o morderstwie.

— Jakim morderstwem? Mam kogoś, kto powie, gdzie byłem w czasie morderstwa. Policja już mnie przesłuchiwała.

— Założę się, że to jedna z dziewczyn albo Jackie. Przy słowie „Jackie” Meh/inowi drgnął policzek.

— Daj spokój, Melvin! Dobrze wiesz, że wszyscy okradaliście kościół. — Strzelałem na ślepo, ale z dużymi szansami na powodzenie. Istniało niewiele miejsc, gdzie Jackie Orr mógł położyć łapę na tysiącu dolarów. — Wszyscy braliście pieniądze. Towne dla migracji, Winona i ty dla Towne'a, a Jackie, no cóż, Jackie po prostu się załapał.

— Nie możesz udowodnić, że kogokolwiek zabiłem. Nie możesz mi też udowodnić żadnej kradzieży.

— Masz rację co do kradzieży. Nie mogę ci tego udowodnić, bo spaliłeś papiery za domem.

Twarz Melvina drgnęła w uśmiechu.

— Ale mogę cię przyszpilić za morderstwo.

— Do diabła, nie! Nigdy nikogo nie zabiłem!

— Może i nie, ale wystarczy, że powiem gliniarzom, a będą cię bić dotąd, aż się przyznasz. Takie są reguły gry, Melvin.

Odwrócił głowę, jakby chciał zerknąć za drzwi za jego plecami. Prowadziły pewnie do sypialni.

Oblizał wargi.

— Myślisz, że zabiłem Towne'a? To śmieszne.

— Ja się nie śmieję, Melvin. Chcę wiedzieć dlaczego. Pracujesz z Wenzlerem, czy co?

Albo wyraz twarzy Melvina był doskonałą kreacją aktorską, albo naprawdę nic nie wiedział.

— To ty najprawdopodobniej zabiłeś Towne'a, Easy. — W jego głosie brzmiała taka pewność, że oblał mnie zimny pot.

— Ja?

— Tak, ty. Mam na ciebie haka, Easy.

— Już to mówiłeś. Co to znaczy, Melvin?

— To znaczy, że ktoś cię zasypał, człowieku. Ktoś się wygadał.

— Kto?

— Nie powiem. Ale nie jestem sam, nie jestem jedynym, który wie, więc lepiej niech ci nie przychodzą do głowy głupie myśli. Wiem ja, wie Jackie, wie też biały.

Przemawiał z godnością. Naprawdę uważał mnie za mordercę.

Dopiero kilka dni później zrekonstruowałem dalsze wypadki.

Melvin przewrócił mnie z krzykiem:

— Masz jego, ale mnie nie dostaniesz! Poślizgnąłem się na dywanie. Melvin stanął nade mną i trzasnął mnie prawą pięścią w szczękę. Już padałem, więc spróbowałem się zgiąć i zejść mu z drogi. Uderzyłem o krzesło i runąłem głową na ziemię. Poczulem tępe uderzenie w lewe udo i zrozumiałem, że Melvin mnie kopał, chcąc mnie pewnie wgnieść w podłogę. Przeturlałem się w bok i wsunąłem nogi między jego stopy tak, że kiedy znowu chciał mnie kopnąć, przewrócił się w przód, a ja trzasnąłem go pięścią w skroń.

Runęliśmy razem, mocując się. Melvin gryzł i warczał jak pies. Jego atak był dziki, ale nie przemyślany. Bez przerwy grzmociłem go w kark, aż w końcu przestał zaciskać zęby na moim lewym ramieniu. Wstałem, trzymając go za koszulę. Byłem zły, ponieważ jego atak mnie przestraszył, a poza tym miałem obolałą twarz. Uderzyłem go resztką sił. Poleciał tyłem przez pokój; spodziewałem się, że upadnie, ale nie zatrzymał się i wybiegł z pokoju.

Początkowo sądziłem, że walka jest skończona. Cały gniew włożyłem w ostatni cios i znów się uspokoilem. Ale właśnie wtedy przypomniałem sobie, że Melvin już wcześniej zerkał na te drzwi.

Kiedy wpadłem do sypialni, odwracał się od nocnego stolika. W dłoni trzymał pistolet koloru węgla.

Po raz drugi tej nocy runąłem prosto na Melvina Pride'a.

Gipsowa ściana ustąpiła pod uderzeniem naszych ciał. Przypominało to wejście na lód, który załamuje ci się pod nogami. Melvin stęknął, a drewniane wsporniki jęknęły. Na policzek posypał mi się żwir, gdzieś w okolicy naszych talii szczeknął głucho pistolet.

Poczułem ukąszenie kuli i momentalnie odepchnąłem od siebie Melvina, żeby zasklepić ranę na piersi.

Byłem zlany krwią. Wiedziałem z doświadczeń wojennych, że wkrótce stracę przytomność. Melvin mnie zamorduje; wszystko skończone.

Potem usłyszałem, jak pada i mimo potwornego bólu w szczękach uśmiechnąłem się szeroko. Kula trafiła Melvina, a ja odczułem tylko odrzut towarzyszący wystrzałowi.

Wykrzywił twarz z bólu. Na koszuli powiększała się ciemna plama.

Łapczywie chwycił powietrze, a mimo to nie ustawał w wysiłkach, by podnieść pistolet i mnie zastrzelić. Wyjąłem mu broń z zakrwawionej ręki i rzuciłem na łóżko. Zwalisty facet jęknął ze strachu, a ja stanąłem nad nim w rozkroku. Tak bardzo bolały mnie szczęki, że nie miałem ochoty go uspokajać. Przedarłem poszewkę na pół, wsunąłem ją Melwinowi pod koszulę, aż znalazła się dokładnie nad raną.

— Trzymaj mocno — rozkazałem. Musiałem podnieść mu drugą rękę, żeby pokazać, co ma robić.

— Człowieku, nie zabijaj mnie — wyszeptał.

— Melvin, musisz się wziąć w garść. Jeśli nie oprzytomniejesz, dostaniesz szoku i umrzesz.

Przycisnąłem jego dłoń do rany, żeby mógł się skupić na bólu. Pistolet miał kaliber dwadzieścia pięć, więc postrzał nie był tragiczny.

— Nie zabijaj mnie, proszę, nie zabijaj mnie, proszę zawodził.

— Nie chcę, żebyś zginął, Melvin. Nie zabiję cię, chociaż powinienem po tym, co zrobiłeś.

Proszę — powtórzył. Schowałem pistolet do kieszeni, poszedłem do

łazienki, zmyłem krew z butów i mankietów czarnych spodni. Potem wziąłem płaszcz z szafy Melvina, którym się otuliłem, by zasłonić resztę plam. i

Na tyłach domu stał piec, a w nim płonęły rozmaite dokumenty z Pierwszego Afrykańskiego. Melvin próbował zatrzeć ślad, jaki zostawiła w księgowości kradzież zorganizowana przez niego i innych. To, co nie zdążyło spłonąć, zalałem wodą z węża.

Po powrocie do domu ujrzałem, że Melvin doczołgał się do kuchni i wspierał się na blacie.

Zrozumiałem, że szuka broni, więc usadziłem go na krześle. Potem podszedłem do kuchennego telefonu i wykręciłem numer Jackiego Orra. Odebrał po siódmym sygnale.

— Halo.

— Cześć, Jackie. Tu Easy, Easy Rawlins.

— Tak? — odezwał się podejrzliwie.

— Melvin oberwał kulę. — Po drugiej stronie panowała cisza. — Nie strzelałem do niego, człowieku, to był wypadek. Tak czy owak, ma kulę w ramieniu i potrzebuje lekarza.

— Nie ściągniesz mnie tam takim kłamstwem, Easy, nie jestem głupi.

— Niby czego miałbym od ciebie chcieć?

— Moich pieniędzy.

— Masz tysiąc dolarów w dolnej szufladzie, tak? Skoro ich nie wziąłem, to znaczy, że twoja forsa mnie nie interesuje.

— Dzwonię na policję, człowieku.

— Zrób to, Jackie. Mam tylko nadzieję, że jesteś przygotowany na więzienie. Zdobyłem wszystkie potrzebne dowody na to, że brałeś kościelne pieniądze. Ale masz, pogadaj z Melvinem.

Przysunąłem telefon do ucha Pride'a, żeby mogli wyszeptać sobie wszystkie lęki.

W drodze powrotnej do domu niemal zemdlałem od bólu w szczękach. Przebrałem się, wypłem kilka haustów brandy i znów wsiadłem do samochodu.

Jackson wciąż jeszcze przepuszczał moje pięć dolarów w barze Johna.

- Easy' - powitał mnie okrzykiem, kiedy szedłem przez salę. Odell podniósł wzrok znad drinka; skinąłem mu głową, a on ruszył do wyjścia.

Zwróciłem się więc do Jacksona.

- Jesteś mi potrzebny, Jackson - powiedziałem najszybciej, jak potrafiłem. Ból był nie do zniesienia.

John spojrział na mnie, ale kiedy nic nie powiedziałem,

- Wiesz, gdzie mógłbym znaleźć jakieś środki przeciwbólowe? - spytałem Jacksona.

- Tak.

Przy samochodzie dałem mu kluczyki.

- Prowadź, boli mnie ząb.

- Co się stało, człowieku? .

- Jeden gość dał mi w zęby. Rozwalił mi pierdoloną gębę!

- Kto? ,

- Jakiś facet chciał mnie obronie przed Migracją Afrykańską. Dołożyłem mu. O cholera, jak boli!

- Mam jakieś proszki w domu, jedziemy.

- Och - odparłem. Domyślił się chyba, że znaczyło to „tak”.

lackson miał proszki z morfiną. Zapewnił, że wystarczy jeden, ale połknąłem cztery. Zginałem się z bólu.

- Kiedy to zacznie działać, Jackson?

- Jeśli nic nie jadłeś, mniej więcej za godzinę.

- Za godzinę!

- Tak, człowieku, ale słuchaj. - Trzymał za szyję trzy czwarte litra Jim Beama. - Posiedzimy tu, napijemy się, pogadamy, a po chwili nie będziesz nawet pamiętać, że miałeś ząb.

Więc przekazywaliśmy sobie butelkę. Ponieważ był pijany, rozluźnił się do tego stopnia, że mógł mi powiedzieć wszystko. Opowiadał mi rzeczy, za które



wielu ludzi by go zabiło. Mówił o napadach z bronią w rękę, akcjach z nożem, zdradach małżeńskich. Wymieniał nazwiska, przedstawiał dowody. Jackson nie był tak złym człowiekiem jak Mouse; nie obchodziło go nic, dopóki mógł siedzieć i snuć opowieści.

— Jackson — przerwałem mu po pewnym czasie.

— Co, Easy?

— Co myślisz o ludziach z Migracji?

— Są w porządku. Wiesz, można się poczuć samotnym, kiedy się pomyśli, jak nam tu ciężko.

Niektórzy po prostu nie mogą o tym przestać myśleć.

— Jak to? O czym?

— O wszystkim, czego nie mogą zrobić, wszystkim, czego nie mogą mieć. Patrzą, jak życie biegnie obok i nic nie mogą na to poradzić.

Podał mi butelkę.

— Myślałeś kiedyś, żeby coś z tym zrobić? — spytałem drobnego, tchórzliwego geniusza.

— Dupy to niezła rzecz. Czasem upijam się i sram na progu białego. Takie wielkie, śmierdzące gówno. Roześmieliśmy się obaj.

— A co z komunistami? — spytałem po chwili. — Co myślisz o nich?

— No więc, Easy, to proste. Wiesz, że to zawsze ta sama śmierdząca historia. Tu masz ludzi, którzy już coś chwycili, na przykład pieniądze. A tu masz ludzi, którzy nic nie mają, ale bardzo czegoś chcą. No więc bankier i korporacja mają wszystko, a robotnik ma gówno na patyku. Robotnicy mają związki, które mówią, że robotnik wytwarza produkty, więc powinien dostawać pieniądze. To jest komunizm. Ale bogatym się to nie podoba, więc chcą ukrećić robotnikowi kark.

Byłem zdumiony, jak prosto to przedstawia Jackson.

— W takim razie — wywnioskowałem — jesteśmy po stronie komunistów.

— Nie, Easy.

— Jak to nie? Jestem pewien, że nie jestem bankierem.

- Słyszałeś kiedyś o czarnej liście? - spytał Jackson. Słyszałem, ale odparłem, że nie, bo chciałem usłyszeć, co ma do powiedzenia.

- To lista, którą mają bogaci. Jest na me, wiele różnych nazwisk, nazwisk białych ludzi. Są tam gwiazdy filmowe, pisarze, naukowcy. Jeśli czyjeś nazwisko tam jest, nie może pracować.

- Bo są komunistami.

Skinął głową.

- Mają tam nawet faceta, który wynalazł bombę atomową. Takiego ważnego gościa, Easy.

- No i co?

- Twojego nazwiska nie ma na te, liście, ani mojego. Wiesz dlaczego?

Potrząsnąłem głową.

- Nie potrzebują twojego nazwiska, żeby wiedzieć, że jesteś czarny, Easy. Wystarczy, że na ciebie spojrzą

i już wiedzą.

- No i co z tego, Jackson? - Byłem pijany, morfina zaczęła działać i czułem się tak, jakbym wpadał w szal.

- Pewnego dnia wyrzucą tę listę. Będzie im potrzebna jakaś gwiazda filmowa czy nowa bomba i wtedy wyrzucą listę. Większość z tych ludzi wróci do pracy. - Mrugnął do mnie. - Ale ty nadal będziesz czarnuchem, Easy. Czarnuch nie może liczyć na żaden związek. Za czarnuchem nie wstawi się żaden polityk. Może się tylko wysrać na progu i podetrzeć sobie czarną dupę czarną ręką.

## ***Rozdział trzydziesty drugi***

Obudziłem się u siebie z kacem i potężnym bólem. Ze spodni leżących na podłodze wyjąłem buteleczkę z morfiną i połknąłem trzy pigułki. Ruszyłem do łazienki, żeby zetrzeć brud i zapach minionej nocy.

Słowa Jacksona tkwiły mi w głowie jak ból zęba. Nie stałem po żadnej stronie. Ani po stronie stukniętego Craxtona i jego kłamstw, ani Wenzlera, jeśli w ogóle istniała jakaś strona Wenzlera. Rozważałem wizytę u dentysty. Nie zdążyłem jeszcze zajrzeć do książki telefonicznej, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

Była to Shirley Wenzler w jeszcze gorszym stanie niż ja.

— Panie Rawlins — zaczęła; trzęsła się jej dolna warga. — Przyszłam tu, bo nie wiedziałam... To znaczy, co innego miałam zrobić?

— Co się dzieje?

— Proszę iść ze mną, panie Rawlins, proszę. Tata, jemu coś się stało, jest ranny.

Wciągnąłem spodnie i bezrękawnik. Zaprowadziła mnie do samochodu.

— Dokąd?

— Santa Monica — odparła.

Spytałem, czy wezwała lekarza, ale powiedziała, że nie.

Po drodze udzieliła mi dalszych informacji. Byłem obolały, miałem mdłości, więc jej nie ponaglałem.

Jeśli Chaimowi potrzebny był lekarz, mogłem to stwierdzić na miejscu.

Był to mały dom naprzeciwko parku. Park także był niewielki: tylko jeden porośnięty trawą pagórek, wznoszący się do ulicy po przeciwnej stronie. Żadnych drzew ani ławek. Tylko pagórek, z którego mogło się turlać dwoje dzieci udając, że straciły równowagę.

Spodziewałem się, że Shirley trzyma klucz w dłoni, ale po prostu pchnęła drzwi i weszliśmy.

Kuśtykałem za nią. Morfina stepiła ból szczęki, ale teraz zacząłem odczuwać, jak krucha jest moja lewa kostka i udo.

Wnętrze domu urządzone w jakimś chłodnym, matowym kolorze, zielonym czy niebieskim. Sufit był tak niski, że pamiętam, jak schyliłem się przechodząc z salonu do sypialni.

Tutaj dominującym kolorem była czerwona śmierć.

Chaim pochylał się na krześle. Większość krwi znajdowała się tuż pod nim, ale widać ją było także na szafce w łazience. Krew na telefonie, w otworach tarczy; krwawe odciski palców na ścianie. Przeszedł przez cały pokój, wspierając się na zakrwawionej ręce.

Obok niego leżała jasnozielona poduszka zachlapana krwią. Najwyraźniej przyciskał ją do piersi, próbując zatamować krwotok; wiedział pewnie jednak, że to na nic.

Shirley miała szeroko otwarte oczy, tarła ręce. Wypchnąłem ją z powrotem przez drzwi. Wtedy zauważyłem kilka kropli krwi na dywanie w salonie. Nie zauważyłem ich wcześniej w mroku.

— On nie żyje — powiadomiłem Shirley. Mimo że już wiedziała, chciała, żeby ktoś potwierdził jego zgon.

W drzwiach widniały dwie nieduże dziury po kulach małego kalibru. Możliwe, że ktoś zapukał, a kiedy Chaim zapytał, kto to, zastrzelono go przez jego własne drzwi.

— Chodźmy do samochodu — powiedziałem. Próbowałem wytrzeć wszystko, czego dotykałem, ale nigdy nie można mieć pewności, gdzie zostawi się odcisk palca. Kiedy wychodziliśmy z domu, opuściłem nisko głowę; w samochodzie ledwo widziałem drogę przed

nami. Wyprostowałem się dopiero wtedy, kiedy byliśmy daleko.

Zatrzymaliśmy się w małej kawiarni przy Venice Beach. Niewielka salka z piaskiem na podłodze, sieciami i muszlami zawieszonymi na suficie. Siedzieliśmy przy oknie wychodzącym na brzeg morza.

Był chłodny poranek; nikt się jeszcze nie pojawił.

— Kiedy go znalazłaś?

— Dziś rano. Tata... — Stłumiła szloch. — Chciał, żebym mu coś przyniosła.

— Co?

— Pieniądze.

— Skąd wiedziałaś, gdzie mnie znaleźć?

— Zadzwoiłam do kościoła.

Zamówiłem dla siebie kawę. Musiałem pić bardzo ostrożnie, bo kiedy płyn spływał po niewłaściwej stronie, czułem przeszywający ból zęba.

— Po co potrzebował pieniędzy?

— Easy, on musiał uciekać, rząd go poszukiwał.

— Rząd? — spytałem, jakbym nigdy nie słyszał o FBI.

— Tata jest członkiem Partii Komunistycznej — powiedziała, patrząc w dół na zaciśnięte pięści. —

Miał coś, jakieś dokumenty, FBI go prześladowało. Ostatnim razem, kiedy przyszli, zeszłej nocy, zapowiedzieli, że wrócą. Tata myślał, że go zaaresztują, więc prosił, żebym przyniosła mu pieniądze.

— Ci ludzie, których widziałem przed twoim domem w zeszłym tygodniu, to było FBI? — spytałem, żeby sprawdzić co powie. — Tak.

— Co takiego miał Chaim? — Wyglądało na to, że nie chce mówić, więc dodałem: — On nie żyje, Shirley. To, co robimy teraz, robimy dla ciebie.

— To jakieś plany. Dostał je od pewnego człowieka z Zakładów Lotniczych Championa.

— Jakie plany?

— Tata nie wiedział, ale sądził, że to rodzaj broni.

Był pewien, że rząd produkuje broń mogącą zabijać więcej ludzi. Tata nienawidzi broni atomowej. Uważa, że przez imperializm Amerykanie zabijają jeszcze miliony ludzi. Mówi, że te plany dotyczą nowego bombowca, może do bomb atomowych.

Niepokoił mnie fakt, że mówi o ojcu, jakby wciąż żył, ale nie wiedziałem, jak mógłbym temu zaradzić.

— Co miał zamiar z nimi zrobić? Płacząc, potrząsnęła głową.

— Nie wiem — jęknęła — nie wiem.

— Musisz wiedzieć.

— Dlaczego? Dlaczego to takie ważne? On nie żyje.

— Nie znałem Chaima zbyt długo, ale był moim przyjacielem. Chciałbym wiedzieć, że nie był zdrajcą.

— Ale on nim był, panie Rawlins. Wierzył, że taki rząd jak nasz chce tylko prowadzić wojnę. Chciał zdobyć plany amerykańskiej tajnej broni i przekazać je socjalistycznej gazecie, na przykład we Francji, żeby wszyscy mogli o tym przeczytać. Chciał to zrobić, żeby wszyscy uświadomili sobie zagrożenie. On... — Znowu się rozplakała.

Chaim był moim przyjacielem, a teraz nie żył. Poinsettia była moją lokatorką i też już nie żyła. W ten czy inny sposób ponosiłem odpowiedzialność za ich śmierć. Nawet jeśli moja wina polegała tylko na zatajeniu prawdy albo nieokazaniu współczucia.

Drżała, więc położyłem dłoń na jej dłoni.

Biały kucharz wyszedł zza kontuaru, a kilku ludzi odwróciło się od stolików, żeby się nam przyglądać. Shirley tego nie zauważyła.

— Easy, on chciał się wynieść z kraju.

— A my musimy się wynieść stąd — odparłem.

Kiedy wróciliśmy do mego domu, zaprosiłem Shirley do środka. Nie wiem dlaczego. Byłem brudny, obolały; ostatnią rzeczą, której pragnąłem, było zabawianie białej kobiety, ale zaprosiłem ją, a ona za-

proszenie przyjęła. Ruszyliśmy więc pośród dalii, ziemniaków i truskawek, ścieżką do domu. Kiedy szukałem w kieszeni klucza, spojrzała mi w oczy. Zatrzymałem się, popatrzyłem na nią i postanowiłem ją pocałować. Nachyliłem się, tak jakoś szybko...

To nie strzał wyprowadził mnie z równowagi.

Ani dziura w moich drzwiach, ani samochód ruszający na ulicy; nawet nie krótki okrzyk ani wyraz twarzy Shirley Wenzler, ten wyraz, który może złamać człowiekowi serce. Nie chodziło też o pecha, wybite zęby, ani resztki kaca, ani wiatr szepczący mi na ucho o śmierci. Nie wściekłem się z powodu koncepcji politycznych, których nie rozumiałem i które mnie nie obchodziły.

Wściekłem się na myśl o tym, że wszystko to mnie spotyka, bo nie jestem panem samego siebie. Nie wiedziałem nawet, kto do mnie strzelał przed moim własnym domem! Ludzie wieszani i ginący od kul bez żadnego wyraźnego powodu — oto co mnie wściekło. Naprawdę wściekło. Na widok Shirley poczułem coś na kształt erekcji, podczas gdy tak naprawdę potrzebowałem snu, dobrego dentysty i łagodnej śmierci z rąk zazdrosnego męża albo gliniarza rasisty.

Podobnie jak większość mężczyzn pragnąłem wojny, na którą mógłbym wyruszyć i walczyć. Nie tego bezcelowego pomieszania krwi i niewinności.

Stałem tak, patrząc na przestraszoną twarz Shirley. Objąłem ją i uspokoilem.

— Już dobrze.

Potem zaprowadziłem ją do domu, nie oglądając się nawet za człowiekiem, który do nas strzelał.

Zdecydowałem, że kimkolwiek był, już nie żył. Miałem zamiar zacząć go zabijać od stóp.

Kimkolwiek był, miał pamiętać o mnie w piekle.

— Czy myślisz, że to był rząd? — wyjąkała Shirley, a ja doradziłem jej łyk whisky.

— Pewnie tak — odparłem, nie wierząc własnym słowom. — Boją się, że uciekniesz z tymi papierami.

— Och, Easy! — Złapała mnie za ramię. — Co możemy zrobić?

— Musisz zwiewać i to szybko.

— Dokąd? Dokąd mam uciekać?

— W centrum jest taki hotel, Filbert. Idź tam i wynajmij pokój. Powiedz, że nazywasz się Dianę Bowers. Miałem kiedyś taką dziewczynę. Zadzwoń do mnie, kiedy tam dotrzesz. Może mnie tu nie być, wtedy zadzwonię do ciebie. Będę cię szukał właśnie pod tym nazwiskiem: Dianę Bowers. Zadrżała i przysunęła się bliżej.

— Pozwól mi trochę zostać, zanim pójdę. Za bardzo się boję, żeby prowadzić.

Więc zdjeliśmy wszystko oprócz bielizny i mojego pistoletu. Leżeliśmy w łóżku przytuleni do siebie, aż przestała drżeć i zasnęliśmy. Tulilem ją mocno, bardziej dla własnego niż jej ukojenia.

Śniło mi się, że obok łóżka, na którym umarła moja matka, znajduje się ukryta zapadnia. Spadałem długo korytarzem podobnym do studni. Na dnie płynęła długa rzeka, ale ja wiedziałem, że to ściek pełen białych ludzi, którzy mnie szukają. Czasem zmieniali się w krokodyle, które szukały mnie pod wodą; czasem krokodyle zmieniały się w ludzi. Kryłem się, przylegając do kamiennej ściany. Co chwila podświadomie wciskałem się w jej załomy, za każdym razem czując w ścianie ból. Był potworny. Na wpół się rozbudziłem, masując szczękę w miejscu, gdzie Melvin złamał mi ząb. Skrzywiłem się z bólu, budząc się prawie na widok Mofassa, który śmiał się za biurkiem i pytał, jak to możliwe, że urząd podatkowy mnie wypuścił. Zobaczyłem, jak obgaduje Poinsettię i odmawia pomocy w przepisaniu na niego moich domów.

Sny to wspinała rzecz, ponieważ są innym sposobem myślenia. Obudziłem się na krótką chwilę z jasnym planem działania. Wiedziałem, kto zabił Poinsettię i dlaczego. Nawet we śnie to wiedziałem; nawet we śnie snułem plan zemsty.



## Rozdział trzydziesty trzeci

Zaczelismy się całować we śnie. Namiętnie, niezdarnie, nieświadomie. Po przebudzeniu nadal całowaliśmy się gorąco; nie chcieliśmy, żeby cokolwiek się zmieniło. Wstała i zaczęła spacerować po pokoju, może tak, jak dawniej jej ojciec. Podszedłem i pocałowałem ją znowu. Przycisnąłem ją do ściany, a Shirley otoczyła mi biodra nogami i mocno przyłgnęła.

Nie przypominało to seksu, raczej rodzaj spazmu, jak wymioty czy skurcz. Wydawaliśmy okrzyki bokserów przyjmujących ciosy.

Nie szeptaliśmy o miłości. Przed końcem nie mówiliśmy nic.

Później powiedziałem tylko, że zadzwonię do hotelu Filbert najszybciej, jak będę mógł. Dałem jej numer Etty i powiedziałem, żeby tam zadzwoniła, gdyby nie mogła się ze mną skontaktować.

— Powiedz Etcie, czego potrzebujesz i powiedz, że proszę, by zawiadomiła Mouse'a.

— Kogo?

— Mojego przyjaciela.

— A, pamiętam. — Shirley po raz pierwszy się uśmiechnęła. — To ten, o którym mówiłeś, że przypomina tatę.

— Tak, zgadza się.

Nie wiedziałem, co będzie z Shirley. Mogłem myśleć wyłącznie o zemście; sądziłem, że wiem, jak się do niej zabrać.

Zapadał zmierzch, kiedy odprowadziłem ją do samochodu. Bez przerwy udawałem, że wypatruję złoczyńcy, ale wiedziałem, że tamten strzał był przeznaczony dla mnie. Wiedziałem też, kto strzelał. W żyłach miałem lód.

Primo mieszkał we wschodnim Los Angeles, w dzielnicy meksykańskiej. Dawniej miał duży dom, gdzie wynajmował pokoje nielegalnym imigrantom, ale przyczepiła się do niego inspekcja sanitarna i musiał zamknąć interes. Wyłożył więc trzysta dolarów na piętrowy dom przy Brooklyn Boulevard w Boyle Heights, gdzie wyburzył wszystkie ściany na parterze. Primo, jego żona Flower i jedenaścioro dzieci mieszkali na piętrze, a na dole prowadzili nieformalną kafejkę.

Było to mroczne pomieszczenie z nagimi, niewykończonymi belkami, dawniej ukrytymi w ścianach. Tu i tam porozstawiali stołki i krzesła od różnych kompletów. Flower pochodziła z Panamy, ale na tyle znała się na kuchni meksykańskiej, że jej *burrito* z jajkiem i ziemniakami i smażone kielbaski wyciskały mi łzy z oczu. Wszyscy meksykańscy pracownicy w promieniu pięciu kilometrów przychodzili do Prima na lunch. Tuż obok sprzedawano tequilę i piwo; zapachy były tak cudowne, że człowiek mógł pomyśleć, że znalazł się z powrotem w ojczystych stronach.

Było już późno, kiedy tam dotarłem, ale wiedziałem, że znajdę rodzinę na dole. Kolacja u Prima zaczynała się około piątej i ciągnęła się do czasu, kiedy starsze dzieci prowadziły na górę młodsze, śpiące rodzeństwo.

— Easy! *Holal* — krzyknęła Flower, kiedy wsunąłem głowę przez drzwi. Nigdy nie pukałem w czasie rodzinnych zgromadzeń, bo w tym hałasie nikt by nie zwrócił uwagi na tak delikatny odgłos.

Przeszła przez duży pokój i zamknęła mnie w miękkim uścisku. Flower była większa niż EttaMae. Najwyraźniej była Murzynką, ale wszyscy uważaliśmy ją

za Meksykankę, bo pochodziła z południowej strony granicy i kiedy się rozzłościła, przeklinała Hiszpanów.

— Easy! — odezwał się Primo. Uścisnął mi rękę i klepnął w ramię. — Niech ktoś przyniesie mi drinka. Jesus! To twój ojciec chrzestny, Ezekiel! Przynies mu butelkę piwa.

Cichy, nieśmiały, mały chłopiec zerwał się i ruszył slalomem do kuchni na zapleczu, wymijając przeszkody w postaci dzieci, psów i mebli. Jesus Peña. Większość dzieci Peña miało skórę o barwie jasnego miodu, jak ojciec, oraz duże oczy jak księżyce. Jednak Jesus miał ciemniejszą skórę i bardziej azjatyckie oczy. Nie był ich rodzonym dzieckiem. Kiedyś zastałem go na wyjadaniu mąki z papierowej torby. Był wykorzystywany przez złego, białego człowieka, który zapłacił za zło kulą w serce. Przywiozłem Jesusa do Prima i Flower. Zajęli się nim, pod warunkiem że go zabiorę, jeśli cokolwiek im się stanie. Spisaliśmy dokumenty; Jesus został moim chrześniakiem. Byłem z niego dumny, bo był mądry, silny i kochał zwierzęta. Miał tylko jeden feler: nie chciał mówić. Nie wiedziałem, czy pamiętał cokolwiek z przeszłości, bo nigdy nie udało mi się namówić go do opowiadania. Ilekroć go o to pytałem, tulił się do mnie, całował i uciekał.

— Co się stało, Easy? — spytał Primo.

— Czy coś się musi stać, żebym odwiedził przyjaciół i chrześniaka?

— Coś się musiało stać, skoro masz taką wielką szczękę.

Musiła spuchnąć, kiedy się zdrzemnąłem.

— Biłem się — wyjaśniłem — ale wygrałem. Flower zmarszczyła brwi. Trąciła mnie w twarz palcem i poczułem, że chyba zemdleję.

— To zakażenie. Musisz to komuś pokazać, albo będzie źle — ostrzegła.

— Jak tylko załatwię pewną sprawę.

— To ten ząb cię załatwi — powiedziała rozszerzając oczy.

Dzieci roześmiały się i zaczęły małpować jej miny.

- Dobra! - krzyknął Primo, a potem wrzasnął coś po hiszpańsku i zamachał rękami, jakby nakazywał wiatrowi zdmuchnąć dzieci na górę.

Gromada początkowo się opierała, ale Primo zaczął krzyczeć i wymierzać klapsy. ,

Flower zaprowadziła dzieci na górę, odwróciła się i ujrzała, że Primo na nią macha.

- Ty też, kobieto. Easy chce ze mną pomówić.

Flower zaśmiała się, pokazała język, potem odwróciła się i wypięła na nas tyłek. Pobiegnęła na górę, zanim Primo zdążył w nią czymś rzucić.

Wyjąłem małą butelkę, którą dostałem od Jacksona Blue. Zostało może pięć czy sześć tabletek.

— Co ty łykasz, Easy? — Morfinę.

Zrobił minę, jakby się dusił.

- To świństwo, człowieku. Widziałem to podczas wojny na Pacyfiku. Dają to chłopakom, aż w końcu wpadają w kanał.

Morfina przestawała działać. Czułem, jakbym miał w gębie goryla.

- Mam poważny problem, Primo. Kiedy go rozwiążę, może pójdę do dentysty.

— Co się stało?

- Ktoś się do mnie przyczepił, człowieku. Muszę go znaleźć i zabić.

— Kto to?

- Nie powiem ci, Primo. Jeśli nic nie będziesz wiedział, nikt nie będzie cię mógł oskarżać o morderstwo. Myślę, że brak snu, ból, morfina i alkohol - wszystko razem składało się wtedy na moje szaleństwo. Wiedziałem, że Primo nie uważa mojego zachowania za racjonalne, bo mówił cichymi, krótkimi zdaniami. Nie śmiał się, nie opowiadał dowcipów, jak zazwyczaj.

— Więc co mógłbym dla ciebie zrobić?

— Możliwe, że po zakończeniu całej sprawy ja i moja

dziewczyna, EttaMae, będziemy musieli zniknąć. Pomyślałem, że może chciałbyś pojechać na wakacje do Meksyku, do tego miasteczka w głuszy, o którym zawsze opowiadasz.

Primo uwielbiał opowiadać o Anchou. Miasteczko leżało w środkowym Meksyku i nie figurowało na żadnej mapie. O jego istnieniu wiedzieli tylko ludzie, którzy stamtąd pochodzili oraz ci nieliczni, których tam zaproszono. Primo mówił, że kiedyś miasteczko było ruchome: kiedy wiedzieli, że nadchodzi kłopoty, pakowali się i przenosili o kilka godzin drogi. Władze federalne nie chciały zadzierać z Anchou. Primo mówił, że kobieta z Anchou mogła odgryźć fiuta policjantowi i dać mężowi jako amulet miłosny.

— Czemu po prostu nie pojedziesz do Teksasu? Nie znajdą cię tam.

— Nie mogę. W sprawę zamieszany jest rząd. Od przekroczenia granicy stanowej dopiero zaczynają pracować.

Pan Pena przyglądał mi się przez moment, marszcząc brwi. Upił łyk piwa i marszczył się jeszcze trochę. Masowałem szczękę.

— Weź te proszki, Easy — powiedział wreszcie. Wziąłem trzy i popiłem piwem, które przyniósł Jesus. W butelce zostały jeszcze trzy.

— Weź wszystkie — ponaglił Primo.

— To ostatnie.

— Ja mam. Weź, żeby zupełnie przestało cię boleć. Połknąłem resztę z nadzieją, że ból przejdzie i będę się mógł wyspać przed zadaniami jutrzejszego dnia.

— Mam tu pięćset dolarów powiedziałem. Wyjąłem z kieszeni zwiniętą kopertę i wręczyłem Primowi.

Pieniądze zawsze go śmieszyły. Im więcej ich miał, tym głośniej się śmiał. Liczył teraz dziesiątki i dwudziestki, które chomikowałem w ścianach. Po każdym banknocie jego uśmiech stawał się szerszy, a oczy bardziej błyszczące.

Może to przez te narkotyki, ale przestraszyłem się

nagle, że Primo na nic mi się nie zda. Może stanowił część mojego pecha?

- Pomożesz mi, człowieku? - spytałem.

W moim głosie musiał zabrzmieć lęk, bo odparł

z powagą:

— Tak

Wręczył mi gliniany dzbanek stojący przy jego krześle.

— Tequila? — spytałem.

Wypiłem łyk. Musiał to być mocny alkohol, bo poczułem go nawet przez spowijającą moją umysł opiatową mgłę.

Primo opowiadał o Anchou.

- To stare miasteczko. Czterdzieści lat temu był tam naczelnik, który walczył u boku Zapaty, zanim go powiesili.

Co parę minut Primo wyciągał rękę i trącał mnie w szczękę. Kiedy mówiłem, że boli, podawał mi dzbanek. W końcu ból zniknął. Primo znowu się śmiał. Po pewnym czasie Flower zeszła do nas i przyłączyła się do picia. Dotrzymywała mi towarzystwa, podczas gdy Primo szperał w starych pudłach w kącie. - To świetna kobieta, Primo - oznajmiłem, kiedy wrócił. Trzymał w dłoni coś na kształt nożyc ogrodniczych.

- Znalazłem - powiedział.

- Tak - ciągnąłem. Słyszałem go, ale byłem zbyt skupiony na własnym biegu myśli. - Mam taką kobietę w jednym ze swoich domów. Ma silną rękę, tak jak twoja, i pachnie słodkimi kwiatami.

Pochyliłem się do przodu i, jeśli dobrze pamiętam, próbowałem pocałować panią Peña w usta.

Wylądowałem na niej i uniosłem się mniej więcej do poziomu jej ramienia, kiedy pokój nagle zawirował. Znalazłem się na podłodze. Leżałem na plecach, a Flower przyciskała mi ręce mocno do ziemi.

— ...mój kuzyn był dentystą w Guadalajara, wiele lat temu. Do dziś mam jego narzędzia — mówił Primo. Żołądek brykał mi na wszystkie strony i gdyby nie uścisk pani Peña, poszedłbym w jego ślady.

— Otwórz szeroko, Easy — polecił Primo. Jedną dłonią zatkał mi nos, a w drugiej trzymał upiorny sekator. W istocie były to wydłużone szczypce z kleszczami na końcu.

— To ten — powiedział Primo, marszcząc czoło. Wtedy właśnie zacząłem walczyć. Nie mogłem krzyczeć z powodu tego przekłętego narzędzia; nie mogłem się obrócić z powodu uchwytu Flower. Za to wierzgnąłem. Garbiłem się i wierzgałem pod Primem, jakby to była moja pierwsza miłosna noc. Walczyłem z nim, gryzłem, aż w końcu opadłem z sił i poczułem, jak coś na kształt głązów wtacza mi się do ust.

Jesus Peña klęczał przy mojej głowie. Wpatrywał mi się uważnie w twarz, a kiedy ujrzał, że otworzyłem oczy, uśmiechnął się. Zobaczyłem, że brakuje mu zęba i przesunąłem językiem w kierunku bólu w ustach, w każdym razie tam, gdzie przedtem czułem ból. Napotkałem gazę o gorzkim smaku.

Usiadłem i wyplułem gazę na podłogę. Jesus odskoczył jak przestraszony kotek. Gaza miała kształt zęba; była pokryta małymi gałązkami i listkami, poplamiona krwią.

Krew przypomniła mi o stopach Poinsettii na podłodze w jej mieszkaniu i śladach rąk na ścianach w mieszkaniu Chaima. Ześlizgnąłem się z kanapy. Ułożyli mnie za pudłami na zapleczu knajpki. W środku siedziało już kilku ludzi; jedli pszenne tortille z masłem i pili piwo na śniadanie.

Pamiętam, jak pomyślałem: przynajmniej jest dopiero rano.

Po mojej prawej stronie, przy piecu, stała Flower. Uśmiechała się do pary unoszącej się z czarnego czajnika.

— Chodź tu, Easy.

Wręczyła mi miskę rosółu pokrytego warstwą małych krakersów. Na dnie leżało roztrzone jajko.  
— Zupa czosnkowa — uśmiechnęła się.

Usiałem przy niej na stołku. Po pierwszej łyżce poczułem, że się duszę, ale jadłem dalej. W ostatnich dniach niewiele jadłem, a uznałem, że siła mi się przyda.

Przez okienko na zapleczu wpadało do kuchni słońce. W jego promieniach, jak ławica małych srebrnych rybek, szybowały strzępki kurzu. Pomyślałem o mieszkaniach przy ulicy Magnolii, o Mofassie brązowym jak gówno, który podciąga się na wysokie schody.

Po chwili mój żołądek się uspokoił. Ledwo czułem dziurę po zębie.

— Trzymaj — powiedziała Flower, wyciągając do mnie garść torebek herbacianych. — Kiedy poczujesz ból, gryź jedną z nich, aż przejdzie.

Schowałem torebki do kieszeni.

— Gdzie Primo? — spytałem.

— Pojechał spotkać się z bratem w San Diego. Zamieszkają tu, kiedy będziemy na Południu.

A więc wcielali plan w życie.

— Dzięki za ten ząb, Flower. Byłem chyba trochę nieprzytomny przez ból i prochy.

— Kochamy cię, Easy — odrzekła.

Z trudem powstrzymałem się od płaczu.



## Rozdział trzydziesty czwarty

Po powrocie do domu wziąłem długi prysznic i odzyskałem równowagę ducha. Żądza mordy ucichła w moim sercu. Tkwiła tam nadal, ale łagodniejsza, mniej natarczywa. Długo się wycierałem i ubierałem. Napawałem się pięknem kształtów moich orzechowych krzeseł, spiralną strukturą klepki w sypialni.

Założyłem ładne, brązowe spodnie, które kiedyś kupiła mi dziewczyna i które miałem na sobie tylko raz, oraz czerwoną koszulę z Jamajki, ręcznie malowaną w wielkie liście palmowe. Poza tym włożyłem białe nylonowe skarpetki i plecione, czarne buty ze skóry. Trzydziestka ósemka dopełniła ubioru. Tkwiła niewidocznie, zatknięta za spodnie pod obszerną czerwoną koszulą.

Kiedy się ubrałem, wyszedłem na podwórze, żeby nacieszyć oczy widokiem ogrodu. Przez pół godziny siedziałem na żelaznym krześle, niewidoczny z ulicy, patrząc, jak sójka tańczy w trawie. Skakała, dumna i szczęśliwa, w wilgotnej trawie, która w ostatnich tygodniach trochę zanadto urosła. Nigdzie w pobliżu nie dostrzegała wroga i to wystarczyło jej do szczęścia.

Pomyślałem o meksykańskiej głuszy. Brzmiało to obiecująco.

Roberta Jefferson, siostra Mofassa, nie mieszkała daleko. Ona i jej mąż George mieli mały domek. Oboje pracowali w Wydziale Oświaty w Los Angeles. On

zajmował się dostawami, a Roberta szykowała śniadanie w szkole średniej Lincoln. Zastałem ją w domu. Okrągła, brązowa twarz owinięta wielką, żółtą chustą. Powoli szedłem do drzwi. Prasowała koszule. W powietrzu rozchodził się zapach gotowanej kapusty. Przy siatkowych drzwiach unosiły się tuziny fosforyzujących, zielonych much, które ten zapaszek uwielbiają.

Nie trzeba było pukać.

— Cześć, Easy. Jak leci?

— W porządku, Ro, zupełnie dobrze. Stałem w progu. Nie śpieszyłem się; czekałem.

— Wejdz, kochanie. Co cię sprowadza?

— Po prostu szukam Mofassa.

— Nie widziałam go od dwóch czy trzech dni. Ale wiesz, czasem nie pokazuje się przez cały miesiąc.

— Tak. — Przysunąłem sobie wysoki stołek. — Zostawił mi kartkę, żebym wyniósł lodówkę z jednego z mieszkań, ale nie napisał, z którego. Wiesz, nie chciałbym zabierać lodówki jakiemuś biedakowi. Mógłbym go pozbawić ostatniego kotleta mielonego.

Roześmieliśmy się miło, po czym Roberta powiedziała:

— Nie widziałam go, Easy, ale na pewno się pokaże. Wiesz, że mały Billy nikomu nie ufa i będzie chciał się upewnić, że wszystko zrobiłeś, jak należy.

— Tak go nazywasz?

— Tak, mały Billy Wharton. — Zaśmiała się. — Dlatego nie lubi nas odwiedzać: nie daję mu zapomnieć jego prawdziwego imienia.

— No tak.

Zapytałem Robertę o męża i dzieci. Wszystko było w porządku. George Junior właśnie przeszedł ospę wietrzną, a Mozelle zaczęły rosnać piersi i domagała się także dzidziusia. Wszystko w normie.

Roberta powiedziała, że Wydział Oświaty zatrudnia ludzi i może nadszedł moment, żebym przyjął stałą posadę. Odparłem, że sobie to przemyślę.

— Twoja mama mieszka w Luizjanie, prawda Ro? — spytałem, żeby zamknąć temat rodziny.

— Nie ruszy się stamtąd do śmierci.

— Ile ona ma teraz lat?

— Jest tak blisko siedemdziesiątki, że mogłaby jej dotknąć, ale zawsze mówi, że sześćdziesiąt dwa. Trzeba przyznać, że wygląd pozwala jej na takie kłamstwo. Moja starsza siostra Regina powiedziała mi wczoraj, że mama ma nowego chłopaka.

— W wieku siedemdziesięciu lat! — krzyknąłem zgorzony.

— Wygląda na to, że jeszcze jest na chodzie.

— Musi być zdrowa.

— Silna jak byk — potwierdziła Roberta. Wymieniliśmy jeszcze trochę uprzejmości, po czym się pożegnałem.

Pojechałem na ulicę Magnolii. Przypominało to podróż w przeszłość. Nic się tam nie zmieniło. W rynsztoku zobaczyłem aluminiową folię po gumie do żucia, którą widziałem ostatnim razem.

Zdumiewała mnie myśl, że te mieszkania nadal należą do mnie. Kto mnie zastępował podczas tej długiej nieobecności?

— Dzień dobry, panie Rawlins — przywitała mnie pani Trajillo.

— Dzień dobry. Jak się dziś pani miewa? Uśmiechnęła się w odpowiedzi, a ja podszedłem do jej okna. Na ścianie w głębi wisiał portret Chrystusa. W rozciętej piersi czerwieniało serce w wieńcu cierniowym. Patrzył na mnie, wyciągając dwa palce, jakby mówił: „Krocz powoli, synu, znajdź swoją nemezis”. — Czy policja jeszcze tu przychodziła? — spytałem.

— Zaplombowali mieszkanie i pytali wszystkich, kto lo zrobił.

— Dowiedzieli się? Znaleźli mordercę?

— Nie sędzę, panie Rawlins, ale pytali dużo o Mo-fassa i o pana.

— Mofass był tu wtedy?

— Nie widziałam go. Powiedziałam temu miłemu,

czarnemu oficerowi, że pan Mofass nie wślizgnąłby się przez okno.

Chyba, że na brzuchu, jak wąż — pomyślałem.

— Powiedziałam im wszystko, co widziałam, panie Rawlins. Byli tu tylko mieszkańcy, listonosz z przesyłką poleconą i biały agent ubezpieczeniowy.

— Jaki agent?

— Po prostu biały mężczyzna w starym garniturze. Mówił, że sprzedaje ubezpieczenia na życie. — Pani Trajillo prychnęła. — Okrada ludzi, ot co. — Nie przepadała zbyt za białymi.

— Pani też chciał sprzedać?

— Nie byłam zainteresowana, ale chodził od drzwi do drzwi, próbując kogoś obrabować.

— I to wszystko, tak? — Nie interesował mnie agent ubezpieczeniowy.

— Chyba tak, panie Rawlins. Ten biały policjant sprawdzał drzwi na zapleczu. Mówił, że wyglądają, jakby ktoś niedawno się tamtędy włamywał.

Podziękowałam jej i pożegnałam się. Musiałem mieć jednak ponurą minę, bo dodała:

— Niech pan na siebie uważa, panie Rawlins. Kiedy ktoś umiera, nie ma w tym niczyjej winy.

— Nie?

— Tylko Bóg odbiera życie. Powstrzymałem uśmiech, jak wilka w klatce.

**Po** powrocie do domu nadal czułem się brudny, więc wziąłem długą kąpiel. Chciałem być czysty, doskonały. Postawiłem przy\*wanie krzesło, a na nim położyłem trzydziestkę ósemkę. Zostawiłem drzwi otwarte i zapalone światła. Cienie będą moim systemem alarmowym.

Zadzwoiłem do Dupreego, ale Mouse wyszedł bawić się z LaMarkiem.

Istniała jeszcze szansa na to, żebym mógł zostać w Los Angeles. Polegała na umiejętnym rozegraniu sprawy tajnych dokumentów.

Ubrałem się w ciemne, robocze ubranie, napełniłem pistolet-sikawkę amoniakiem, zapakowałem płótno, którego używałem do malowania, a w sklepie na rogu kupiłem trzy steki. Potem pojechałem na cmentarzysko samochodów do Vernon i wszedłem od tyłu, bo było już ciemno i bramę zamknięto. Prześlizgnąłem się między drutami kolczastymi, owinąwszy je przedtem płótnem. Nie miałem czasu czekać, aż otworzą.

Cmentarzysko tworzyły szerokie szpalery samochodów. Przekopałem się przez trzy alejki, kiedy wytropiły mnie psy. Ujrzałem je za załomem: potwór-bokser i wilczur. Pierwszy pędził warcząc na mnie, jego brat tuż za nim. Trysnąłem im w pyski amoniakiem. Pies prędzej odgryzłby sobie ogon, niż nałykał się trucizny.

Papiery znalazłem w miejscu opisanym przez Andre. Leżały za fotelem starego Dodge'a, ciężarówki, w skórzanym notatniku zapinanym na suwak. Wsadziłem je pod ramię, myśląc o tym, jak Chaim chował je w tym samochodzie. Tak naprawdę to nie pożegnałem się nawet z przyjacielem.

Kiedy dotarłem do okrytego płótnem ogrodzenia, psy znowu były przy mnie. Bokser szczerzył zęby i warczał, ale zachowywał się czujnie; trzymał się za trzema czy czterema pozostałymi. Wyjąłem sikawkę i trysnąłem w pysk pierwszemu — żadna rasa do niego nie pasowała.

Zwiewał, aż się kurzyło, a tuż za nim reszta. Wkrótce miałem całą przygodę za sobą, wyniósłszy z niej tylko drobne zadrapanie: efekt otwierania drzwi ciężarówki. Steki zostawiłem na ziemi przy ogrodzeniu. Z pyskami pełnymi mięsa psy nie mogły za mną ujadać i wywoływać niepożądane zamieszanie.

Zanim zapukałem do drzwi, usłyszałem krzyki; wysokie wrzaski, wśród których można było wyróżnić słowa „nie” i „już dość”.

Zapukałem. Kiedy Etta otworzyła, wrzask za jej

plecami nie ustawał. Mouse i LaMarque mocowali się na kanapie. Obaj krzyczeli, ale LaMarque był górą, żartobliwie tłukąc ojca po głowie. Raymond kulił się udając, że go boli i wydzierał się tak jak syn.

Etta położyła mi na piersi dłoń, którą poczułem aż w kolanach, i powiedziała:

— Dziękuję, kochanie. Raymond znowu zaczął się nim zajmować.

— Kochasz mnie, Etta? — szepnąłem.

— Tak, Easy, kocham — odpowiedziała szeptem. Chciałem ją poprosić, żeby uciekła ze mną do Meksyku, ale postanowiłem, że poczekam, aż nie będzie przy tym Mouse'a.

— Easy! — krzyknął Mouse.

— Cześć, wujku Easy — zawtórował LaMarque. Zastanawiałem się, czy LaMarque pojechałby z nami do Meksyku, czy też Etta zostawiłaby go u siostry. Wciąż jeszcze był dość mały, żeby w razie potrzeby przyswoić sobie nowy język.

— Cześć, chłopaki — pozdrowiłem ich, a potem dodałem: — Raymond?

— Tak, Easy?

— Potrzebna mi twoja pomoc.

LaMarque spojrzał na okrągły stół, przy którym jadali. Leżał tam długi pistolet Mouse'a, kaliber czterdzieści jeden. Wyglądał nieprzyzwoicie, ale pewnie lepiej, że Mouse odpiął go na czas samotności.

— Zrobię herbaty — oznajmiła Etta. Wyglądało na to, że nie przejmuje się artylerią Mouse'a. Po prostu odsunęła broń na bok, wycierając stół.

— Nie, kochanie — odparłem. — Mamy z Raymondem sprawę, musimy iść.

I poszliśmy.

— Musisz mi pomóc, Mouse — powiedziałem w korytarzu.

— Kogo trzeba zabić? - spytał, wyciągając pistolet, żeby zademonstrować gotowość.

— Po prostu chcę, żebyś mi towarzyszył, Raymond.

Muszę sprawdzić kilka rzeczy i przydałaby mi się osłona.

Mouse uśmiechnął się, przypinając broń.

Pojechaliśmy do biura Mofassa. Miałem klucz, więc nie groziło mi oskarżenie o włamanie.

Czego szukasz, Easy? — spytał Mouse, dłubiąc w złotym zębie wykałaczką z kości słoniowej, którą zawsze miał przy sobie.

— Po prostu usiądź, Raymond. Muszę przejrzeć akta Mofassa.

— Nie jestem ci do tego potrzebny.

— Wczoraj ktoś próbował mnie zastrzelić przed moim domem. Stałem z przyjaciółką i zupełnie przypadkowo się pochyliłem. Gdyby nie to, wachałbym już kwiatki.

— A — stwierdził krótko Mouse. Dotknął pistoletu pod płaszczem i usiadł w fotelu obrotowym Mofassa. Położył nogi na biurku i uśmiechał się do mnie, podczas gdy przeszukiwałem szuflady. Wśród dokumentów znalazłem zapis wszystkich nieruchomości zarządzanych przez Mofassa. Na prawo od każdego adresu znajdowało się dwanaście kolumn, w których co miesiąc zaznaczał, czy lokal jest zajęty, czy nie. Jeśli mieszkanie było w danym miesiącu wolne, stawiał ołówkiem „X”. Wolnych było około dwudziestu mieszkań; najdłużej przy ulicy Clinton. Spisałem adresy, ale nie sądziłem, że Mofass ukrywa się w jakimś mieszkaniu. Ludzie go nie lubili i natychmiast wypaplaliby, gdzie jest.

Mofass zarządzał też kilkoma siedzibami firm i magazynami. Wszystkie były odnajęte. Jeden z magazynów wynajmowała Korporacja Owocowo-Warzywna Alameda. Mofass powiedział mi, kiedy wycofali się z interesu. Dyrektor, Anton Vitali, był też właścicielem budynku. Opróżnił go, ale nadal płaci czynsz, sobie, ponieważ jako właściciel nieruchomości chciał, żeby

ludzie uważali go za wypłacalnego. Mofassowi taki układ odpowiadał, bo dostawał procent, nie kiwając nawet palcem.

Podąłem Mouse'owi wszystkie adresy i powiedziałem, żeby zaczął sprawdzać od magazynu.

— Chcesz, żebym go zabił, Easy? — spytał takim tonem, jakby proponował mi piwo.

— Po prostu go zatrzymaj, Ray. Zabijaniem zajmę się sam.



### *Rozdział trzydziesty piąty*

Craxton sam odebrał telefon natychmiast po pierwszym sygnale.

— Halo, panie Craxton.

— Proszę, proszę, pan Rawlins! Myślałem, że może dał pan nogę.

— Nie, proszę pana. Dokąd miałbym uciec?

— Na pewno nie dalej, niż sięgają moje wpływy.

— Byłem zajęty zbieraniem informacji.

— Jakich informacji?

— Chaim Wenzler nie żyje.

— Co?

— Zastrzelono go przez frontowe drzwi.

— Skąd pan wie?

— Zawiozła mnie tam Shirley Wenzler, jego córka. Wygląda na to, że nie ufa nikomu poza mną.

— Czy ona wie, kto to zrobił?

— Myśli, że to pan.

— Bzdura!

— Niech mnie pan źle nie zrozumie. Nie mówię, że urzędnik rządowy by coś takiego zrobił. Mówię tylko, że według niej to robota rządu.

— Czy ma pan coś, co mógłbym wykorzystać?

— Myślę, że z kimś współpracował. Tak, jak pan mówił, pracował z jakimś kolorowym. Nie wiem z kim. Ktokolwiek to jest, namierzili mnie bardzo wcześnie.

— Jak by to zrobili, Easy?

— Nie wiem, ale myślę, że mogę się dowiedzieć.

— Czy znalazłeś coś u Wenzlera w domu?

— Co takiego?

— Cokolwiek — odparł wymijająco. Cokolwiek, co mogłoby mnie interesować.

— Nie, proszę pana. Ale z drugiej strony, mc szukałem długo. Nie lubię przebywać w towarzystwie zmarłych.

— Ale pan dla mnie pracuje, panie Rawlins. Jeśli nie chce pan sobie pobrudzić rąk, czemu miałbym panu pomagać?

Może mógłbym się rozejrzeć, gdyby powiedział mi pan, czego mam szukać. Pan nie powiedział mi jednego zasranego słowa, panie agencie Craxton.

To ochłodziło na chwilę rozmowę. Kiedy się wreszcie odezwał, mówił wymuszenie spokojnym, miarowym głosem.

— A co z dziewczyną, Easy? Czy ona wie, dlaczego go zabili?

— Nie wie nic, ale w Pierwszym Afrykańskim słyszałem o paru sprawach.

— JaMch?

— Pan ma swoje sekrety, panie agencie Craxton, a ja swoje. Będę badał tę sprawę tak długo, aż dowiem się, kto zabił Wenzlera. Kiedy się dowiem, dam panu znać, zgoda?

— Nie. — Usłyszałem niemal, jak potrząsa głową. — Wcale nie zgoda. Pracuje pan dla mnie...

— Nie, nie — przerwałem mu. — Nie płaci mi pan ani nie zrobił pan dla mnie choćby jednej cholernej rzeczy. Znajdę mordercę. Przypuszczam, że okaże się kluczem do tego, czego pan szuka. Wtedy ubijemy interes.

— Reprezentuję prawo, panie Rawlins. Nie może się pan targować z prawem.

— Gówno prawda! Wczoraj po południu ktoś strzelił mi pięć centymetrów od głowy. Mówimy tu o moim życiu i albo idzie pan na ten układ, albo się żegnamy.

Głównie blefowałem, wiedziałem jednak rzeczy, których nie wiedział Craxton. Miałem tajne papiery

i wiedziałem, kto zabił Chaima i Poinsettię. Jedno nie miało z drugim nic wspólnego, ale kiedy doprowadzę sprawę do końca, wszystko się zgodzi jak w dziecinnej układance.

Nie pozostawiłem Craxtonowi wyboru.

— Kiedy będziesz coś dla mnie miał? — spytał w końcu.

— Jutro o szóstej. Właśnie teraz mam coś nagrane. Jutro o szóstej dowiem się wszystkiego, najpóźniej pojutrze.

— Jutro o szóstej?

— Zgadza się.

— Dobrze. Będę czekać na telefon. — Próbował udawać, że wciąż kontroluje sprawę.

— Jeszcze jedno — wyrzuciłem z siebie, zanim odłożył słuchawkę.

— Co?

— Musi pan dopilnować, żeby do tego czasu nie czepiała się mnie policja.

— Załatwione.

— Dzięki.

Snułem plany w ciemnościach swego domu. Żaden nie wydawał się realny. Mofass był wszystkim, co miałem. Tylko on łączył części układanki w całość. Był w coś zamieszany z Poinsettią, a ja powiedziałem mu o podatkach i Pierwszym Afrykańskim. Tylko jego mogłem podejrzewać. Jeśli moje domysły były trafne, to on zawiadomił Jackiego i Melvina, że węszę wokół Pierwszego Afrykańskiego. Dlatego to Mofass ponosił winę za śmierć wielebnego Towne'a i Tani Lee, a może sam ich zabił. Był jedynym człowiekiem, który miał motyw. Chciał moich pieniędzy. Wiedział, że rząd odbierze mi domy, a on będzie mógł je odkupić, zanim pójda na licytację. Wiedział, co się opłaca. Nic chciał niczego podpisywać, bo miał chrapkę na wszystko.

Zamierzałem zabić Mofassa głównie dlatego, że zamordował moją lokatorkę; czułem, że jestem jej coś winien. Może też dlatego, że zabił Chaima, a zdążyłem

go polubić. Mofass zniszczył mi życie i czulem, że musi za to zapłacić.

Wszystko, co powiedziałem Craxioiowi, to pol prawdy i kłamstwa; chciałem, żeby się nimi podczas gdy będę w drodze do Meksyku.

Meksyk. EttaMae, ja, może nawet LaMarque. To było jak sen. Musiało gdzieś istnieć lepsze życie, przynajmniej tak sobie mówiłem.

Siedziałem czekając na telefon. Żadnego radia, żadnej telewizji. Zapaliłem pojedyncze światło w sypialni i usiadłem w cieniu w salonie. W ostatnim czasie czytałem historię Rzymu, ale tej nocy nie miałem do niej serca, nie poruszała mnie tak jak zwykle. Nie obchodzili mnie Wizygoci ani Ostrogoci plądrujący imperium; nie obchodzili mnie nawet Wandale, tak przerażający, że Rzymianie utworzyli od nich słowo.

Tak naprawdę nie wierzyłem w historię. Rzeczywiste było tylko to, co wydarzało mi się w tym momencie. Rzeczywisty był ból zęba i człowiek, któremu ufałeś, a który zrobił ci świństwo.

Rzeczywisty był pusty brzuch, kobieta mówiąca tak, albo kobieta mówiąca nie. Rzeczywiste było to, co czuleś. Historia była jak telewizja. Nie była wielką falą ludzkości przewalającą się przez ocean minut i godzin. Nie było też wcale tak, że los ludzkości ulegał poprawie. Widziałem w Europie dość mordów, by wiedzieć, że faszyci są gorsi od barbarzyńców stojących u bram Rzymu. Gdybym żył w Rzymie, nazywaliby mnie barbarzyńcą; sytuacja w Watts wyglądała tak samo.

Ghaim chciał poprawić los mój i moich ziomków. Był dobrym człowiekiem, lepszym niż wielu ludzi w Waszyngtonie i wielu czarnych, których znałem. Ale nie żył. Był, jak to się mówi, historią, a ja siedziałem w ciemności z pistoletem i byłem naprawdę, byłem rzeczywisty.

**Z**e snu wyrwał mnie telefon Mouse'a.

Mam go, człowieku oznajmił z tym rodzajem dumy, jaki odczuwa człowiek, który spłacił dług albo przyniósł żonie pensję.

— Gdzie on jest?

— Koło mnie. To rzeczywiście poczwara. Usłyszałem w tle gburowaty głos Molassa, ale nie mogłem rozróżnić słów.

— Zamknij się, głupku! — wrzasnął mi Mouse do ucha. — Nie ciekawi nas, co masz do powiedzenia.

— Gdzie jesteś, Raymond?

— Przy Alameda, w tym magazynie, o którym mówiłeś. Wszedłem przez okno i znalazłem jego rzeczy. Musiałem tylko poczekać, aż się wczółga do środka.

Wejście do magazynu znajdowało się w zaułku, na tyłach głównej ulicy. Dwoje drzwi spięto łańcuchem i kłódką. Zastukałem, na co otworzyło się nade mną okno i Mouse wystawił głowę.

— Hej, Easy. Pójdź trochę dalej tą uliczką. Znajdziesz otwarty zsyp.

Była to aluminiowa pokrywa o powierzchni ponad pół metra kwadratowego, wzmocniona drewnianą ramą; odchyłało się ją od ściany. Za nią znajdowała się metalowa zsuwnia prowadząca do budynku.

Powierzchnia była wyslizgana przez liczne towary, które wyładowywano tą drogą z ciężarówek.

Kiedy dotarłem na pierwsze piętro, otrzepałem się

z kurzu i odbezpieczyłem pistolet. Wokół mnie piętrzyły się sterty tekturowych pudeł i drewnianych kratownic. Do środka wpadało trochę światła, ale długie rzędy ginęły w ciemności, dzięki czemu magazyn wydawał się niezwykle przepaśmy. Tak mogły wyglądać kopalnie Salomona.

— Tutaj, Easy! — zawołał Mouse.

Poszedłem za jego głosem, aż stanąłem przed małą, kwadratową budką. W środku paliło się światło. Matowe, żółte światło elektryczne i dym z papierosów. Duże, szare, metalowe biurko z grubą, zieloną suszką, za którym siedział Mofass. Zalewał się potem i ogólnie sprawiał wrażenie, że brak mu godności. Mouse opierał się o ścianę i uśmiechał do mnie.

— No i masz go, Easy. Jeśli chcesz, wsadzę mu do buzi jabłuszko.

— O co chodzi, panie Rawlins? — rzucił się Mofass.

— Czemu kazał pan temu człowiekowi mnie porwać? Co panu zrobiłem?

Po prostu podniosłem pistolet i wycelowałem w jego głowę. Mouse błysnął w nieokreślonym kierunku najbardziej przyjaznym ze swoich uśmiechów. Szczeka Mofassa zaczęła drżeć od dreszczy, jakie zaczęły wstrząsać mu szyją i ramionami.

— Myli się pan, panie Rawlins. Mierzy pan w złą stronę.

— Dalej, Easy, zabij go — szepnął Mouse.

To właśnie ocaliło Mofassowi życie. Mouse nie wiedział, dlaczego więziłem tego człowieka i nic go to nie obchodziło. Wiedział tylko, że zabijaniem zaspokajają jeden ze swoich instynktów. Podobny instynkt Zaczynałem obserwować u siebie i nie podobało mi się to.

— Jak to się mylę?

Mofass pierdnął zamiast odpowiedzi.

— To ten inspektor podatkowy, Easy, to Lawrence

— powiedział potem.

— Co? — Nie sądziłem, że może mnie czymkolwiek zaskoczyć. — Daj spokój, człowieku, wymyśl coś lepszego. — Nie kłamie się, kiedy celują ci w głowę, panie

Rawlins. Jestem pewien, tak jak tu siedzę, że to Lawrence.

Odór wiatrów Mofassa wypełniał pomieszczenie. Mouse wachlował sobie ręką przed nosem.

— Wymyśl coś lepszego, Mofass. Tu chodzi o twoje życie.

Przysunąłem lufę bliżej spoconej brwi Mofassa. Otworzył szerzej oczy.

— To prawda, panie Rawlins. Ponad rok temu zahaczył mnie za uchylanie się od podatków.

Mouse kopnął krzesło, żeby móc na nim usiąść. Mofass zerwał się na równe nogi.

— Siadaj i mów dalej — rozkazałem.

— Tak. — Na wargach grubasa pojawił się nagle uśmiech. Zniknął równie szybko. — Nigdy nie płaciłem żadnych podatków. Wypełniałem formularze, ale zawsze kłamałem, jakbym nic nie zarabiał. Jednak Lawrence się połapał i byłem ugotowany.

— No tak, wiem, co to znaczy.

— Powiedział, że wytoczy mi proces, więc spytałem, czy moglibyśmy to omówić przy drinku. — Znowu się uśmiechnął. — Widzi pan, gdyby pozwolił sobie postawić drinka, wiedziałbym, że mogę go kupić. Zadzwoiłem do Poinsettii. Już wtedy nie płaciła czynszu. Mówiła, że będzie dla mnie miła, jeśli przymknę na to oko, ale wie pan, że to nie w moim stylu.

Bez żadnego powodu Mouse złapał Mofassa za przegub, szarpnął i puścił. Zaskoczenie sprawiło, że grubas zaskomlał jak pies.

— To p-p-prawda, człowieku! Zadzwoiłem do niej i powiedziałem, że jeśli będzie miła dla mojego przyjaciela, lato ma opłacone.

— Więc skontaktowałeś ich ze sobą?

— Tak. Lawrence kompletnie nie miał głowy do gorzały. Kiedy Poinsettia przyjechała i zaczęła go pieścić, pił szklankami i kiwał się na krześle. Tej nocy zawiozłem ich do hotelu.

— No i?

— Co miałem zrobić? — Mofass zgarbił spadziste ramiona. — Kazał mi ją przyprowadzać ze trzy razy w tygodniu. Zawsze pili. Czasem nigdzie ich nawet nie wiozłem, tylko robili to w samochodzie.

— Kiedy ty prowadziłeś? — spytał Mouse.

— Tak!

— Cholera, udał ci się ten chłopczyk, Easy.

— Nie wierzę w ani jedno zasrane słowo — oświadczyłem. — Widziałem inspektora Lawrence'a. Jest czysty jak łąza.

Mofass wysunął dłonie w uspokajającym geście. Mouse, jak zwykle, uśmiechnął się na tę oznakę uległości.

— Nie widział go pan, kiedy zaczyna pić, panie Rawlins. Wtedy mu odbija, a Poinsettia potrafiła go nakreć. Czasem ją tłukł i nie wychodziła z domu przez tydzień.

Przypomniałem sobie Poinsettię chodzącą w przeciwsłonecznych okularach w pochmurne dni.

— Dobra, Mofass. Opowiedziałeś mi swoją historyjkę, ale wciąż nie widzę, jaki to ma związek ze mną.

— Jakieś sześć miesięcy temu zabawiali się w jednym z domów, a ja załatwiałem interesy na Clark. Lawrence się upił i zrzucił panią Jackson ze schodów. Ciężko się potłukła i musieliśmy ją zabrać do znajomego lekarza. — To nie miała żadnego wypadku?

Mofass potrząsnął głową, przełknął ślinę, żeby zwilżyć gardło i mówił dalej:

— Na początku Lawrence czuł się winny i chciał zapłacić za szpital. Wtedy przyczepił się do Rufusa Johnsona. — Znam go. To jeden z ludzi na twojej liście.

— Tak. Kolorowy, mieszka w Venice Beach. Lawrence zagroził mu procesem za oszustwa podatkowe, a potem ja szepnąłem na ucho panu Johnsonowi, że wszystko można załatwić pewną sumą pieniędzy. — I podzieliliście się gotówką? — spytałem.

— Lawrence wziął większość, przysięgam.

— A teraz dobrał się do mnie.



Robiliśmy ten numer z pięcioma innymi. Nigdy z moimi znajomymi. Przez pewien czas Lawrence był w porządku, ale potem zaczął chcieć coraz więcej. Narzekał, że Poinsettia, a także jego żona i dziecko ciąży mu jak kamienie u szyi. Zaczął na mnie naciskać, żebym mu znalazł jednego bogatego Murzyna, to odczepi się raz na zawsze.

— I dałeś mu mnie?

Oczy Mofassa napękały się łzami, ale nie powiedział ani słowa.

— Jak chciał dostać się do moich pieniędzy?

— Miał zamiar zmusić pana do przepisania domów na moje nazwisko. Potem udałby, że naciska mnie o podatki, ale tak naprawdę sprzedalibyśmy domy i wzięłoby forszę. Miał wziąć wszystko. Wiedział, że czarni rzadko walczą z prawem.

— Ale skoro to prawda, dlaczego nie dałeś mi przepisać na ciebie domów, kiedy prosiłem?

— Nie jestem głupi. Domyślałem się, że jeśli się zgodzę na ten pomysł, zacznie pan coś podejrzewać. Powiedziałem Lawrence'owi, żeby pana przydusił, żeby pana tak nastraszył, że będzie mnie pan błagał, bym wziął wszystko. Później, kiedy miałbym kłopoty z urzędem podatkowym i kiedy odebraliby mi forszę, cieszyłby się pan, że nie jest pan na moim miejscu.

— Ale ty kłamiesz, człowieku. Nawet jeśli to gówno o podatkach to prawda, dlaczego Lawrence miałby kogokolwiek zabijać?

— A dlaczego ja miałbym to robić?! - wrzasnął. Mouse wysunął palec i ostrzegł:

— Siedź spokojnie, bracie. - Następnie trzasnął Mofassa pistoletem w twarz.

Głowa grubasa odskoczyła na bok, a jego wielkie ciało podążyło jej śladem na podłogę. Podniósł się, przyciskając dłonie do krwawiącego policzka.

— Za co mnie uderzyłeś?! - wydarł się jak dziecko. Mouse znowu wysunął palec i Mofass zamilkł.

— Odpowiedz, Mofass — ostrzegłem.

— Nie wiem. Wiem tylko, że wezwał mnie do siebie

do domu, zaraz po tym, jak ten gość z FBI pana uwolnił. Powiedział, że chce wiedzieć o każdym pańskim ruchu, więc powiedziałem mu, że pracuje pan dla kościoła, no wie pan, o tym, że śledzi pan Towne'a.

— Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałeś?

— Lawrence miał mnie na widelcu, panie Rawlins. Uchylałem się od podatków i pomagałem okradać ludzi. Poza tym on jest nienormalny. Powiedział, że jeśli FBI dostanie w ręce akta pańskiej sprawy, dowiedzą się o wszystkim, co robimy. Dlatego kazał mi iść do Jackiego i Melvina, a sam poszedł do Towne'a.

— I zabił go?

— Nic wiem nic poza tym, że tam poszedł, a teraz Towne nic żyje.

I nic nie pisałeś, kiedy zaczęli ginać ludzie? — Zadrżały mi mięśnie ręki; przelożyłem pistolet, żeby nie zastrzelić go, nim nie usłyszę całej prawdy.

— Na początku nie wiedziałem. To znaczy, skąd miałem wiedzieć, że zabije Poinsettę? Kiedy zginął Towne, zacząłem się bać o własną skórę.

— Dlaczego Poinsettia zginęła? Co miała z tym wszystkim wspólnego?

— Dał jej pieniądze za to, żeby zadzwoniła na policję i oskarżyła pana o to, że ją pan pobił.

Mofass podniósł dłonie w geście bezradności. Twarz zaczynała mu puchnąć wokół głębokiej, czerwonej rany na policzku.

— Wie pan, jaka ona była. Coś mu pewnie powie działa, na przykład, że wygada panu o wszystkim, jeśli nie zacznie jej więcej płacić. Obwiniła Lawrence'a o swoją chorobę, chciała, żeby się nią opiekowano, — Człowieku, to bez sensu. Dlaczego niby miałyby chcieć, żeby zwałała na mnie winę za pobicie? — Gdyby trafił pan do więzienia, **FBI** musiałyby znaleźć kogós innego, a on zgarnąłby pana forszę i ura to wał tyłek.

Mofass zaczął płakać.

— I zamierzałeś mu mnie wystawie, co?

— A co pan robił dla tego faceta z FBI? Nie to samo? Powiedział, że uratuje pańskie pieniądze, jeśli pan kogoś zrobi, tak? Czy różni się pan ode mnie?

Poczułem się zraniony. Skończmy z nim, liasy domagał się Mouse, wymachując pistoletem w stronę Mofassa. Nie uwierzyłbym, że taki grubas może się tak skulić na krześle.

— Nie, stary.

— Myślałem, że zależy ci na krwi tego chłoptasia. — W głosie Mouse'a brzmiało oburzenie. — Przecież cię obrobił, nie? — Owszem.

— No to zabijmy skurwysyna.

— Mam lepszy pomysł. Mofass znowu pierdnął.

— Jaki? — spytał Mouse.

— Chcę, żebyś podał mi adres Lawrence'a, Mofass.

— Załatwione.

— Chcę też jego telefon domowy.

— Tak jest, panie Rawlins, mam go tutaj. — Postukał się palcem w skroń.

— Tylko się nie pomył, to nie zabawa. Jeden fałszywy krok i wędrujesz prosto do grobu. Mój człowiek, Raymond, to śmierć, twoja śmierć, jeśli coś pokręcisz.

— O tym nie musi mnie pan przekonywać — odparł Mofass konkretnym tonem. — Czy mógłbym jednak spytać, co zamierza pan zrobić?

— To samo, co zrobię, jeśli wprowadzisz mnie w błąd. — Kiedy zapisał mi dane, o które prosiłem, powiedziałem: — Idź do domu, Mofass, idź gdziekolwiek. Jutro o tej porze wszystko się skończy.

— Powinniśmy byli go zabić — stwierdził Mouse, kiedy grubas zniknął.

— Nie ma takiej potrzeby.

— Człowieku, on próbował cię wyrolować, ukraść twoją forszę.

— No tak. Ale wiesz, on i ja nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, łączyły nas interesy. Biznesmeni kradną tylko po to, żeby nie wyjść z wprawy.

Byłem zadowolony, że Mofass się wyniósł. Wydzielili! tyle gazów, że całe biuro zaśmierdło.

— Dzięki, Raymond — powiedziałem i uścisnęliśmy sobie dłonie.

— Easy, jesteś moim przyjacielem, nie masz mi co dziękować. Cholera! To przecież ty naprawiłeś wszystko z LaMarkiem. Człowieku, jesteś moim najlepszym przyjacielem.

W drodze powrotnej do domu myślałem o tym, jak planowałem zabrać żonę i syna Mouse'a i zniknąć w górach Meksyku. Nie mogłem zabić Mofassa, bo nie byłem lepszy niż on.

Po powrocie do domu wykręciłem numer, który podał mi Mofass.

— Halo? — odezwał się wylęknięty, kobiecy głos.

— Czy mogę prosić Reggie Lawrence'a?

— Kto mówi? — spytała. Byłem wstrząśnięty lękiem, jaki słyszałem w jej głosie.

Powiedziałem, kto mówi i poszła przywołać moją nemezis.

— Rawlins?

— Chcę dwa i pół tysiąca dolarów — powiedziałem. — Niech mi pan tylko nie kituje, bo wiem, że pan je ma. Ma pan mieć forszę na jutrzejszy wieczór, w dziesiątkach i dwudziestkach.

— Co do diabła... — zaczął.

— Słuchaj, człowieku — uciąłem — nie mam czasu na twoje pierduły. Wiem, co zrobiłeś i mam dowody. Mofass puścił farbę i wiem, że nie możesz sobie pozwolić na dochodzenie. Więc przynieś ten szmal albo zamienię ci biuro na celę.

— Jeśli to jakaś sztuczka, żeby się wykręcić od podatków... — wciąż próbował mówić jak szef, ale już słyszałem, jak się poci.

— Griffith Park, Reggie, pod obserwatorium w lesie, ósma wieczorem. Żołnierz potrafi być punktualny.

Wy tłumaczyłem, jak tam dojechać i odłożyłem słuchawkę, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Możecie być pewni, że zrobiłem to z rozkoszą

### ***Rozdział trzydziesty siódmy***

Około wpół do ósmej rano parkowałem przy ulicy Stanley 1135 1/2. Znajdowałem się mniej więcej o przecznicy na północ od Olympic Boulevard, w szacownej, białej dzielnicy, ale liczyłem na to, że nie wpadnę w oko policji. Obok na siedzeniu leżała większość planów w kopercie z jego nazwiskiem. Założyłem czarne rękawiczki, czapkę bagażowego i uniform z hotelu w Houston, gdzie pracował kiedyś Dupree.

Kwadrans po ósmej Lawrence wyszedł z domu. Skuliłem się, zmrużyłem oczy i wetknąłem język w otwór, który Primo i Flower zostawili mi w ustach. Lawrence wszedł do samochodu i odjechał, zostawiając w domu żonę i dziecko.

Odczekałem jeszcze pół godziny, żeby niczego nie podejrzewała, po czym zapukałem. W tle słychać było płacz, który przybrał na sile, kiedy otworzyła drzwi.

Pani Lawrence była niska i ruda, choć we włosach miała już dużo siwizny. Wyglądała na kobietę młodą, ale głowę zwieszała nisko, jak gdyby jej ciążyła. Żeby na mnie spojrzeć, musiała unieść głowę i oczy. Zszyta blizna biegnąca w dół od lewego kącika ust była poszarpana; ciało wokół prawego oka opuchnięte i blade. W białku oka dostrzegłem jasną czerwień.

— W czym mogę panu pomóc?

— Przesyłka — oznajmiłem szorstkim głosem, którym zwracałem się do oficerów podczas drugiej wojny światowej.

— Od kogo?

— Mam tu przesyłkę do pana Reginalda A. Lawrence'a od firmy prawniczej w Waszyngtonie. Spróbowała się uśmiechnąć, ale dziecko zaczęło się drzeć. Odwróciła się do niego, a potem szybko znowu do mnie. Wyciągnęła rękę i powiedziała:

— Jestem jego żoną, wezmę to.

— Nie wiem... — zawahałem się.

— Proszę się pospieszyć. Moje dziecko jest chore.

— No... dobrze, ale i tak muszę wziąć dolara dziewięćdziesiąt pięć za doreczenie.

— Proszę zaczekać — westchnęła wyczerpana. Cofnęła się do środka i pobiegła w stronę płaczu.

Wślizgnąłem się do mieszkania, wyjmując z pliku dokumentów jedną kartkę. Drzwi prowadziły do małego korytarza, dzięki któremu dom miał wyglądać na większy. W korytarzu stał wieszak na płaszcze oraz lakierowane, zdobione biurko. Otworzyłem szufladę i wsunąłem dowód pod plik map.

Poszedłem do sypialni, gdzie pani domu zamartwiała się nad rozkładanym łóżeczkiem. Łóżko nie było duże, ale dziecko w nim leżące tak drobne, że obok można było ułożyć czworo czy pięcioro dzieci jego rozmiarów. Chłopak był prawie tak długi jak łóżko, ale ręce i nogi miał tak chude, że mogłyby należeć do niemowlęcia. Przeguby miał pokryte zadrapaniami i strupami, a odsłoniętą pierś — niebieskozielonymi sińcami. Jedno oko obracało się dookoła, drugie wlepił we mnie i zajęczał.

— Proszą panią.

— Tak? — Nawet się nie odwróciła, tylko płakała, załamując ręce nad dzieckiem, które cicho zawodziło, kiedy matka była blisko.

Pomogłem jej się podnieść.

— Co mu się stało? — spytałem.

— Polio.

Kto wie, może w to wierzyła? Spojrzała szybko na dziecko i wstała.

— On mnie potrzebuje — powiedziała. — Muszę tu być. On mnie potrzebuje, potrzebuje mnie.

Objąłem ją ramieniem, myśląc o tym, jak jej mąż próbował mnie zastrzelić ostatnim razem, kiedy trzymałem w ramionach kobietę. Pomogłem jej usiąść.

Odkleiłem z koperty nazwisko Lawrence'a i położyłem ją na jej kolanach.

— To nic ważnego — szepnąłem. — Proszę mu to oddać przy okazji.

W Griffith Park znalazłem się o siódmej wieczorem. Zaparkowałem pod obserwatorium i ruszyłem między drzewami rosnącymi na tyłach wielkiego budynku z kopułą. Była to długa wędrówka, ale sądziłem, że warto mieć pewną przewagę nad Lawrence'em. Za plecami słyszałem szelest gałęzi, ale nie przejmowałem się nim.

Lawrence pojawił się prawie kwadrans po ósmej. Zszedł z trawiastego wzgórza za dolną ścianą i podszedł prawie do linii drzew. Wyciągnął lewą rękę i przysunął przegub do twarzy, żeby spojrzeć na zegarek. Nadal zachowywał się nieporadnie, ale w jego chodzie można było dostrzec nową agresywność. Stapał jak kogut, przekrzywiając głowę z boku na bok, jakby szykował się do walki. <sup>x</sup>

— Dobry wieczór, Reggie — zawołałem zza sękatej sosny. Wyszedłem mu na spotkanie z rękami w kieszeniach.

Sięgnął w stronę piersi, ale wtedy wyciągnąłem prawą rękę, pokazałem mu pistolet, po czym schowałem go do kieszeni.

Uśmiechnął się krzywo i przygarbił ramiona. Jego duże ręce, które zostawiały na ciele siniaki, zwiślały spokojnie po bokach.

— Masz pieniądze? — spytałem.

Pochylił się trochę, pokazując paczkę owiniętą brązowym papierem, którą trzymał pod płaszczem.

— Jeśli ci dam pieniądze, jaką mam gwarancję, że zostawisz mnie w spokoju? — spytał.

— Człowieku, wiem, że jesteś mordercą. Ucieknę z tą forszą gdzieś, gdzie mnie nie znajdziesz.  
Uśmiechnął się i zastygliśmy w bezruchu. Wiedziałem, że nic nie zrobi pierwszy, więc spytałem:

— Dlaczego, człowieku?

Jego ciałem wstrząsnęły tak silne dreszcze, że aż lekko podskoczył.

— Pierdol się! — krzyknął, przekrzywiając szyję. Poczułem dżin.

— Poważnie, człowieku, muszę wiedzieć. Czemu robisz to całe gówno? — Wiedziałem, że to szajbus, ale po prostu musiałem znać jakiś powód.

Oczy inspektora Lawrence'a gorączkowo płonęły.

— Czarnuchy i Żydzi — powiedział. Nie było pewności, czy zwraca się do mnie.

— Tacy jak twoja żona i dziecko? Spojrzał mi w oczy, ale nic nie powiedział.

— Dlaczego Towne? Dlaczego Poinsettia?

— Powiedziałem o tobie temu czarnuchowi pastorowi. Wiesz, co zrobił?

Podniósł pięść, więc go ostrzegłem.

— Spokojnie, człowieku.

— Dobra. — Parsknął śmiechem. — Wyrzucił mnie, ale ja tam wróciłem. Tak jest, szefie, wróciłem.

— Znowu zachichotał. Wyjąłem z kieszeni pistolet

— A ta dziwka żyła jak świnia. — Lawrence oddychał ciężko. — Brudna. Zachowywała się tak, jakbym na prawdę był taki... Wciąż tylko płąć i płąć. Trzeba było wypełnić program. Nie chciałem jej zabijać, ale s/lo

O moją skórę.

— Chaim Wenzler nic cię nie obchodził, człowieku

— Ale obchodził FBI. Gdyby go ktoś sprzatnał, przestaliby cię potrzebować.

— Ale potem próbowałeś mnie zabić! Znowu zachichotał i przygryzł kciuk.

Zapadał zmierzch. Wydawało się, że ciemność unosi się z drzew. Nadszedł czas, żeby zainkasować pieniądze i odejść.



— Dobra. — Trzymałem przed sobą pistolet. — Dawaj forszę.  
Planowałem, że odbierając forszę, będę udawał zdenerwowanie, ale wcale nie musiałem udawać.  
— Myślałem, że jesteś czarnuchem z jajami — powiedział, nagle zupełnie trzeźwy.  
Poczułem duszącą wściekłość, ale się nie poddałem. Noc nadchodziła coraz szybciej; wkrótce mieliśmy się zmienić w cienie.  
— Chyba nie myślisz, że pozwolę ci się szantażować?  
— Zrób coś głupiego, a pokażę ci, jakie mam jaja. Nagle podjął decyzję: wyjął spod płaszcza paczkę i wręczył mi ją.  
— Miło się z tobą robi interesy — zauważyłem. — Możesz odejść.  
W momencie, kiedy dotknąłem koperty, Lawrence runął do przodu i uderzył mnie mocno w pierś. Ponieważ staliśmy na pochyłości, znowu poczułem, że lecę, ale tym razem wylądowałem na plecach, wyciągając ręce do tyłu.  
Bez powodzenia próbowałem wyciągnąć pistolet. Lawrence zbiegł w dół i kopnął mnie w ramię. Szczercząc zęby w uśmiechu, nieporadnie wyciągnął z kieszeni pistolet.  
— Nie rób tego, człowieku! — krzyknąłem ostrzegawczo, ale już mierzył.  
Wymówił słowo „czarnuch”, po czym odleciał w tył na odległość dwóch metrów. Kiedy się znalazł w powietrzu, usłyszałem strzał z pistoletu, który wśród drzew gruchnął jak wystrzał armatni. Biegłem, a echo powtarzało moje imię.  
Mimo że biegłem bardzo szybko, kiedy dotarłem do samochodu, Mouse już tam stał.  
— Cholerny z ciebie głupiec, Kasy Rawlins powiedział z uśmiechem. — Powinieneś być zabić tego kolesia natychmiast, jak zobaczyłeś jego paskudną mordę.  
— Musiałem wiedzieć, Raymond, to mi było potrzebne.

Jechaliśmy w dół przez las, zostawiając obserwatorium za sobą.

— Ty, Easy, jesteś jak głupi kowboj. Chcesz krzyknąć: „Stój!” zanim strzelisz. W ten sposób się ginie. Oczywiście miał rację, ale dzięki temu przekonywałem sam siebie, że nie jestem mordercą. Dałem mu szansę — przynajmniej do chwili, kiedy powiedziałbym o nim policji.

— Czy to on? — spytał Mouse bez większego zainteresowania.

— Tak. To on mordował.

— Co teraz zrobisz?

— Będę się modlił o to, by nikt nas tam nie widział. Powiem gościowi z FBI, że Lawrence zmusił mnie do zdradzenia mu, co robiłem. Że ukradł papiery Wenzlerowi, że został szpiegiem z chęci zysku. Powiem, że dochodzenie w sprawie podatków też prowadził z chęci zysku.

Mówiąc, odliczyłem dla Mouse'a pięćset dolarów.

Dla siebie nie zamierzałem zachować ani centa. Rozdałem pieniądze rodzinom zabitych, włącznie z Shirley Wenzler. Uznałem, że za zniszczenie, jakiego dokonał, Lawrence jest winien przynajmniej pieniądze. Afrykańskiej Migracji ofiarowałem tysiąc dolarów. Sonja Achebe przysyłała mi pocztówki z Nigerii przez kolejne trzydzieści lat.

Mouse wysunął dolną wargę.

— Nie najgorzej, nie najgorzej.

Po drodze wypaliłem kilka papierosów. Na szosie nie wyły syreny ani w ogóle nie działo się nic specjalnego. Dałem papierosa Mouse'owi i wziąłem głęboki oddech.

— Gdzie się teraz wybierasz? — spytałem po przejechaniu ośmiu czy dziesięciu kilometrów.

Znajdowaliśmy się na Adams Boulevard, a wszystkie wozy policyjne nas ignorowały.

— Obiecałem LaMarque'owi, że wpadnę zabrać go na hot-dogi.

A potem zabiorę go do Meksyku, pomyślałem.

### *Rozdział trzydziesty ósmy*

Jednak nie było już potrzeby uciekać. Nie mogli mnie zrobić w żadne zabójstwo. Kiedy znaleźli Lawrence'a i odkryli jego zbrodnie, zatuszowali całą sprawę. Jego pistolet zgadzał się z opisem broni, z której zastrzelono wielebnego Towne'a, Tanię Lee i Chaima Wenzlera. Podałem policji listę hoteli, do których Mofass woził Poinsettię i Lawrence'a. Znaleźli jego odciski palców u niej w mieszkaniu. Pani Trajillo rozpoznała na zdjęciu namolnego agenta ubezpieczeniowego.

Wstydzilem się tego, co zrobiłem Mouse'owi i co planowałem mu zrobić. Mofass zawstydział mnie, bo byłem dokładnie taki jak on. Udawałem, że przyjaźnię się z ludźmi, a planowałem podkładać im świnie.

Tej nocy poszedłem do Filbert Hotel. Zapukałem do drzwi i otworzyła mi Shirley w prostej, różowej sukience do kolan. Uśmiechnęła się nieśmiało. Ze zdumieniem przypomniałem sobie, że byliśmy kochankami.

— Cześć — powiedziała i pochyliła głowę.

Pokój był wystarczająco duży, żeby pomieścić dwa łóżka, krzesło i szafkę.

— Bałam się, że to ten człowiek z rządu. Byłam pewna, że cię zabije, a potem przyjdzie po mnie.

— Nie. Wiedzą już, kto to zrobił, to znaczy, kto zabił twojego ojca. To nie rząd. Po prostu człowiek, który chciał zarobić szybkie pieniądze. I liczył na to, że sprzeda te plany.

— Kto to był?

— Nikt. Nikt, kogo znasz.

Usiadłem na jednym z łóżek, a Shirley obok. Czułem ciężar jej ciała.

— Już dobrze, nie musisz się niepokoić. Nie sądzę, żeby rząd chciał się ciebie czepiać.

Nie odpowiedziała. Wiedziałem, że chce, bym ją objął, ale ja nie chciałem. Przyczyniłem się do śmierci jej ojca, zniszczyłem jej świat.

— Co zamierzasz teraz zrobić? — spytałem po długiej chwili.

— Nie wiem, chyba wrócę do domu. Ale czy jesteś pewien, że to prawda?

Tak. Ten człowiek miał związek z Pierwszym Afrykańskim. Był jakby szalony. Nienawidził komunistów, czarnych, takich rzeczy.

To on zabił wielbnego Towne'a?

— Tak.

— Złapali go?

— Jeszcze nie.

— Jak się nazywa?

— Nie pamiętam. Ale kimkolwiek był, sądził, że coś wiem. Dlatego strzelał wtedy do mnie przed domem. Wcale nie chciał cię zabić.

Zobaczyłem na jej twarzy ulgę, a potem winę, że cieszy się, że to ja byłem celem. Dotknąłem jej dłoni.

— Możesz wracać do domu, Shirley. Już wszystko dobrze.

Wierzyła mi. Równie dobrze to ja mogłem być człowiekiem, który strzelał do jej biednego ojca przez drzwi, ale ona tego nie wiedziała. Wcale nie miałem zamiaru jej o tym mówić.

Primo też mi wierzył. Powiedziałem mu, że zły człowiek już nie żyje i że nie muszę nigdzie jechać.

— Wydałem już połowę pieniędzy, Easy — powiedział, nieco zmieszany. — A mój brat przyjeżdża tu zajmować się domem.

W porządku, stary. Bawcie się tam dobrze z Flower.

— Zgoda — odparł Primo ze śmiechem, więc domyśliłem się, że ma w kieszeni moje pięćset dolarów.

— Ale wiesz, Easy, Jesus będzie smutny, kiedy się dowie, że nie jedziesz. Ten chłopiec cię kocha. Myślę, że powinienes go wziąć do siebie na czas naszego wyjazdu.

— Co?

— To twój chłopak, Hasy, on cię kocha. Weź go do siebie, a jeśli zechcesz, po powrocie wezmę go znowu.

— Kiedy to będzie?

— Trzy miesiące, może cztery.

Pożegnałem się więc z Primem i Flower, a na całej transakcji zyskałem Jesusa.

Wrócili po trzech latach. Wtedy Jesus był już moim synem.

Craxton był równie zadowolony jak Primo. Znaleźli Lawrence'a leżącego twarzą do ziemi pod obserwatorium. Wezwał mnie do biura, tego nad pokojem Lawrence'a przy Sześćdziesiątej Szóstej ulicy.

— Mówisz, że Lawrence miał chrapkę na papiery Wenzlera? Jak to możliwe, skoro mógł go znać tylko przez ciebie?

— Próbował mnie przekupić, panie Craxton. Przycisnął Mofassa, a potem, kiedy pan się wmieszał, próbował mnie zrobić.

— Jak się tego dowiedziałeś?

— Mofass się w końcu załamał i mi powiedział. Craxton pokiwał głową.

— Powiedziałem mu, że śledzę białego, który pracuje społecznie dla kościoła. Nie wiedziałem, że jest stuknięty — wyjaśniłem.

— A co z tą dziewczyną, twoją lokatorką?

— Lawrence wiedział, że to ja jestem właścicielem, więc chciał wycisnąć ode mnie forszę. Zabił ją chyba po to, żebym trafił do więzienia. Wtedy nie mógłbym pracować dla pana.

— Ale gdybyś trafił do więzienia za morderstwo, jak mógłby dostać twoje pieniądze?

— Nie sędę, że on naprawdę chciał ją zabić. Myślę, że chciał ją tylko skrzywdzić, dlatego miała tak posiniaczoną twarz. Kiedy umarła, próbował upozorować samobójstwo.

Ostatnie wyjaśnienie wydało się Craxtonowi nieco zbyt wyszukane jak na umysł Murzyna. Spojrzał na mnie podejrzliwie, ale nic nie powiedział. Nie chciał robić trudności. Miał zabitego komunistę i człowieka zamieszanego w działalność szpiegowską. Miał dowód, który umieściłem w mieszkaniu Lawrence'a i dwa trupy. Wyobrażałem sobie, że dostanie za to awans.

— A gdzie jest Shirley Wenzler? — spytał.

— W domu, panie Craxton i dobrze pan wie, że nie miała z tym nic wspólnego. Nie miała nic wspólnego z działalnością ojca. — Lubisz ją, co, Easy?

— Ona jest czysta, człowieku.

Craxton zachichotał. Był w siódmym niebie.

— Proszę pozwolić, że o coś pana spytam.

— Tak, Easy?

— Czemu nie powiedział mi pan nic o papierach, które miał Wenzler?

— Ponieważ nie miałeś o nich wiedzieć. Nikt o nich nie miał wiedzieć. To był tajny projekt, który Champion odrzucił. Lindquist miał zniszczyć kopie, a ja dopilnować, że to zrobi. Obaj się nie wywiązaliśmy.

— To znaczy, że nie zamierzano ich w ogóle wykorzystywać?

— Ale gdyby znalazły się w Rosji, nie wyglądałoby to dobrze.

— Nie wyglądałoby dobrze?

Nie powiedziałem nikomu o Jackie'em Orrze, Melvinie Pride i Winonie. Napisałem jednak do Odella. Nie chciałem sypać swoich braci i sióstr, ale nie chciałem też, żeby okradali kościół. Afrykańską Migrację całkowicie wyłączyłem ze sprawy.

- Nie Wiem, panie Rawlins, naprawdę nie wiem. Wszystko bardzo pięknie, ale kto zabił Lawrence'a? Nie wiem. Nie było mnie tam.

Craxton dotrzymał słowa i dali mi dwa lata na spłacenie należności urzędowi podatkowemu. Dał też spokój Shirley Wenzler i zostawił mi swój telefon domowy, gdzie mogłem go znaleźć w razie potrzeby.

Andre Lavender i Juanita przestali się ukrywać. Andre nigdy nie wytoczono procesu, bo Craxton nigdy nie wymienił jego nazwiska. Chciał żeglować bezpiecznie po morzu śmierci i ciszy.

Wszystko było w porządku.

I w rozmowie z Oaxtonem odwiedziłem Ettę. Otworzyłem drzwi własnym kluczem. W mieszkaniu panował mrok, ale tego się spodziewałem. Drzwi do pokoju I .aMurque'a były otwarte. Zajrzałem i zobaczyłem go uśmiechniętego w łapach wielkiego misia; byłem pewien, że dostał go od Mouse'a. O tak, litta usłyszałem głos przyjaciela, dobiegający tuż zza ściany, jakby szeptał mi do ucha. — O tak, tak, brakowało mi tego.

Potem głośnie cmoknięcie, a jeszcze potem:

Kocham cię, tatusiu.

— Co takiego? — spytał Raymond Alexander swoją żonę, swoją kobietę.

— Kocham cię, tatusiu. Potrzebuję cię.

— Potrzebujesz tego?

Wydała dźwięk, którego nie potrafię powtórzyć. Głęboki, gardłowy, tak naładowany rozkoszą, że zakręciło mi się w głowie i usiadłem na podłodze.

Odgłosy stawały się coraz głośniejsze i coraz bardziej zmysłowe. Będąc ze mną, nigdy ich nie wydawała, ani ona, ani żadna inna kobieta.

Mouse jest szalony — pomyślałem — po prostu szalony.

Ale chciałem, żeby taki właśnie był. Etta też.

### ***Rozdział trzydziesty dziewiąty***

**Po** kilku dniach poszedłem z chłopcem do biura Mofassa.

Jesus wszedł pierwszy i podsunął krzesło, żebym mógł usiąść przed swoim pracownikiem.

Mofass wpatrywał się w talerz jajeczniczy z siekanym mięsem. Robił to już pewnie od piętnastu minut.

— Dzień dobry, panie Rawlins. - Miał rozbiegany wzrok. Każdy, kto uniknął śmierci z rąk Raymonda Alexandra, miał rozbiegany wzrok.

— Co jest grane, Mofass?

— Zamknęli mnie na kilka dni w więzieniu federalnym.

Udałem zdziwienie.

— Tak — ciągnął — ale chyba muszę panu podziękować za to, że nie wniósł pan na mnie skargi do urzędu skarbowego.

— To część układu z gościem z FBI. Ja nic robię kłopotów, a oni pozwalają mi po cichu spłacać zaległe podatki.

— Tak czy owak, muszę panu podziękować. Wszyscy tkwiliśmy w niezłym bagnie. Mógł się pan na mnie odegrać.

— Powinienem był — stwierdziłem. Mofass rzucił mi puste spojrzenie.

— Jesus - powiedziałem. Wysuplałem z kieszeni dwadzieścia pięć centów i rzuciłem mu. Przynieś nam jakieś słodczy z tego sklepu, który mijaliśmy.



Uśmiechnął się niemo i pobiegł do drzwi. Zanim zacząłem mówić, odczekałem, aż kroki chłopca ucichną na schodach.

— Tak jest, Mofass, powinienem był pozwolić Raymondowi cię wykończyć. Powinienem był, ale nie mogłem, bo jesteś moim prywatnym piekłem. Ale nieważne. Widzisz, od tamtego dnia, kiedy rozmawialiśmy o liście w sprawie podatków, coś straciłem. Straciłem dużo. Mam przyjaciela, który mnie teraz nienawidzi, bo myśli, że zabiłem jego pastora. Nie mogę do niego pójść i mu wytłumaczyć, bo to naprawdę moja wina. Straciłem też kobietę, bo nie byłem dostatecznie dobry. Wiele osób przeze mnie zginęło. Wystawiłem do wiatru Poinsettię. Ty mnie do tego namówiłeś, ale to ja mam ją na sumieniu, bo...

— Nie widzę, jaki to wszystko ma związek ze mną — przerwał mi. — Jeśli chce pan, żebym panu zwrócił klucze do mieszkań, mam je przy sobie.

— Zdobyłem dobrego przyjaciela, Mofass, a twój kumpel go wykończył. Nie spojrzał mu nawet w oczy, strzelił przez drzwi.

— Czego pan ode mnie chce, panie Rawlins?

— Nie mam przyjaciół, człowieku. Mam tylko Jacksona Blue, który sprzedałby mnie za butelkę wina, i Mouse'a, którego znasz. Mam jeszcze meksykańskiego chłopca, który ledwo mówi po angielsku, a nawet gdyby mówił dobrze, i tak by się nie odzywał.

Mofassowi pot wystąpił na czoło. Musiałem bredzić jak szaleniec.

— Chcę, żebyś dalej dla mnie pracował, William. Chcę, żebyś został moim przyjacielem.

Mofass wsadził cygaro między grube wargi i zaciągnął się dymem. Myślę, że nic wiedział, jak wielkie zrobił oczy.

— Jasne — odparł. — Pan, panie Rawlins, jest moim najlepszym klientem.

— Tak, człowieku, tak.

Siedzieliśmy tak, gapiąc się na siebie, aż do powrotu Jezusa. Przyniósł trzy rulony tabletek czekoladowych Flicks. Siedzieliśmy we trojkę, jedząc w milczeniu czekoladę. Tylko Jezus się uśmiechał.